

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 10	}	Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.		

Cena każdego 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów)	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów)	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 166.

MALOMBRA.

POWIEŚĆ

ANTONIEGO FOGAZZARO

tłumaczoną z włoskiego

przez

SZET.

z przedmową

W. MARRENÉ - MORZKOWSKIEJ.

—
TOM II.
—

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—
1901.

REPRODUCED FROM THE ORIGINAL

MANUSCRIPT

THE NATIONAL ARCHIVES

RECORDS

1950

RECORDS

1950

1950

1950

RECORDS

1950

1950

MALOMBRA.

ANTONI FOGAZZARO.



Malombra.

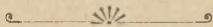
POWIEŚĆ

TŁÓMACZONA Z WŁOSKIEGO

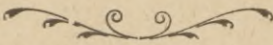
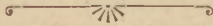
przez SZET.

z przedmową

W. Marrené-Morzkwowskiej.



Tom II.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

A T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Декабря 1900 г.



174089

VI.

Grota Przeróżająca.

Wybierano się do Groty Przeróżającej o dziesiątej rano; trzeba było przepłynąć jezioro aż do drugiego brzegu i przejść dolinę, za którą znajdowały się owe sławne groty. Wszyscy, prócz hrabiego, wzięli udział w wycieczce.

Nepo wstał raniutko i zszedł do ogrodu, gdzie Marina często przechadzała się przed śniadaniem. Nepo, pozbawiony binokli, kręcił się na wszystkie strony, rozglądając ścieżki wśród klombów, wdychając ranne powietrze, drżąc za każdym ukazaniem się ogrodnika. Marina nie pokazała się przy śniadaniu, co zresztą było rzeczą zwykłą.

Fanny zeszła tylko, prosząc, by Edyta udała się na chwilę do jej pani. Obie przybyły następnie razem punkt o dziesiątej. Nepo usłyszał tylko od kuzynki: „dzień dobry,” rzucone mu, jak jałmużnę z ła-ski. Marina ujęła ramię Edyty i szły tak obie do przystani, pozostawiając za sobą hrabinę Fosca, Nepa i czterech panów. Kiedy towarzystwo doszło do przystani, Saetta odbijała właśnie, unosząc Edytę, Marinę i Rica, wśród ogólnych protestów.

— Szczęśliwej podróży—rzekła Marina—wyprzedzamy państwa.

Głos jej brzmiał tak słodko, odezwała się tak uprzejmie, że nikt nie nalegał więcej.

Hrabina spojrzała zaniepokojona na Nepa; ten zaś, chcąc pokryć niezadowolenie, rzucił piękny komplement okrutnym uciekinierkom. Ferieri i komandor nie mogli ukryć wrażeń zawodu.

Obie łódzie skierowały się do miejsca, gdzie jezioro, tworząc wgłębienie, kryje się wśród krzaków róż i wierzb między górami, pokrytymi lasem. Saetta, mimo prośb reszty towarzystwa, wyprzedziła o wiele drugą łódź. Marina nie zważała na nawoływania i kazała Ricowi nie słuchać ich. Wkrótce Saetta wydała się tylko białym punkcikiem na lazurowej płycie wód.

Edyta czuła się wzruszoną. Całe otoczenie, zieloność, osrebrzona rosą w świetle słonecznym, niebo jasne i pogodne, wywierało na niej głębokie wrażenie. Nie mogła rozmawiać; wzdychała.

— Co pani jest? — spytała Marina po dłuższem milczeniu.

— Nie wiem: chce mi się płakać — odpowiedziała Edyta.

— A ja chcę żyć i być szczęśliwą!

Edyta umilkła, zdumiona ogniem, z jakim towarzyszka wypowiedziała te słowa.

— Mam wielkie dla pani uznanie — ciągnęła dalej Marina. — Czuję jednak, że jestem pani antypatyczną, ale...

— Nie jest mi pani antypatyczną, bynajmniej — odparła Edyta poważnie.

Marina wzruszyła ramionami.

— Płyn, jak sobie chcesz! — krzyknęła do Rica, puszczając linki steru i zwracając się ku Edycie w celu rozmowy.

Ale ta uprzedziła ją.

— Wiem, że pani nie była dobrą dla mego ojca i z tego powodu nie mogę mieć przyjaźni dla pani. Chciałabym to wyrazić w języku ojcystym, bo wiem,

że źle mówię po włosku. Proszę mnie zrozumieć jednak: antypatyi nie czuję do pani.

— Czy pani się osiedli na stałe w Medyolanie?— spytała Marina.

— Tak.

— Napisze pani do mnie?

Edyta zamyśliła się i odrzekła.

— Nie mogłabym do pani pisać, jak do przyjaciółki.

— Jesteś pani szczerą, panno Edyto! Ale nie bardziej odemnie. Nie powiedziałam, że czuję przyjaźń dla pani, ale że mam uznanie. Między kobietami przyjaźni być nie może. Nie wymagam też listów sentymentalnych, obłudnych i czczych. Co mi z nich? Prosiłabym tylko o pewne wiadomości, wszak do tego przyjaźń zbyteczna?...

— I uznanie również...

— Przepraszam. Nie przyjąłabym przysługi od osoby, dla której nie mam szacunku i jestem pewną, że mi tej przysługi pani nie odmówi, mimo swego do mnie uprzedzenia. Wszak nie odmówiła mi pani swego towarzystwa w łodzi?

— Jakich wiadomości życzy sobie pani?

— Powiem to pani później.

Po chwili Marina zadała jej inne pytanie:

— Czy matka pani była szlachcianką?

— Tak.

— To zaraz znać.

Edyta zaczerwieniła się, oczy jej ciskały błyskawice.

— Nie znam bardziej szlachetnego człowieka, jak mój ojciec!— rzekła.

— Co pani sądzi o mym kuzynie?— spytała Marina, nie odpowiadając na uwagę Edyty.

— Nie znam go.

— Nie widziała go pani, ani słyszała jego rozmowy?

— Owszem.

— Wiosłuj!—krzyknęła Marina na Rica, tupnąwszy nogą.

Chłopiec, usłyszawszy imię Nepa, nastawił uszu i nie poruszał prawie wiosłami. Poczzerwieniał na poławianie Mariny, odwrócił się szybko i dwoma uderzeniami wiosel dobił do wybrzeża, porośłego wierzbami, gdzie mały strumyczek po piasku i kamykach sączył się do jeziora. Po za wierzbami rozciągały się łąki i doliny, ocienione otaczającymi je górami, których szczyty ozłacało tylko słońce. To też, gdy nadpłynęła następna łódź, rozległ się piskliwy głos hrabiny:

— Co za zimno! okropność! Więc to tylko to?

Jednogłośnie przerwano jej narzekania. Nie mniej miejscowość wydała jej się zupełnie brzydką. Co zamysłano z nią począć? Czy miała przez kilka godzin iść po tych kamieniach, lub czekać na powrót towarzystwa, sama, w tej lodowni? Nepo był zrozpaczony, że matka nie pozostała w pałacu. Steinegge zaofiarował się uprzejmie towarzyszyć brabinie do sąsiedniej oberży,

Towarzystwo całe wyruszyło z Riciem na czele, przeskakującym, jak żaba, z kamienia na kamień.

Nepo potykał się co chwila; starał się wzbudzić litość w Marinie na los obu komadorów, istotnie pożalowania godnych.

— Kochany kuzynie!—rzekła Marina, zatrzymując się—będziesz tak dobrym zastąpić wuja i dotrzymać gościom towarzystwa.

I poszła naprzód z Edytą, spytawszy się Rica o drogę.

Szły wciąż śladem strumyka i niezadługo dostały się na jasne pole, obsiane gryką. Stado motyli porwało się z kwiecistego pola i poleciało ku niebu, trzepocząc skrzydełkami.

Ścieżka wiała się tuż obok obór stojących pod górą, a pod drzwiami stały całe kałuże ścieków. Pusto. Wszędzie cisza. Gdzieniedzie kosz, rzucony pod

drzwiami chałupy, kawały sznurów, leżące przy studni, żadnego ruchu, prócz szumu wodospadów z od dali, co jeszcze bardziej uwydatniało ciszę wokół. Droga, wskazana przez Rica, prowadziła pomiędzy oborami; Marina wybrała inną, dochodzącą prosto do kaplicy. Dała znak Edycie, by siadła, i szepnęła jej:

— Puśćmy ich naprzód.

Na murach kaplicy był malowany wizerunek Chrystusa w cierniowej koronie. Rosa srebrzyła trawę, a powiew poruszał liśćmi drzew.

Edyta z pobożnością dusz prostych wpatrywała się w święty obraz i rzewność ogarniała jej duszę. Chciała się skupić w sobie i oddać całkowicie wewnętrznemu rozmyślaniu, ale obecność Mariny przeszkadzała jej. Mroziła ją ta postać wysoka, dumna, która z nieruchomymi oczyma i zaciśniętymi ustami rysowała fantastyczne arabeski końcem parasolki.

Słysząc było głosy zbliżającego się towarzystwa, ale te wkrótce ucichły, oddalając się. Wówczas Marina przysiadła się do Edyty.

— Wiadomości, jakich pragnę — rzekła — tyczą się osoby, którą pani pozna w Medyolanie.

Edyta spojrzała na nią zdziwiona; Marina poruszyła się niecierpliwie.

Wtedy Edyta przypomniała sobie zaczęta i przerwana na jeziorze rozmowę.

— I pani jest pewną, że poznam tę osobę?

— Musi ją pani poznać?

— Muszę?

— Ależ tak! Z pewnością nie w celu uszczęśliwienia mnie, ale że tak wypadnie. Zresztą, mniejsza z tem! Pozna pani tę osobę w Medyolaunie, ponieważ to przyjaciel ojca pani.

— Nazywa się Silla?

Oczy Mariny błysnęły.

— Zkąd pani wie o tem?

-- Ojciec mi mówił o nim.

— Co pani powiedział?

Edyta umilkła.

— Pewnie się pani obawia? — rzekła Marina szorstko.

Edyta zaczerwieniła się.

— Nie znam tego wyrazu—odrzekła.

Po chwili wahania podniosła głowę i spojrzała na Marinę.

— Pani chce koniecznie wiedzieć całą prawdę?—zapytała Edyta.

— Prawdę? Nie mówmy o prawdzie. Nikt jej nie zna. Musiał pani ojciec powiedzieć, że znieważałam tego pana.

— Tak.

— Że pewnej nocy uciekł.

— Tak.

— A nie mówił pani, gdzie znajduje się obecnie? Musiał to pani powiedzieć. Nie chce pani mi tego powtórzyć, ale z pewnością mówił to pani.

— Sądzę—mówiła Edyta z pewną wyniosłością— że przedmioty rozmów moich z ojcem powinny być dla pani zupełnie obojętnymi. Wiem, że pan Silla jest przyjacielem mego ojca i może ojciec niema innych znajomości w Medyolanie. Myślałam, że pani jego ma na myśli i dlatego wymówiłam jego imię. Proszę, powiedz mi pani, co mam uczynić w razie, gdybym go poznała?

Marina zamyśliła się, oparła głowę na rękę, staczała wewnętrzną walkę. Wstrząsnęła się cała, westchnęła głęboko i otworzyła usta; Edyta wzruszona czekała na odpowiedź.

Ale nie było jej. Usta przymknęły się bez słowa, chwilowy ogień w oczach przygasł.

— Nie—wyrzekła wreszcie.—Idźmy!

Edyta nie poruszyła się.

— Idźmy—powtórzyła Marina.—Wystarczającym jest dla mnie wiedzieć, gdzie mieszka pan Silla i co robi. Napisze mi to pani... nieprawdaż?

Edyta nie odpowiedziała nic.

— Czy się pani boi, bym go nie kazała zamordować?—spytała Marina.

— O nie! Wszak wiem, że go pani nie kocha!—odparła Edyta z uśmiechem.

Marina czuła, że zamiera w niej serce. Wyraz *kochać* wstrząsnął jej duszą. „*Pani go nie kocha*” — wyrzekła Edyta. Niestety! tylko przeczenie należało z tego zdania wyrzucić. Marina była jak gdyby struną, która mieści w sobie ukryty dźwięk: jeśli nieznanym głosem jakiegoś przejdzie koło niej śpiewając i dotknie między innymi tej struny, wówczas zaczyna ona dźwięczyć i rozbrzmiewać! Kochać, kochać, kochać!

Na dnie studni zaświeciło małe kółeczko z odbiciem głowy kobiecej.

Marina szepnęła prawie mimo woli:

— Cecylia!

Złowrogo powtórzyło echo studni to imię... Marina odeszła i podążyła do towarzyszki.

Okrzyły górę i doleciał do ich uszu niewyraźny szum wodospadów z oddali. Odgadywały je raczej, niż słyszały.

Marina zatrzymała się i spojrzała w wąwóz.

— To tu być musi—rzekła.

— Co takiego?—spytała Edyta.

— Grota Przeróżająca. Wszak ztąd słyszą szum. Dziś ma ta grota wielki urok dla mnie.

— Dlaczego?

— Bo chcę się tam udać z moim kuzynem. I pani nic na to? Nie pojmuje pani wrażenia z pobytu z nim sam na sam w tej grocie? Pani nie uległa czarowi mego kuzyna? Jednak jego oczy podbijają serca odrazu. A co za rozum! Nie mówmy o jego wykwincie: on cały jest biały i różowy! czyni wrażenie słoika z goldkremem i pomadką! Powiedz pani, nie zazdrościłabyś mi, gdybym była hrabiną Salvador?

— Sądzę, że pani nią nie będziesz — odrzekła Edyta.

— Dlaczego? Znam pewną osobę, która wyszła za mąż z nienawiści!

— Ale nie z pogardy!

— I z pogardy i z nienawiści. Te dwa uczucia doskonale idą z sobą w parze. Osoba ta posilkowała się niemi, by smagać męża i zdeptać wstrętne, niegodne obowiązki...

Rozmowa ta zdawała się oburzającą Edycie, wobec niepokalanej czystości jej natury. Czuła się do głębi oburzoną.

— Przyjaciółka moja kochała innego... Ale ja gorszą panią?...

Edyta umilkła.

— Nie potrzebujemy się powściągać, tak jakby tu był mój wuj lub który z tych panów. Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia.

— Więc pani musisz wiedzieć, co się w świecie dzieje!... Nie wierzę w naiwność! Otóż przyjaciółka moja miała kochanka i żeby sobie ułatwić z nim stosunki, wyszła zamaż za wstrętnego człowieka... Cóż w tem złego? Ludzie bronią tysiąca rzeczy, ale jakim prawem, proszę?... Nikt rozłączyć nie może tego, co Bóg połączył tajemnie! Księża są idiotami ze swą nauką. Czy to Pan Bóg, pytam się, wiąże stułą, wkłada obrączki i mruczy kilka słów, wiążąc z sobą na ślepo, na wieki, dwie dusze i dwa ciała? Nie!... Bóg je łączy przedtem, przed poznaniem, kochaniem, nawet przed ich narodzeniem, i nie może stanąć na drodze wbrew jego woli. Bóg rozłącza tylko tych, co zostali związani z sobą przez ludzi, przez księży, działających nieświadomie. Na czem to stanęłam? A! więc moja przyjaciółka wyszła zamaż przez nienawiść i pogardę. Otóż tak się stało i koniec!

Tupnęła tak silnie nogą o ziemię, że Edyta aż drgnęła; zdawało się, że iskry z niej trysnęły.

Donośny głos zawołał z oddali:

— Panno Marino!

To Rico. Biegł co tchu, skoro tylko dojrzał panią i wołać zaczął:

— Kazali mi powiedzieć, by panie wróciły co prędzej, bo już późno, a pani hrabina czeka na dole.

— Gdzie są wszyscy?— badała Marina.

— Jeden z panów idzie na spotkanie pań, a inni są w wiosce.

Trochę dalej spotkały Nepa, siedzącego nad drogą na rozpostartej chusteczce. Wydawał się zgnębiony i chłodził się japońskim wachlarzem. Podbiegł do kuzynki, która go dość chłodno przyjęła.

— Jesteś okrutną względem mnie — szepnęła Marinie.

Nie zdawała się być usposobioną do poufnej rozmowy, bo odwróciła głowę.

Skorzystał z chwili gdy Edyta zatrzymała się zrywając cyklammy, i znów płaczkliwym głosem spytał Marinę:

— A twoja odpowiedź?

Spojrzała mu w oczy.

— Wkrótce— odrzekła.

— Kiedy?

— Chodź ze mną do grotty!

Nepo nie był zbyt zadowolonym z zaproszenia, ale nie mógł przeciągnąć rozmowy i żądać wyjaśnień, bo Marina ujęła Edytę pod rękę i ledwo im mógł naśladować.

Grota była ztąd o jakie sto kroków. Wszyscy skierowali się do wodospadu, który z szaloną siłą bił o ciemne ściany skał. Stary przewoźnik odwiązał łódź w dość złym stanie i z trudnością spuścił ją na potok. Mogła pomieścić dwie osoby, prócz niego. Rico przeskakiwał jak konik polny z kamienia na kamień, Vezza nieczuły na piękno przyrody, a Finotti żaden

ich miłośnik, rozwodzili się głośno nad grozą prze-
paści. Ferrieri nie łączył się z nimi, wołał rozma-
wiać z Edytą. Mówił jej, że widoki te nie czynią na
nim żadnego wrażenia od chwili, gdy z serca wyrzu-
cił poezję, tego zbytecznego gościa.

— Naprzód panowie!—zawołała Marina.

Przewoźnik, całkowicie przygotowany, oczekiwał
na gości.

— Mój kuzyn i ja — rzekła Marina — będziemy
ostatni.

— W takim razie my będziemy pierwsi, panno
Edyto.

Mówiąc to, Ferrieri otulał swą towarzyszkę nie-
bieskim szalem, który niosła na ręku. Edyta prawie
nie zauważyła tego. Była zahypnotyzowana piękno-
ścią widoku. Weszli oboje do łodzi i znikli.

Po dziesięciu minutach wrócili.

— I cóż? I cóż?—wołali komandorowie.

Nie odpowiedzieli nic. Wysiadając, Ferrieri
i Edyta wyrażali dość zimno swój zachwyt. Edyta
była poważną i smutną, inżynier czerwony i zmieszany.
Przewoźnik oczekiwał w milczeniu drugiej par-
tyi gości. Edyta podeszła do Mariny, a Ferrieri od-
dalił się ze spuszczoną głową, patrząc na kamienie.
Veza i Finotti wsiedli razem, ale niezbyt ochoczo.

Nepo był niespokojny. Nie mówił nic, ale co
chwila kręcił się, patrzył w lewo i w prawo, trząśł
głową, zrzucając w ten sposób binokle; zamoczył nogi,
skacząc co chwila po kamieniach, by wypatrywać po-
wrotu łodzi. Kiedy się od nich oddalił, Marina sze-
pnęła Edycie, wskazując na inżyniera:

— On także... mimo szlachetnego wyglądu. Do-
myśliłam się zaraz, widząc was wysiadających z ło-
dzi! Wszyscy są jednakowi!

— To wstyd, hańba! — odrzekła Edyta, drżąc
z oburzenia.

— Czy był tak bardzo zuchwałym?

Edyta zapłonęła się.

— Zapomnieć o należnym mi szacunku choćby przez chwilę tylko, to wielkie zuchwałstwo.

— Panie Ferrieri—zawołała Marina głośno.

Ferrieri odwrócił się, chciał twarzy nadać wyraz obojętności, ale nie mógł zapanować nad sobą.

— Będzie pan tak dobry zejść do hrabiny Fosca: ona musi się okropnie nudzić i nie wie, co się z nami dzieje. Panna Edyta i ja zejdziemy później i może inną drogą.

W głosie Mariny drgał mimowoli pewien żal i uraza kobiety, która nawet obojętnego sobie mężczyznę znajduje u stóp innej kobiety.

Ferrieri skłonił się i odszedł.

Łódź z komandorami powróciła.

— Hrabio!—zawołała Marina.

Nepo miał ochotę odrzec: „hrabino,” ale nie śmiał tego powiedzieć, więc wszedł w mileczeniu za Mariną do łodzi.

— A Ferrieri?—zapytał Vezza.

— Czeka nas na dole—odpowiedziała Marina.

Już odbili od brzegu i wyrazy te doleciały przytłumione szumem rzeki.

Owinęła się szalem, pochyliła głowę, kryjąc się przed zimnym wiatrem. Łódź zbliżała się do ciemnego wejścia do „sali tronowej.” Prawie nic nie było widać. Nepo pochylił się do Mariny i ujął ją za rękę.

— A!—szepnęła jakby obrażona, ale ręki nie cofnęła.

Nepo nie wiedział, co mówić. Ścisnął czule tę nieruchomą, zimną rączkę, jakby chcąc tym sposobem wyrazić jakąś myśl, zdanie. Zdecydował się. Trzymał wciąż rękę Mariny w swojej, drugą zaś otoczył jej kibić. Marina cofnęła się gwałtownym ruchem.

— Proszę zachowywać się spokojnie, na Boga!—wrzasnął przewoźnik.

Nic ani słyhać, ani widać nie było. Nepo opuścił rękę. Nie pojmował cofnięcia się Mariny. Zaczął mówić. Szum potoku zagłuszał jego wyrazy, ale

mimo to mówił. Uczuł, że postać Mariny słania się ku niemu. Drżał z rozkoszy i znów ramię jego objęło jej kibić ruchem dzikiego zwierza, które ciemność ośmiela.

Marina rzuciła się w tył w chęci strzaskania tej ręki, która ją drażniła, i zelżenia Nepa niewidzialnego u jej boku. Woda, wiatr, kamienie nawet huczały coraz silniej. Co znaczy wobec tej potęgi żywiołów gniew ludzki! Miażdży ona słowa na proch. Głos chciała mieć tylko wszechpotężna przyroda. Nepo czuł pulsowanie ciała Mariny pod ręką; zdawało mu się słyszeć wśród szumu szept jakiś słaby; wyobrażał sobie słowa miłości, usta jego szukały innych ust, i wdychał wonne, odurzające go ciepło.

Silne uderzenie wiosłem wyprowadziło nagle Łódź z ciemności w olśniewającą jasność, wznoszącą się jakby ze szmaragdowej wody. Nepo nie miał czasu spojrzeć na twarz Mariny. Przewoźnik obrócił się ku nim. Odsunął się szybko od młodej panny i udawał, że ogląda się wokoło. Starowina pokazywał mu wgłębienia olbrzymie w skale.

— Przepyszne!—zawołał Nepo.

Przewoźnik ruchem wyraził, że nie słyszy, bo dotknął ucha; pewnie że jeszcze coś piękniejszego miał do pokazania, bo znów wziął wiosło i pracował zawzięcie.

Marina blada, z zaciśniętymi ustami, owinięta białym szalem, zdawała się pokutującą duszą, zbiegłą z tego piekła wód.

„Sala tronowa” ukazała się wreszcie jak wizya szmaragdowa, z bezkształtną kopułą, ze swą czarną skałą pośrodku, pełna białej piany, szumów i fal między ścianami. Łódź, zamiast wpłynąć w środek, pomknęła na prawo w małą, spokojną zatoczkę, gdzie przystanęła. Przewoźnik pokazał Marinie pstrągi wśród kamieni na dnie przejrzystej wody. Nepo pochylił się i powstając, musnął twarz młodej panny.

— Proszę mnie nie dotykać—wyrzekła szorstko, nie spojrzawszy na niego.

Przypisał jej niezadowolenie zbytecznemu oświeceniu i zwrócił się gniewnie do przewoźnika:

— Co nas obchodzą twoje pstrągi, głupcze? Jedźmy!

Stary posłuszny, wprowadził łódź do wnętrza sali tronowej i przybił przy wielkiej skale. Tłómaczył gości, że wejść na nią można i wyjść przez grotę. Marina zrzuciła szal i z pomocą starego w dwóch skokach stanęła na skale. Rozkazującym ruchem wskazała kuzynowi, by szedł za nią. Nepo, stojąc w łodzi, macał kamień, potykał się i błagalnie patrzył na przewoźnika. Ten uniósł go wreszcie i posadził na skale; pomagając sobie rękami, Nepo dotarł do szczytu.

Marina przeszła z kuzynem przez małą kładkę i kazała przewodnikowi zaczekać.

Wyjście z „groty przerażającej” otwierało widok ponury, prawie dziki: potok szumiał z góry po kamieniach i rozpryskiwał tysiące kropli osrebrzonych słońcem. Marinę wchodziła po stromej górze, a Nepo, trzymając się wysokich traw, szedł za nią. Dyszał ciężko.

— Zatrzymaj się!—zawołała.

— A, teraz nie zatrzymam się z pewnością — odrzekł.

— Zatrzymaj się!

Nepo stanął niespokojny. Z początku myślał, że ma zamiar rozmówić się z nim zdala od świadków. Obecnie nie rozumiał. W głębi czuł się zagniewany na Marinę, ale doświadczał przytem zupełnie nowego wrażenia... Od chwili, gdy ścisnął małą rączkę i poczuł to ciepłe, pulsujące ciało obok siebie, dziwny ogarnął go niepokój.

Przez chwilę milczeli oboje.

— A więc chcesz tego?—spytała Marina.

— Ach!—odrzekł Nepo, roztwierając ramiona.

— Czemu tego pragniesz?

— Boże, co za pytanie!

— Więc może nie? — rzekła z uśmiechem.

Marina spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała z mocą:

— Ale ja cię nie kocham!

— Ach, jedyna! — rzekł Nepo, niedosłyszawszy przeczenia i podszedł do niej.

Cofnęła się zdziwiona.

— Nie kocham cię — powtórzyła.

Nepo zbladł i odrzekł cicho, ale z przejęciem:

— Nie kochasz mnie? Jakto nie kochasz mnie?

A temu pięć minut w łodzi...

— A tak! To ci się zdawało.

— Ależ na Boga! Gdyby ta łódź przemówić mogła!...

— Żleby mówiła o tobie. Omyliłeś się, nie kocham cię!

Nepo patrzył na nią ze ściągniętą brwią.

— Jednakże zgadzam się — wyrzekła.

Nepo westchnął, ulżyło mu. Przybrał radosny wyraz twarzy i wyciągnął do niej ręce.

— Czy ci to wystarcza? — spytała.

Chciał odpowiedzieć pocałunkiem, ale przyłożyła mu koniec parasolki do piersi i rzekła:

— Musisz zaraz zejść, przewoźnik mógłby odpłynąć. Nie pójdę razem. Wrócę inną drogą. Chcesz iść ze mną?... Nie, nie chcę. Idź sam! Czyś zadowolony teraz? Powiedz pannie Steinegge i chłopcu, by czekali na mnie przy mostku. A wszyscy niech jada naprzód, nie czekając na nas. Nie czekajcie nas nawet z obiadem. Jak wrócisz do pałacu, rozmów się z wujem i z matką i to natychmiast, przed mym powrotem. Do widzenia!

Nie chciał odejść. Błagał o pocałunek, ale nawet mu rączki odmówiła. Chwycił więc parasolkę i przyłożył do niej usta. Odszedł zadowolony i gniewny zarazem, oszołomiony wynikiem.

Kiedy Marina zaszła do mostku, zastała tam już Edytę i Rica. W milczeniu przeszły kawałek drogi przebytej rano.

Nagle Marina zatrzymała się i rzekła towarzysze:

— Wie pani? Przed chwilą byłam ucziwã.

Edyta nie zrozumiała, nie zauważyła wzruszenia Mariny. Całą duszą podziwiała piękność widoku. Obecność Mariny nie przygniatała jej już tak bardzo, jak rano, czuła się swobodną.

— To cudowny poemat—odezwała się, wskazując na okolicę.

Marina nic nie odrzekła. Edyta spostrzegła, że ma oczy pełne łez; zatrzymała się zdziwiona. Marina ujęła ją rozpaczliwie ze ramię, gestem wskazała Ricowi, by szedł naprzód, pociągnęła ją w bok drogi i wybuchnęła płaczem. Łkała długo na ramieniu dziewczęcia, ściskając konwulsyjnie jej ręce, wymawiając wyrazy bez związku. Edyta wzruszona, drżała od stóp do głów, słuchając tych skarg i rozpaczy: niezmierna litość ogarnęła ją, nie mogła znaleźć słów pociechy. Powtarzała tylko.

— Niech się pani uspokoi...

Ale napróżno; łkania Mariny wybuchały tem gwałtowniej. Pochyliła głowę, zawahała się chwilę i przyłożyła usta do tego dumnego czoła, pokornie schylonego; doznała wrażenia zwycięstwa. Powoli łkania ucichły. Marina podniosła głowę i cdeszła od Edyty.

— Już przeszło—rzekła—dziękuję,

— Powiedz mi pani—rzekła Edyta życzliwie — gdybyś widziała me serce..

— Wszystko pani już powiedziałam.

Jeszcze kilka razy załkała spazmatycznie. Edyta namawiała ją, by usiadła.

— Nie, nie—powtórzyła.—Już przeszło.

Zagryzła usta aż do krwi i powtarzała nerwowo:

— Już przeszło! przeszło!

Oparła się o białą skałę i gorączkowo chwyciła ręką kamień.

— Powiedz mi pani...—nalegała Edyta.

Marina odwróciła głowę, urwała niebieski kwiat i spytała nagle:

— Co to za kwiat? Wygląda na akonit.

Podawała go Edycie.

Wzięła kwiat i jeszcze próbowała wypytywać towarzyszkę, ale Marinę znów napadły nerwowe spazmy. Przyciskała się do skały, chcąc je zagłuszyć. Zdawało się, że pragnie w nią się wcisnąć i pozostać w niej na zawsze!

A wokoło niej cisza panowało głęboka.

Marina wstrząsnęła się i odezwała do Edyty:

— Chodźmy. Teraz przeszło już naprawdę!

Edyta prosiła jeszcze, by ulżyła sobie i otworzyła przed nią serce.

— Wszystko już pani powiedziałam — odrzekła Marina. — Nawet nie umiałabym już powtórzyć tego, com pani mówiła. Zapomniałam. Istniało pewnie we mnie uczucie, o którym nie wiedziałam. Nagle porwało mnie ono, objęło całą, dusiło za gardło, paliło. To był tylko płomień... Teraz już wszystko skończone... Nie przypominam sobie nawet obecnie, czy to ból, czy przerażenie. Pani pojmuje... kiedy kto zaczyna nowe, nieznanne życie, to doznaje strachu, obawy, by się nie pomylił. To chwilę trwa tylko, ale jednak przychodzi. Posłuchaj pani, w przyszłości słyszeć będziesz o mnie; jeśliby mówiono źle, przypomnij pani sobie dzisiejszy wieczór. Wówczas może zrozumiesz!

— Mam nadzieję, że nie będą o pani źle mówić przedemną.

— Kto to wie?

Spotkały czekającego Rica.

Było już późno i zimno. Zeszły szybko w doli-

nę. Marina pograżyła się w myślach. Po długim milczeniu ujęła ramię Edyty i spytała:

— Opowie mu to pani?

— Komu?— spytała Edyta.

Marina drgnęła, puściła ramię towarzyszki i zamilkła.

VII.

Siła przeznaczenia.

Już była ósma, gdy Marina z Edytą stanęły przy wielkich schodach, otoczonych cyprysami.

Rico krzyknął z całych płuc.

— Światła!

I pobiegł, jak kot.

Światło błysnęło w podwórzu, oświetlając hrabinę i Fanny.

— Marina!—wołała jej ekscelencya.

— Hrabino!—odpowiedziała niewidzialna jeszcze Marina.

— Nie widziałś mego syna, skarbie? Boże, co za schody! Nie pojmuję, pięć minut temu poszedł na spotkanie. Zaczekaj na światło, można tu kark skrócić. Już. Gdzież jesteś? Choć, kochankol!

Rico nadbiegł z latarnią i przeskakował po trzy schody. Guziki stalowe zabłyszczały hrabinie w tem świetle. Rzuciła się na Marinę i całowała ją gwałtownie, szepcząc jej w ucho:

— Niech cię Bóg błogosławi, mój aniołku! Byłaś marzeniem mego życia!

Marina nie odrzekła. Edyta pytała Fanny, czy ojciec jej jest w pałacu.

— Nie, mój skarbie!—wtrąciła hrabina, nie puszczając Mariny—wyszedł z inżynierem.

Marina, uwolniwszy się z uścisku hrabiny, poszła z Fanny.

Jej ekscelencya wsparła się na ramieniu. Gderząc i paplając, schodziła i potykała się na każdym stopniu.

— Co za anioł ta Marina! Pomału, duszko! Chwileczkę! Nie jestem takim piórkiem, jak ty! Cóż powiesz na to? Nic nie wiesz? Jakto! Nic ci nie powiedziała? Ach, upadam! Wolniutko... Powiedz mi, skarbie, czy była wesola po powrocie z tej przeklętej góry? To ostatni stopień. Wreszcie jesteśmy szczęśliwie!

Przed drzwiami pałacu hrabina zatrzymała się, i przycisnąwszy Edytę do siebie, zaczęła szeptać jej na ucho:

— Ach, zresztą powiem ci! I tak myślę, że wiesz o wszystkim, a tylko udajesz. Marina zaślubi mego syna.

I hrabina weszła, nie zważając już na Edytę.

Młoda dziewczyna była zdumiona. Przypomniała sobie dziwne zwierzenia towarzyski podczas wycieczki. Salwadorowie wzbudzili w niej litość. Marina przerażała ją. Głos Nepa, piorunujący na Mamola i Rica, wyrwał ją z zadumy. Weszła do pałacu i Ferieri przyszedł jej na myśl.

Ferieri nie był znów tak zuchwałym, jak sobie to może Marina wyobraziła. Uderzyła go spokojna piękność młodej panny i jej zachowanie się szlachetne. Zdawało mu się, że znalazł wreszcie wyśniony ideał młodości, i surowy uczony zniknął, ustępując miejsca rozkochanemu młodzieńcowi. Postanowił rozmówić się z p. Steinegge. Ale w ciemnej grocie, tuż obok młodej panny stracił panowanie nad sobą; ujął gwałtownie jej rękę, a szum wodospadu zagłuszył rwące mu się wyrazy; spostrzegł zapóźno, że obraził ją swem postąpieniem, że źle pojęła jego wyznanie miłosne. I rzeczywiście, Edyta zrozumiała go źle i dziwiła się teraz, dlaczego jej ojciec wyszedł z inżynierem Ferieri.

Kiedy tak rozmyślała, wpadł Nepo zły, że nie spotkał Mariny i krzyczał:

— To niemożliwe, to niemożliwe!

Omal nie przewrócił Fanny, schodzącej prosić Edytę na obiad.

— Gdzie margrabianka? — spytał, pędząc dalej.

— Gdzie jest? — odrzekła Fanny — w swoim pokoju.

Nepo napotkał wreszcie matkę i powiedział jej cicho:

— Cóż ci powiedziała? Czy wie, żeś rozmawiała z hr. Cezarem?

Na te wszystkie pytania hrabina odpowiedziała innemi zapytaniami:

— A ty coś tak długo robił? Zbłądziłeś? Idź do niej i powiedz, że się już rozmówiła ze starym. Idź prędko, już dzwoni na obiad. Nie ma jej w salonie, jest w swoim pokoju. Zaczekaj na nią w loggii! Idź!

Marina, mimo wzywającego na obiad dzwonka, siedziała w swym pokoju przed stołem. Głowę wspierała na rękach. Przed nią leżał list na niebieskim papierze w arabeski złote, z wielkim monogramem z boku. Zapisana drobnem pismem ćwiartka, nosiła tylko krótki podpis: Julia. List zawierał te słowa;

„Czy wiesz, że przenoszę me penaty z via Bigli na Borgonuovo? Tak chciał mój pan i władca! Co za okropność, zmiana mieszkania! Pozostawiłam małżonka w kurzu, wśród kufrów i tapicerów, a sama śpieszę przesłać ci te słów kilka. Jest to romantyczny pasztecik, we wnętrzu którego mieści się pan Konrad Silla, autor „Snu,” osiedlony w Medyolanie na via San Vittore.

„Opowiem Ci, jakim trafem go odkryłam, gdy będę Ci mogła dać więcej o nim szczegółów.

„Do widzenia, zakłęta księżniczko! Jutro podróż w interesach! Idę na bal do Bellagio. Biedne niez-

pominajki! Kto o nich pamięta. Tym razem będę w bieli z ptaszkami i wodorostami, jakie mi przysłał C... z Berlina, razem z sonetem, którego nie włożę.

Julia."

Zapukano do drzwi i głos Fanny zapytał:

— Czy panienka nie przyjdzie? Czy panience niedobrze?

— Idę—odpowiedziała Marina.

Skoczyła na równe nogi, wyciągnęła ręce ruchem dumnej radości i podniosła głowę z tryumfem. Wbiegła na schody, przeskakując po cztery stopnie na raz, zeszała i spotkała Nepa w loggii.

— Nareszcie, aniele!—rzekł tenże.—Mama mówiła już z twoim wujem, jest zadowolony; a ty?

Objął ręką jej kibić, wyczekując odpowiedzi.

— Jestem bardzo szczęśliwa!—odrzekła ze srebrnym śmiechem, wyslizgując mu się z rąk.

Przeszła między gośćmi w salonie, lekka, jak marzenie, kłaniając się wszystkim z uśmiechem.

— Przepyszna! urocza!—mówił Vezza, goniąc za nią oczami.

W jadalni hrabina Fosca i Nepo towarzyszyli Marinie i Edycie przy obiedzie; ta ostatnia czuła się tu zbyt wygodną i pragnęła czemprędzej wymknąć się do ojca. Steinegge chodził i dziwnie spoglądał na córkę.

— Boże, co za cudowny kraj, kuzynko.—zaczął Nepo z natchnieniem.—Ta Grota przerażająca, jakież urocze miejsce!

Patrzył na Marinę swemi wypukłemi oczyma, oparty o stół.

— Serce mi jeszcze bije, gdy wspomnę! Nie będę mógł spać tej nocy! Ach, mamo, ty pojąć nie możesz tajemniczego czaru, jaki ma ta grota dla mnie! Ach!

Wstał, gestykulując jak aktor, i ucałował matkę, która krzyczała:

— Szalenciec! waryat! puść mnie!

— Posłuchaj, mamol posłuchaj przecież...

Marina przywołała Finottiego, który ciekawie przyglądał się tej scenie.

Prosiła go siedzieć między sobą a Edytą.

— Posłuchaj tylko...—kończył Nepo.—Byłem tak porwany pięknością widoku, że kiedyśmy przybyli do skały ostatniej grotty, skoczyłem...

— Ach!—przerwała Marina.

— Widziałas, kuzynko, jakem skoczył?

— *Quite a new way of leaping* (zgoła nowy rodzaj skakania)—odrzekła Marina.

— Na Boga! — zawołała hrabina Fosca. — Nie rozmawiaj po francusku, Marino! Coś powiedziała?

— Ależ zawsze mówisz niedorzeczności mamol Marina mówiła po angielsku!

Hrabina i Nepo czynili taki gwar, że hr. Cezar, Vezza, Finotti i Steinegge weszli do sali.

Ferrieri stanął w progu i zajrzał również, ale wkrótce znikł i nie powrócił już tego wieczora.

Marina, widząc wchodzącego wuja, powstała i wsparta na ramieniu Nepa, przeszła do sąsiedniego pokoju.

— Jesteś rozradowany! — rzekła mu ze śmiechem.

Kiedy się zbierał na jakąś uroczystą odpowiedź, przeszli właśnie obok wuja, i Marina utkwiała w niego rozpromienione oczy.

Hrabia spojrział na zegarek; było wpół do dziesiątej, godzina mocno dla niego spóźniona.

— Panowie pewnie chcieliby już spocząć — zwrócił się do Steinegge i komandorów.

I nie czekając na odpowiedź, kazał przynieść światła i wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie powtórzył zaproszenie do spoczynku.

— Sądzę, że po tylu wrazeniach—mówił do salwadorów—wypoczynek będzie pożądanym.

— Ależ, kochany wuju!...—zaczął Nepo, biegnąc ku niemu z roztwartymi ramionami.

Ale hrabia nie dał mu dokończyć i mruknął:

— Z pewnością, inaczej być nie może!

Przyniesiono świece.

Nepo wykręcił się na pięcie i stanąwszy przed Mariną, wzruszył ramionami.

Hrabina Fosca próbowała przekładać:

— Widzisz, Cezarze! — półgłosem odezwała się do hrabiego. — Nie bądź dziwakiem. Dzieciaki te pragną pomówić z tobą dziś jeszcze, chcą ci powiedzieć...

— Tak, tak — przerwał hrabia — wiem, słyszę! Oto masz swoją świecę.

Nie było rady.

— A ty? — dodał, znalazłszy się sam na sam z Mariną. — Nie idziesz do siebie?

— Czy nie masz mi nic do powiedzenia, wuju? Wszak musisz być zadowolony, że poszła za twą radą? — odezwała się Marina do hrabiego.

— Za mą radą? Jako za mą radą?

— Rozumie się.

Rozmawiali oddaleni o jakie dziesięć kroków, spoglądając na siebie z pod oka.

— Może wytłumaczysz się jaśniej? .. — rzekł hrabia popędliwie, stawiając świecznik na stole.

— Nie pamiętasz, wuju? Kilka godzin przed przyjazdem Salwadorów powiedziałeś mi, że nie jesteśmy stworzeni, by żyć pod jednym dachem, że kuzyn twój jest znakomitą partją i że pragnie się żenić.

— Tak, może powiedziałem — odrzekł hrabia zakłopotany, gładząc czuprynę — ale wówczas nie znałem prawie swego kuzyna, obecnie zaś nie zasięgałaś mej rady co do przyjęcia jego oświadczyn.

— Obecnie ja go znam. Jestto gentelman wielkiej inteligencji, bardzo dystyngowany, bardzo dowcipny i nadzwyczaj sympatyczny. To wreszcie twoje zdanie, wuju...

— Moje zdanie?

— Ależ naturalnie. Wszak oświadczyłeś wieczorem hrabinie, że czujesz się uszczęśliwionym tem małżeństwem.

— Tak, ale chcę ci dowieść, żeś się sama zdecydowała — kończył hrabia po krótkim milczeniu.

— A ja bardzo ci, wuju, dziękuję za radę — odrzekła z uśmiechem — jestem bardzo szczęśliwą!

Hrabia chciał się gniewać, ale nie miał do tego prawa. Prawda, że Marina postanowiła o sobie bez jego rady, lecz miał na sumieniu wyrazy wymówione niedawno w bibliotece. Wyrzucał sobie swe powiedzenie, przesadzając jego doniosłość, i żałował swych słów.

— I jesteś... zadowolona?

— Teraz mówić, że nie, byłoby trochę zapóźno; ale już mówiłam wujowi, że czuję się bardzo szczęśliwą!

— Posłuchaj, Marino!...

Już dawno hrabia nie odezwał się do siostrzenicy. Marina ani drgnęła; on ciągnął dalej:

— Pomyślałem już, byś godnie wystąpiła w takich okolicznościach.

— Bym godnie wystąpiła?

— Rozumie się. Wechodzisz do rodziny bardzo bogatej, trzeba, byś do niej weszła z podniesioną głową.

Prawa ręka hrabiego prawie wysuwała się z kieszeni, jakby chcąc uścisnąć inną rękę. Ale usiłowania te okazały się próżne; wuj i siostrzenica stali nieruchomo naprzeciwko siebie. By pokryć pomieszczenie, hrabia ujął lichtarz i poszedł nakręcać zegar na kominku.

Marina wzięła drugie światło i wyszła cicho z pokoju, tak, że wuj nie spostrzegł jej nieobecności na razie. Nie zamknęła nawet drzwi za sobą. Ledwo wyszła, hrabia odwrócił się i dojrzał niedomknięte drzwi. Dokończył nakręcania zegara i szedł na spoczynek z pochyloną, przepętloną myślami głową.

Nocy tej nie wszyscy w pałacu spoczywali spokojnie. Przez szpary niektórych żaluzji wyglądało światło, z niedomkniętych drzwi dolatywały na korytarz szepty.

Steinegge był w pokoju córki, przyniósł jej ważną nowinę: inżynier Ferrieri prosił go formalnie o jej rękę przed paru godzinami.

Biedny Steinegge był jak w gorączce. Czuł, że to wielki zaszczyt i niespodziewana partya dla Edyty. Ferrieri z całą szlachetnością wynurzył się przed nim; opowiedział mu całe zajście w grocie, i wyraził nadzieję, że Edyta zechce mu wybaczyć niestosowne zachowanie. Steinegge widział tylko, że postrada znów córkę i to mu szarpało duszę. Uważał sobie jednak za obowiązek powtórzyć jej wszystko, co usłyszał od inżyniera, ale był tak wzruszony, że słowa mu się mieszały i wygłaszał tylko urywane zdania: „Szlachetna dusza!... wielkie serce!...”

Kiedy skończył, Edyta położyła mu rękę na ramieniu.

— Jak mi radzisz, ojcze? — spytała.

Biedny Steinegge nie mógł się zdobyć na słowo odpowiedzi, gestem tylko pokazał, że potwierdza, zezwala. Wreszcie, wszystkie zebrawszy siły, zdobył się na te wyrazy:

— Wielkie szczęście!

Edyta ukryła twarz na jego piersi, patrząc mu w oczy, nie śmiała, wyznać tego, co jej na sercu leżało.

— Czy wiesz, ojcze? Ktoś mnie tam szepce z góry: „Nie ma on już ojczyzny, przyjaciół; nie ma młodości, ale jestem spokojną, bo wiem, żeś przy nim, żeś mu oddała serce i życie swe całe”.

— A nie, nie... — przerwał Steinegge.

— Głos ten tak mówi mi, ojcze. I dodaje: „Nie opuszczaj ojca, jeżeli...”

Tu Edyta zniżyła głos:

— „...Jeżeli pragniesz, byśmy byli razem wszy-

scy kiedyś tam, gdzie niczem są wszystkie smutki i cierpienia przebyte!...

Steiniegge uściśnął córkę, powtarzając:

— O nie, nie!

— Wreszcie, ojcze — ciągnęła dalej Edyta, uśmiechając się pogodnie do ojca. — Jest jeszcze inna przyczyna: ten pan nie bardzo mi się podoba.

— Niepodobna! Pomyśl, dziecko, że może nie potrzebowalibyśmy się rozłączać z sobą.

— Nie, nie! Pojmuję to doskonale, że przede wszystkim musiałabym być jego żoną... a później dopiero twą córką, ojcze. A nasze projekty, nasz domek i przechadzki? Zresztą zupełnie wybaczam panu Ferrieri, ale to i wszystko. Powiesz mu, ojcze: „Córka moja przyjmuje, ale tylko przeprosiny pańskie”. Prawda powiesz mu tak, ojcze?

— Nie, nie, nie zrobisz takiego szaleństwa. Jestem stary i...

Edyta zamknęła mu ręką usta.

— Ojcze, dlaczego mi dokuczasz? To się na nic nie przyda.

Steiniegge nie wiedział, czy się ma weselić, czy smucić. Błagał jeszcze córkę przed odejściem, by się namyśliła rozsądnie. Wyszedł i znów powrócił, by jej powiedzieć, że jeszcze czas zmienić postanowienie i że może poradzić się hrabiego Cezara. Ale Edyta przerwała mu.

— Przynajmniej — dodał, ulegając nawykowi do pewnych oględności względem ludzi — podziękuję inżynierowi w twym imieniu, powiem mu: „moja córka jest panu bardzo wdzięczna,..”

— Nie, to niepotrzebne, ojcze; powiesz mu po prostu, że przyjąłem jego przeprosiny, że się nie gniewam.

— Dobrze.

Szepty ucichły w korytarzach; światła gasły po za żaluzjami, ale nie wszyscy jeszcze spalili w sta-

rym pałacu. Dwa okna otwarte świeciły w ciemnościach. Marina czuwała.

Wróciła do swego pokoju z uczuciem goryczy w sercu. Miała korzystać z dobrodziejstw tego człowieka, którego nienawidzi całą duszą, którego musiała nienawidzić?... I dobrodziejstwa te były garścią złota, którem jej w twarz ciskał! Miała mu być wdzięczną zato? nigdy w życiu!...

Zadzwoiła na Fanny. Służąca, rozczesując jej włosy, uśmiechała się tajemniczo.

— Sądzę — odezwała się wreszcie, splatając włosy swej pani — że jeśli panienka opuści pałac, to jednak mnie nie porzuci.

— Spiesz się!

— Spiesz się, spiesz się!... Jak to panience pilno!...

I zabrała się do drugiego warkocza.

— Czy to prawda, że w Wenecyi nie ma powozów? Mimo to musi tam być lepiej niż tutaj,

Marina nie odpowiadała.

— Jaka pani hrabina była rozradowana dziś wieczorem! Ucałowała mnie prawie! Biedna pani... Lubi mnie bardzo... Powiada, że jestem skarbem. Może to nie ładnie powtarzać, ale powiedziała mi to wprost! A Catte?... co prawda, nie ma wiele takich panien służących, jak ona...

— Prędzej!

— Prędzej! prędzej!... Opowiadała mi, że pan hrabia mało jej nie zjadł, bo...

— Czyś skończyła?

— Tak, panienko.

— Więc idź sobie!

— Panienka nie życzy sobie, bym ją rozebrała?

— Nie, nie chcę! Idź sobie!

Fanny zawahała się chwilę.

— Czy panienka się gniewa na mnie?

— Tak — odrzekła Marina, chcąc się jej porobyć — gniewam się, idź sobie!



Powstała, wstrząsnęła głową kaskadę złotych włosów, spadających na plecy.

— O co? — zapytała Fanny.

— O nic!... idźże sobie!

— Niech panienka wysłucha mnie, proszę; może jakie plotki powtórzyli o mnie... Nie trzeba wierzyć w to wszystko... bo nie raz znałam szykownych młodych panów, a przecie żaden nie dotknął mnie nawet palcem!...

— Dosyć, dosyć!... — przerwała jej Marina — nie wiem, co chcesz powiedzieć, i nie chcę nic wiedzieć! Nie gniewam się wcale. Spać mi się chce! Idź sobie!

Fanny wyszła.

— Ach, nareszcie!... — szepnęła Marina, zostawszy sama.

Odczytała powtórnie list pani de Bella.

Nie doznawała już poprzedniego wrażenia. Julia odnalazła ślad Konrada Silli, doniosła jej o tem natychmiast; lecz list nadszedł w chwilę potem, gdy Marina obiecała zaślubić Nepa. Czy należało dopatrywać we wszystkich tych okolicznościach fatalizmu, mocy przeznaczenia? Ależ nie!... Zna obecnie adres Silli w Medyolanie! Cóż w tem nadzwyczajnego! Edyta byłaby go przesłała również w kilka dni później! Nie ma żadnych danych, aby spodziewać się powrotu Silli do pałacu, a to było rzeczą najważniejszą!... Na cóż więc czeka?...

Myśl ta zastanowiła ją i umysł jej wyteżał się, szukając odpowiedzi... Rozległ się głuchy odgłos zamykanych drzwi w oddali... Nic nie przerywało milczenia nocy... Mury tylko i sprzęty stały nieruchomo, objęte cieniem... Tajemnicze błyski na jeziorze świeciły, jakby oczy duchów spoglądające w przestrzeń... I widziała się wchodzącą do karety podróżnej; słyszała świstanie bieza w powietrzu, czuła kołysanie i ruch pojazdu, i ramiona Nepa, pożądliwie wyciągające się ku niej... Skoczyła oburzona i zbu-

dziła się z marzenia... Zaślubi go, czy nie ale Nepo nie obejmie jej nigdy!

Złożyła list do teki i usiadła przed zwierciadłem. Pod zwojami złotych włosów twarz, przysłonięta przejrzystą mgłą, pochylała się naprzód; pięknie zarysowane ramiona tonęły w fali koronek, a wielkie szafirowe oczy jaśniały. Nigdy, nigdy jeszcze pocałunek kochanka nie dotknął tych ust! Wtedy Marina dysząc, przypomniła coś sobie; stanęła jej przed oczami i twarz, którą po raz ostatni widziała przy wyjściu z łodzi, w świetle błyskawicy! I zdawało się jej, że wraca on tej rozkosznej nocy, że idzie, zbliża się, wchodzi po schodach, otwiera drzwi...

Powstała, dusząc się prawie; nie mogła odechnąć... powietrze było duszne... Ah, kocha go!... kocha... Pragnęła go, pożądała, chciała go uścisnąć w ramionach!... Zgasiła światło, opadła na fotel i gryzła z wściekłością jego poręczel...

Kwadrans przesiedziała w nieruchomości i znów zaczęła rozmyślać.

Czemu nie przemówiła do Silli, gdy on wymówił to straszne imię? Czemu nie rzuciła się w pogoń za nim, słuchając instynktu własnego serca?... Bo kochała go, pokochała go od pierwszej chwili poznania, mimo swej wzdury i porywów gniewu... Czemu nie poszła za tym, co ją nazwał Cecylią, tułając ją w uścisku?... Czyż rękopis nie mówił, że będzie kochaną pod tem imieniem?... Więc po co ta cała komedia z Nepem?

Ale na te wszystkie pytania Marina przeciwstawiła ostatnie wyrazy rękopisu: „Zostaw wszystko Bogu i losom! Czy to na synach, na siostrzeńcach, czy na krewnych, zemsta zawsze będzie dobrą! Czekam na niego tu, tu!” I czyż wszystkie okoliczności nie składały się tak, by połączyć zemstę z miłością?

Wróciła jej ufność. Zapaliła świecę i poszła do sąsiednich drzwi, przy których stało biurko ze skrytką. Zaledwie je było widać w cieniu, czarne,

w białe desenie, wyglądało raczej na sarkofag, pokryty świętymi znakami. Marina przypatrywała mu się; u stóp jej migał mały okrągły cień od lichtarza. Nagle skamieniała z wrażenia wspomnień zwykłych. Zdało się jej, że raz była już tu, rozebrana, z rozplecionymi włosami, kiedyś, przed laty wielu, u progu tych drzwi; że to samo kółko drgało u jej stóp i płomień świecy rzucał błyski na tajemnicze, białe znaki czarnego biurka.

CZEŚĆ TRZECIA.

W i o s e n n e m a r z e n i a .

I.

W kwiefniu.

— Pies jest wierny.

— *Der Hind treu ist.*

— Ależ nie, kochany Silla — rzekł Steinegge — to błąd. Mówi się: *Der Hund ist treu.*

Silla wziął pióro i poprawił zdanie. Siedzieli obaj naprzeciw siebie, przy stole sosnowym, nie pokrytym serwetą.

— Osioł jest chudy. Uważaj pan, to już koniec.

— *Der Esel ist mager* — tłumaczył Silla i podał ćwiczenie panu Steinegge.

-- Dobrze, przyjacielu — pochwalił nauczyciel, kładąc zeszyt. — Piszesz lepiej odemnie. Ale czemu właściwie uczysz się po niemiecku?

— By pana rozumieć, gdy mówisz po włosku — odparł Silla, śmiejąc się.

Steinegge zdawał się być draśnięty tem powiedzeniem.

— Nie, nie, żartuję — dodał Silla, ściskając go serdecznie. — Uczę się, bo chcę czytać Goethego w oryginale. Już mówiłem to panu.

Steinegge zdjął okulary, poprawił krawat i wstał.

— Pomóż mi pan rozłożyć serwetę—prosił, zdejmując kałamarz, zeszyt i stawiając to na innym stoliczku. — Córka moja lubi, by wszędzie był porządek.

Rozłożyli serwetę czarną z niebieskiem i przykryli nią stół. Pokoik przybrał się zaraz, wyglądał odświeżenie i zadowolenie rozjaśniło twarz byłego sekretarza.

— Dziękuję bardzo — rzekł. — Ah! doprawdy, nie wyobrazisz pan sobie, jaką mi przyjemność sprawiają te wszystkie drobiazgi domowe. Radują się, dotykając krzesła. Przez lat siedemnaście nie posiadałam nawet własnego stołka. Siedemnaście lat!... Jakże dziś dziękuję Bogu!... dziękuję... — dodał stłumionym głosem, wskazując na mały medalion ze zwojem jasnych włosów, na pokój Edyty i sufit. — Dawniej myślałem, że tam w górze po za chmurami nie ma już nic.

I Steinegge wstrząsnął gwałtownie ręką.

— Otóż dziś wierzę, że Bóg tam jest — dodał z przekonaniem.

— Ja zawsze w to wierzyłem — odrzekł Silla. — Inaczej byłbym za bardzo cierpiak.

— Gdyby pan wiedział, jak jestem szczęśliwy! — ciągnął dalej Steinegge. — Czasem mnie to aż strachem przejmuje, bo czuję się niegodnym takiego szczęścia; ale tłómaczę sobie, że w tem tylko zasługa mej córki! Ah, moja córka, drogi przyjacielu!...

Steinegge złożył ręce.

— Wzruszony jestem, gdy pomyślę, że to moje dzieckol

— Poznałem ją — wtrącił Silla, ściskając mu serdecznie ręce.

Steinegge zapalał się:

— Nie, nie, pan jej nie znasz dostatecznie! Trzeba ją słyszeć, gdy mówi ze mną o religii. Idziemy czasem razem do kościoła, ale nie rozmawiamy nigdy o księżach. A jak rozumie sztukę! Do tej pory nie miałem o niej wyobrażenia; wczoraj byliśmy... w muzeum Brera! Posłuchaj pan: gdybyś w tej chwili stworzył książkę niemiecką, na przykład Goethego, zrozumiałbyś zaledwie kilkanaście wyrazów na stronie. I serceby ci biło na widok tych kilkunastu świateł w ciemnościach, i pytałbyś siebie, co Goethe chciał wyrazić w dalszych słowach strony. Otóż wczoraj ja doznawałem takiego wrażenia: serce mi biło, gdym patrzył na te malowidła, które zacząłem rozumieć, słuchając Edyty! A literaturę, mój drogi! Ten Klopstock! Schiller! Novalis!

Oczy pana Steinegge zaszczyły łzami.

— Przychodzi do nas kobieta na kilka godzin dziennie do porządków. A zresztą Edyta sama robi wszystko, a robi to tak radośnie i naturalnie, jakby szła na przechadzkę dla przyjemności. Stary leniuch jestem i piję kawę w łóżku. Doprawdy, mimo, że mam łakomy na dobrą kawę, wierz mi pan, nie kawy oczekuję z chęcią, ale wejścia mej córki i odezwania się jej: „dzień dobry, ojcze!” Co rano mam uczucie, jak gdybym ją odnajdywał po raz pierwszy po dwunastu latach niewidzenia. Edyta ma dziennie trzy godziny lekcyi; wszystkie te panie przepadają za nią. Ileż razy chciały ją odwiedzić powozem do domu! Ale nigdy się na to nie zgodziła, bo wie, że ja nie chciałbym jechać powozem.

— Pan? — spytał Silla — jakież pan ma z tem związek.

— Bo, widzi pan, czekam zawsze na nią na ulicy. Wracamy zawsze razem, mimo deszczu i wiatru... A wie pan, jak spędzamy wieczory? Edyta zajmuje się robótkami, a ja tłumaczę dla hrabiego d'Ormengo. Płaci mi on za to sto franków miesięcz-

nie! Następnie Edyta czyta mi głośno Schillera, albo Uhlanda, i pijemy herbatę.

— Jakto! używa pan herbaty? — rzekł Silla, uśmiechając się.

— A! wyśmiewaj się pan!

— Pewnie pańska córka tak chce!

— Nie, nie, ja sam. Chciała właśnie, bym pił wino wieczorem, ale... raz zauważyłem, że przykro jej było... i od tego czasu prosiłem o herbatę.

— Zazdroszczę panu! — rzekł Silla, biorąc za kapelusz.

Steinegge wstrzymywał go.

— Chodź pan z nami na przechadzkę!

Silla wahał się chwilę.

— Chodźże pan!

Steinegge zastukał do drzwi pokoju córki i prosił, by przyszła na chwilę.

Edyta ukazała się natychmiast i podała serdecznie gościowi rękę.

— Dzień dobry! — rzekła. — Jakaż długa lekcya!

Uroczą była w swej ciemnej sukience, z bukiecikiem fiolków u paska. Białe kołnierzyk i złoty na piersiach medalion ożywiały nieco zbyt poważny strój. Grube warkocze upięte były nisko. Twarz, mimo wyrazu silnej woli i energii, miała coś słodkiego i smętnego, szczególnie w spojrzeniu.

Stosunek jej z Sillą nosił cechę przyjacielską, ale z odcieniem pewnej sztywności. Zachowanie się Silli zdradzało wyraźny przymus, Edyta przeciwnie, była naturalną. Znali się obecnie od sześciu miesięcy i widywali pod okiem Steineggego w codziennem życiu. Edyta wspominała często o pałacu i jego mieszkańcach; unikała jednak szerszej rozmowy o Mariynie, co zauważył Silla. Wytworzyło to między nimi jakąś tajemną spójnię.

Edyta zgodziła się chętnie na propozycję ojca i poszła włożyć okrycie i kapelusz. Steinegge ubierał się również, a Silla, wsparty o okno, oczekiwał na nich.

Wiosna wyglądała zewsząd i tchnieniem swem obejmowała świat cały. Czuć ją było na ulicy, w ogrodach, wciskała się nawet oknami do mieszkań. Słońce padało na plecy Silli.

Dom, w którym byli, rodzaj olbrzymich koszar, zaciał ogrody. Na lewo, na wysokości pierwszego piętra, ciągnął się taras o granitowej balustradzie; kilku mężczyzn chodziło po nim, pałac. Kobieta, w niebieskiej, aksamitnej sukni, z białą kamelią we włosach, szła, wsparta na ramieniu grubego, niskiego jegomościa. Natychmiast przechadzający się otoczyli ją z szacunkiem. Silla nie mógł rozpoznawać słów, ale szmer ich głosów dolatywał do jego uszu, tak, iż Silla doskonale poznawał komandora Vezzę, również jak i damę, z którą szedł, czterdziestoletnią piękność, będącą w separacyi z mężem, graczem, damą znaną ze swych usiłowań literackich i z wykwintnych obiadków. Atmosfera pewnej eleganckiej zmysłowości wiała z tego tarasu, tak, jak rozchodzi się z kuchni wytwornych restauracyj zapach potraw na ulicę. Silla marzył wśród tej nieokreślonej melancholii nadchodzącej wiosny; śnił o dalekich krajach, o miłościach młodzieńczego wieku, o pieśniach ludowych, o wierszach...

— Panie Silla — odezwała się Edyta z uśmiechem. — Pan tu zostaje?

Drgnął, odwrócił się i przeproszał za roztrągnięcie.

— To zbrodnia schodzić ztąd — rzekł.

— Panby chciał przechadzać się w obłokach?

Spojrzał na nią trochę urażony, ale zauważył smętny jej uśmiech i nie odpowiedział.

— Proszę mi wybaczyć; nie jestem poetką — dodała.

Jeszcze dość ciepło było na ulicach, oświetlonych zachodzącym słońcem. Steinegge szedł wyprostowany obok córki.

— Dziś — zaczął — odebrałem list od don Inocenta.

Chciał wyjąć list z kieszeni, ale Edyta spojrzała na niego znacząco i udał, że listu zapomniał zabrać z domu.

— Pisał bardzo serdecznie.

Nie pierwszy to list pisał don Inocento do swego przyjaciela Steinegge, idąc za tajemnym życzeniem Edyty, wyrażonem przed jej odjazdem z pałacu. Młoda panna powtórzyła Silli mniej więcej treść listu. Don Inocento opowiadał o nieszczęściach, jakim uległa jego parafla, i o poddaniu, z jakim chłopie znieśli. Mówił o robotach przy budowie papierni i pisał, że całe brzegi jeziora pokryte były pierwiosnkami. Kończył, zapraszając ojca i córkę na kilka dni do plebanii.

Dziwacznie brzmiała ta prosta, spokojna rozmowa na Corso di Porta Venezia, wśród gwaru tłumów, ruchu przechodniów między niebieskimi, zielonemi i czerwonymi afiszami... Słońce już zaszło; obłoki jeszcze tylko przesiąknięte były złotem ostatnich promieni, a powiew wiatru przynosił zapach wiosny, cygar i perfum. Dwa ciemne sznury przechodniów urozmaicone jasnymi ubiorami, obchodziły Corso i rozsypywały się po różnych ulicach miasta. I wydawało się Silli, że ten potok ludzi toczy tylko z sobą myśli radosne, obrazy jasne, pragnienia—i wieczną młodość. Jego serce nie wzruszyło się listem księdza.

— Czy proboszcz nie pisał nic więcej?—spytał Edytę.

— Nie—odpowiedział żywo Steinegge.

— Jakto! Nic nie pisze o ślubie donny Mariny?

Steinegge spojrział na niego, zdumiony jego obojętnością.

— Owszem, zdaje mi się, że coś o tem pisze...

— Ojciec pani, jak widzę, bawi się w dyplomacyę.

— O nie! dlaczego? Ale czy pan wypadkiem nie ucieka się też do niej?

— Nie, to prosta ciekawość i bardzo niewinna, zapewniam panią.

Steinegge zdecydował się, po krótkim wahaniu, nie obwijać w bawełnę i rzekł:

— Podobno doskonale tam rzeczy stoją i ślub odbędzie się wkrótce.

— Rozumie się, wszak to już sześć miesięcy, jak ułożono to małżeństwo.

— Tak, tak, ale pojmuje pan, przygotowania trwają zwykle długo. Zdaje się, że ślub nawet oznaczony na dziś wieczór, 29 kwietnia. Chłopi urządzają różne owacye, ognie sztuczne, muzykę. Hrabia Cezar chciał donnie Marinie ofiarować trzysta dwadzieścia tysięcy franków, ale wołała, by to przekazał wprost jej mężowi w kontrakcie ślubnym. Hrabia Cezar był trochę cierpiący, ale jest obecnie lepiej...

Opowiadanie zostało przerwane powitaniem kilku znajomych i Silla nie starał się już nawiązywać rozmowy w tym przedmiocie.

Doszli do bastyonu; tłumy zbite przypatrywały się przejeżdżającym pojazdom. Na zakręcie ulicy Steinegge roztworzył ramiona i rzucił się na jednego z przechodniów z różnemi wykrzyknikami. Był to pan M. C., z którym ongi marzył o założeniu dziennika.

— Wybaczcie — rzekł do Edyty i Silli — muszę z tym panem pomówić. Idźcie naprzód. Dogonię was wkrótce.

Edyta nie zdążyła odpowiedzieć, gdy już ujrzała się samą z Sillą wśród tłumu. Podeszła parę kroków, ale ojca nie było. Nie mogła go tu oczekiwać między przechodniami. Zdecydowała się więc iść dalej i przypatrywać się pojazdom. Szła w pewnem oddaleniu od Silli, nie rozmawiała z nim i oglądała się co chwila. Powozy przejeżdżały, nikły i znów ukazywały się inne. Piesi przechadzali się wolno, wdychając wiosenne powietrze. Silla chciał coś powiedzieć i przerwać to ciężkie milczenie, ale nie wie-

dział, od czego zacząć. Doszli wreszcie do Café des Jardins, a tam tłok był tak wielki, że Konrad musiał podać ramię Edycie. Podziękowała mu i dotknęła zaledwie końcami palców jego rękawa. Małe to dotknięcie wzburzyło go. Instynktownie przycisnął rączkę do siebie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

— Przepraszam — zapytał. — Czy donna Maria rozmawiała z panią o mnie?

Edyta nie była przygotowana na takie pytanie, ale odpowiedziała spokojnie:

— Tak.

Czekała dalszych zapytań, ale nie nastąpiły.

— Co za cudowny wieczór! — mówił dalej Silla. — Człowiek się odradza... Czuję wiosnę w duszy... Czemu pani nie chciała mi powiedzieć, co pisał don Inocento? Wiadomości te uczyniłyby mi taką przyjemność!...

Ręka Edyty zadrżała lekko.

— Pani nie może pojąć, jak słodko jest wyleczyć się z rany, która sprawiała nam straszny ból!

— E! musiało to być lekkie zadrażnienie tylko, a pan się okropnie boi cierpieć! Ja, gdybym odniosła ranę na duszy, tobym się czuła upokorzona, skoroby ból mój ustał, a jam się wyleczyła z tej rany, jak ze zwykłej choroby.

— Przepraszam — rzekł Silla drżącym głosem — źle mnie pani zrozumiała! Zaraz się wytłómaczę... Nie wyleczyłem się, jak zwykły chory, za pomocą lekarstw, zapomnieniem! Ale wyzdrowiałem siłą woli, bo wyrwałem z serca jad, który mnie zatruwał.... hańbił!

— Doprawdy? — wtrąciła żywo Edyta.

— Jak pani wątpić może? Pani, która masz duszę tak wzniosłą. Potrzebuję istoty, któraby mi ufała i lubiła mnie trochę. Jestem sam jeden na świecie, bez przyjaciół, nie mam miłostek, ani stanowiska, ani geniuszu, ani nadziei. Niekiedy zdaje mi się, że zamieram na tych wyżynach, jakich duszą do-

sięgnąć pragnąłem... Przepraszam panią, nudzę pewnie, mówiąc tak długo o sobie?

— O nie! ale nigdy nie zdawało mi się prawdopodobnem to, co mi pan mówi!

— Wiem o tem! Zwykle serce me bywa zamknięte, ale dziś wydaje mi się, że śnię. To sen i marzenie wiosenne, takie samo, jakie snuć będą te stare platany w świetle księżyca, gdy tłumy ucihną. Ja również marzę o rozkwicie, pragnę wyszeptać przed wiosną wszystkie smutki i tęsknoty zimy... Czy pani słucha? Przedewszystkiem muszę się przed panią wypowiedzieć z jednej słabości: w chwilach zuiechęcenia mam zawsze dziwaczne wrażenie, że jakaś fatalność ciąży nademną. Nikt o tem nie wie i zwierzam się tylko z tem uroczej wiosnie. Niedawno wydałem książkę pod tytułem „Sen.”

— Czy będę ją mogła przeczytać?

— Rozumie się. Przed wyjazdem do pałacu otrzymałem za pośrednictwem księgarza list, adresowany *Lorenzo* (mój pseudonim), podpisany imieniem *Cecylia*. List ten tryskał dowcipem, sprytem, a mówił o przeznaczeniu i fatalności. Odpisałem; następny list nie podobał mi się i przerwałem korespondencyę. Ojciec powiedział pani przyczynę, dla jakiej opuściłem tak nagle pałac; otóż przed moim odjazdem przypadkiem odkryłem, że ową korespondentką Cecylią była *donna Marina*. Nie opowiem pani, jak i dlaczego ciągnęło mnie coś, by pozostać przy niej. Uciekłem jednak, prześladowany myślą, że jakaś złowroga moc ściga mnie. Uciekłem... i użyłem całej energii, by zapanować nad tym nedorzecznym strachem. Uspokoilem rozegzaltowaną duszę poważnemi studjami. I oto, jakim sposobem wyleczyłem się.

— Ah! — zawołała nagle *Edyta*. — Gdzież jesteśmy?

Byli sami w opustoszałej alei; powrócili tą samą drogą.

— Nic o tem nie wiedziałam i nie zrozumiałam

wszystkiego—odezwała się Edyta;—ale pan wie, jak go wysoko ceni mój ojciec... Być może, iż pan nie ma ani miłości, ani nadziei, ale—dodała drżącym głosem—posiada pan szczerą przyjaźń...

— Ah! czy to prawda? Czy rzeczywiście pani, nie rozumiejąc mnie, ufa mi? Oddałbym świat cały, nie za przyjaźń, to za mało, ale...

Mówił urywanemi słowami, chodził gorączkowo.

— ...Za duszę. Za duszę, któraby przyjąć chciała wyłącznie dla siebie wszystkie dzieła ducha i serca mego, za duszę, któraby moją tylko była. Za duszę czystą a ognistą, w którejbym się zaprzepaścił... Zespoleni razem, kochalibyśmy nadludzką miłością Boga i naturę. Spójnia nasza byłaby silniejszą niż boleść, czas i śmierć. Pojelibyśmy treść życia... Żylibyśmy czarownemi obrazami promiennej przyszłości. Czy znajdę kiedykolwiek duszę taką?...

— Dusza ta byłaby samolubną, zatrzymując tylko dla siebie dzieła pańskiego ducha i serca...

Zjawił się Steinegge czerwony, zadyszany.

— A! jesteście nareszcie! Myślałem, żeście gdzie na drzewo wleźli! Biegłem jak zajac!

— Przepraszam, ojcze, zapędziłem się za daleko.

Ujęła ojca pod ramię, przymilając się, jak gdyby dręczył ją wyrzut sumienia. Silla milczał.

Szli jeszcze trochę razem; powozy i przechodnie przerzedzali się już. Ogrody, skwery, domy ukazywały się cieniem, a niebo nabierało barwy perłowej. Przeszli obok ogrodu, z kąd wyszły dwie eleganckie panie; jedna z nich skłoniła się Silli i rzekła:

— Jutro wieczorem, prawda? Po teatrze!

— Winszuję ci, przyjacielu!—rzekł Steinegge.

— Czego?—spytał Silla ze wzgardliwym uśmiechem.

— To pani Julia de Bella, antypatyczna lalka, której niedawno przedstawiła mnie ciotka. Napisała do mnie, że pragnie pomówić ze mną i prosi, bym przyszedł do niej jutro po teatrze.

Silla wypowiedział to szybko, jakby usprawiedliwiając się. Steinegge zaczął mówić o owym panu M. C., którego poznał na Wschodzie, i opisywał tamtejsze obyczaje. Silla słuchał roztargniony. Wpatrywał się we wdzięczną postać Edyty; nie mógł już dojrzeć jej oczu, ale pamiętał ich słodki wyraz. Wyobrażał sobie jej myśli, a raczej godność, pogodę, czystość jej duszy... I uczuwał w sobie spokojną energię, poryw wiary, jakiś ogień nienamiętny, który go powoli ogarniał. Marzył w całym znaczeniu tego słowa, w nadzwyczajnem podnieceniu ducha, przedmioty i drobiazgi nabierały w jego oczach szczególnej wagi. Latarnie zapalały się jedna po drugiej; twarz Edyty ukazała się wyraźnie w promieniach światła. Była poważna, blada i zamyślona. Drgnęła i nagle usiłowała z uwagą wsłuchiwać się w opowiadanie ojca. Silla dostrzegł te przelotne zmiany i jasny promień rozradował mu serce,

Odprowadził ojca i córkę do drzwi ich mieszkania i ledwie zwrócił uwagę na głośne pożegnania pana Steinegge. Wyciągnął rękę ku Edycie, która zawaławszy się chwilę, podała mu końce palców.

Odszedł smutny, żądny samotności. Wracał wolno, ze spuszczoną głową, przechodząc w myśli całą rozmowę, wyznania, i to szczególne zapewnienie przyjaciela, wypowiedziane przez Edytę drżącym głosem... Ale nie mógł dojść do żadnego stałego wniosku.

Ze spokojnej, mało uczęszczanej dzielnicy, zamieszkałej przez Steineggów, skierował się ku środkowi miasta. Ulice były przepelnione ludźmi, wystawy sklepowe jaśniały. Przyspieszył kroku. Doszedłszy do alei Victora Emmanuela, zmieszał się z tłumem.

Powiedział był do Edyty:

— Duszę, któraby przyjąć chciała wszystkie utwory mego ducha!

Był to okrzyk zniechęcenia wobec ludzkiej obojętności, okrzyk rozpacz i słabości.

Dzieciństwo i wiek młodzieńczy Silli przeszły

dość spokojnie. Opieka matki, dążności artystyczne i literackie, chroniły go od zepsucia powszechnego. Miał jeszcze zmysły nierozbudzone, wytworzył sobie ideał kobiety w znaczeniu duchowem, wyższy nad piękność zewnętrzną. Nieraz zdawało mu się, że kocha. W miłości szukał zawsze czegoś niedościętego: spojrzenia, uśmiechu, dźwięku głosu—oto wszystko!... Cały ogień młodzieńczy ześrodkował mu się w sercu i mózgu.

Pierwsze zawody literackie pogrzyły go w głębokie zniechęcenie. By się oszołomić, rzucił się bez pamięci w rozkosze życia. Miłostki marne, zwykłe, przejmowały go wstrętem, nie mógł nagiąć duszy do słów i wyznań kłamliwych, pragnął użycia pokątnego, nowego, jakie się zdobywa w wielkich miastach... Z mętów tych wyszedł osłupiały, drżący, zły na samego siebie. Odzyskał wtedy spokój ducha. Powrócił do swych idealnych miłości, wziął się do pióra i pracy. Upadał i powstawał kilkakrotnie, walcząc bezustannie, prześladowany przecuciem jakiegoś ostatecznego zaprzepaszczenia się, zatracenia bezpownego. Antagonizm zmysłów i ducha tak gwałtownie się w nim objawiał, że jedno przygniatało zawsze drugie. Nie znalazł nigdy równowagi, nie zakosztował nigdy wzniosłego uczucia, o jakie błagał Boga...

Namiętność, wzniecona przez Marinę, spaliła go. Wróciwszy do Medyolanu, starał się zapomnieć, oddając się studjom języka greckiego i filozofii. Zimę przeżył spokojnie, co mu powróciło świeżość młodzieńczą umysłu.

A teraz czuł się silnym pod dziewczem spojrzeniem Edyty. Patrzył śmiało w przyszłość, z której pierzchły owe przerażające widziadła. Czuł, że kiedyś opanuje tłumy swym geniuszem; że obłaskawi go, jak dzikie zwierzę i zwycięzko, dumnie, jak władca, spojrzy na tłum ten, którym pogardzał, a miłość Edyty pomoże mu do spełnienia tych cudownych marzeń!...

Rozmyślając, marząc, doszedł aż do katedry. W jej wnętrzu migotało maleńkie światełko; ale tam w górze rzeźby podobne do koronek odcinały się biało na tle księżycowej nocy. Widok katedry oprzytomnił Sillę, skierował się ku mieszkaniu. Było dość oddalone, bo obok St. Ambrogio.

Wszedł na czwarte piętro do swego małego pokoiku. Otworzył okno i zaleciał go zapach rozkwitłych kwiatów. Usiadł przy stole i odczytywał rękopis rozpoczętej tej zimy powieści pod tytułem „Nemezis.” Wydała mu się złą i odrzucił ją na bok. Oparł głowę na rękach i w myśli wzniósł prośbę ku niebu:

„Boże, nie opuszczaj mnie, spraw, niech będę kochanym! Wszak nietylko rozkoszy szukam w miłości; szukam w niej wstępu do wszystkiego, co podłe, siły do walki ze złem, zwycięstwa prawdy, mimo obojętności świata. Boże, wysłuchaj skargi mej duszy, spraw, niech będę kochanym. Lękam się, by moje wzniosłe marzenia nie stały się znów tylko zawodem, cierpię, płaczę!...”

Wziął następnie małą książeczkę z notatkami i odczytał wyrazy, nakreślone roku zeszłego:

„Skończyło się!... Ah! tworzyć, tworzyć jeszcze, pozostawić wspomnienie swej duszy i zniknąć gdzieś w innych światach, oddalonych od tej okrutnej ziemi! Boże, ludzie, młodość, wiara, miłość, wszystko mnie opuszcza!”

Dopisał pod spodem:

29 kwietnia 1865 r.—Ufam.”

II.

„Quid me persequeris?”

Usnął o świcie, a obudził się już w pełni dnia. Szare światło zaglądało oknem. Deszcz padał.

Silla czuł się tak wyczerpanym, jak gdyby szedł pieszo dzień i noc.

Długo siedział na łóżku, wpatrując się w szare niebo, mokre dachy i krople deszczu, spadające po szybach.

Patrzył bezmyślnie. Odczuwał zmęczenie, zderwienie i lęk nieokreślony. Szare chmury i krople deszczu powtarzały mu:

— Płacz, płacz, nie kocha cię, ona cię nie kocha!

Wmawiał w siebie, że Edyta nie mogła się zmienić od wczoraj, jak to niebo, dziś chmurne.

Noc, sen, zastanowienie, nie były w stanie zagłuszyć powstającego w niej uczucia, jeśli wogóle uczucie to nie było tylko wytworem jego wyobraźni. Miał jej dziś zaraz zanieść obiecaną książkę „Sen.” Jakże go przyjmie?

Wziął jeden egzemplarz swego utworu i rozmyślał, jaką napisać dedykację. Skreślił ich kilka; jedne wydawały mu się za zimne, inne zbyt pretensyjne. Ostatecznie napisał na okładce:

Słodkiej Wiosnie
K. S.

Nie był zadowolony, uważał, że słowa te nie wyrażają dostatecznie jego uczuć. Dodał jeszcze:

„Ta, co jest wiosną, kochaną jest przez nieznanego autora, nie posiadającego niczyjego serca. Dla niej znajdzie on siłę do walki o sławę i uznanie. Gdy go odepchnie, podda się biernie losom przeznaczenia.”

To napisawszy, szukał uspokojenia w pracy. Zagłębił się w stary rękopis, we wnętrze wiernego przyjaciela, z którym się nie rozstawał. Były to studia i myśli, oparte na obserwacji świata i ludzi. Ale Silla nie był w stanie zebrać myśli, pióro wypadało mu z ręki i siedział wpatrzony w krople deszczu,

splywające po szybach. Bał się przyszłości. Nie był lubianym przez krewnych, którzy go uważali za próżniaka i marzyciela. Wypłacali mu rentę, z której utrzymywał się skromnie. Isć za ich radą i rozpocząć karierę przemysłową? Oburzał się na samą myśl o tem. Gdyby się ożenił, musiałby piórem zarabiać na utrzymanie domu... ale jak? Utwory jego nie przyniosły mu dotąd żadnego dochodu... Tłómaczyć z angielskiego i francuskiego kilka godzin dziennie, być płatnym od arkusza? Czy mógł liczyć na pewno na taki zarobek? I myśl jego błądziła, biegła, a deszcz szumiąc, powtarzał mu:

— Płacz, płacz, ona cię nie kocha!

Wstał i wyszedł.

Skierował się najdłuższą drogą ku mieszkaniu Steineggów; przeszedł ich drzwi, nie wchodząc, zda wało mu się, że tam oczekuje na niego przeznaczenie. Uszedł kilka kroków, wrócił i wszedł na schody. Postępował wolno, trzymając się poręczy. Odgłos pociągniętego dzwonka oprzytomnił go.

— Ach, kochany przyjacielu! Co za radość! W taką prawdziwie „niemiecką pogodę!” Proszę!

Steinegge otworzył mu i odbierał przemocą prawie kapelusz i parasol.

— Dzień dobry, panie Silla! — odezwała się cicho Edyta.

Siedziała przy oknie z robotą. Spojrzała na niego spokojną twarzą i następnie zapatrzyła się w „niemiecką pogodę.”

Na stole, z którego zdjęto niebieską serwetę, leżało kilka książek, kajet i kałamarz, wszystko skupione obok przy krześle, z którego powstał Steinegge.

— Widzi pan, pracuję dla hrabiego; tylko jestem trochę leniuch i po kilku stronicach czuję się zmęczonym. Proszę, niech pan siada. Przynosi pan książkę?

— To książka, którą pozwoliłem sobie ofiaro-

wać pannie Edycie—odpowiedział Silla, kładąc ją na półce obok popiersia Schillera.

— Ach, bardzo dziękuję, drogi przyjacielu!

Edyta położyła robotę i spojrzała na Sillę.

— Dziękuję!—dodała zdziwiona i zaciekawiona.—
Co to za książka?

— To utwór, o którym rozmawiałem z panią wczoraj.

— Obejrzyj!—wtrącił Steinegge, podając jej małą książeczkę z lekkim zniecierpliwieniem.

— A! pański utwór: „Sen.” Z przyjemnością przeczytam go. Przeczytamy go razem, ojcze, dla wypoczynku po tłumaczeniach!

Oddała książkę, nie otworzywszy jej i zajęła się znów robotą.

— Sądzę, że musi to być coś bardzo ładnego i że nam się spodoba — wtrącił Steinegge zaczerwie-niony, starając się zatrzeć chłód córki. Czy to wiersze?

— Nie.

— Powieść?

— Tak.

— Miała wielkie powodzenie, prawda? Narobiła hałasu?

— Tak, był to hałas rzuconego kamienia w studnię. Przyjęto ją lodowatym milczeniem.

— Jakim sposobem? Obudził pan pewnie za-wiść i zazdrość?

— Nie, nie. Bywają ludzie i książki nieszcze-śliwe, co jedynie antypatyę wzbudzają, nawet w naj-lepszych sercach!

— To prawda, zdarza się to czasami.

— Autor nie powinien nigdy na takie rzeczy uważać — odezwała się Edyta, nie podnosząc oczu od roboty.

— Dlaczego?—spytał Steinegge.

— Dlatego, że myśl ta zabija w nim wiarę, a nie dozwala mu widzieć błędów w swym utworze.

— Przeciwnie—rzekł Silla—im mniej nam fortuna sprzyja, tem nią więcej gardzimy i wówczas szukamy zadowolenia we własnem sumieniu. Rany otrzymane podniecają aż do chwili, gdy ostatnia nas powali. Wówczas upadamy, ale z podniesionem czołem, nie żebrząc o łaskę.

— Może to być prawdą, ale należy się strzedz własnej wyobraźni, a losowi przypisywać tylko tyle, co jest w jego mocy. Zresztą, skuteczniej jest ślepo w los nie wierzyć.

— Ach, jakże możesz nie wierzyć w los? — odparł ojciec.—Czyż ty byłabyś dziś biedną, opuszczoną, prawie osamotnioną, skazaną na przebywanie z nędznym starcem, gdyby nie los?

— Ojczule!—zawołała Edyta z błyszczącemi oczyma. — Wybacz pan, panie Silla, jesteśmy przyjaciółmi, więc mogę z ojcem mówić w pańskiej obecności.

Wstała i ucałowała ojca.

— Czyż możesz wątpić, ojczule, że to dla mnie największe szczęście żyć przy tobie, tylko z tobą, kochać cię, usługiwać ci, czuć się otoczoną twą opieką i miłością?

Steinegge przeczył wykrzyknikami, gestami, wreszcie uznał się zwyciężonym. Wyjął zegarek i zawołał:

— Ach, ten C... czeka na mnie!

Pobiegł po kapelusz, uściśnął rękę Silli i wyszedł, nie słuchając nawoływań córki, która starała się go zatrzymać. Zbladła i była zmieszana. Opanowała wrażenie i zaczęła ustawiać kwiaty nad kominkiem.

— Panno Edyto... — zaczął Silla zmienionym głosem.

Odwróciła się i podała mu rękę.

— Dobra noc panu!—rzekła.

Silla po chwili milczenia ciągnął:

— Pani wybacz, jeśli zabiorę jej chwilę czasu. Chciałbym tylko powiedzieć, że po wielu zawodach teraz zacznam wierzyć w szczęście!

Nie odpowiedziała nic.

— Czy pani mnie rozumie?...

— Panie Silla, jesteś pan przyjacielem mego ojca, a więc i moim. Nie wiem, dlaczego mówi pan do mnie w ten sposób. Nie pojmuję dobrze słów pańskich, ale jeśli pan chce im nadać znaczenie, jakiego mieć nie powinny, to źle; ja tego nie chcę.

Wyrazy „ja tego nie chcę” wypowiedziała z godnością i energią.

Silla skłonił się.

— Zupełnie nie miałem zamiaru nadawać swym słowom znaczenia, jakiego mieć nie powinny, i na wyrzut pani nie zasłużę nigdy. Zresztą, przyszedłem powiedzieć ojcu pani, że jutro nie będę mógł odbyć mej lekyi. Czy zechce pani uprzejmie mu to oznajmić?

— Rozumie się.

— Dziękuję bardzo. Dobranoc pani!

Odchodząc, zabrał książkę z półki.

— Dlaczego?—spytała Edyta.

Uśmiechnął się smutnie, jakby chcąc wyrazić: „Co to panią może obchodzić?”

— Ojciec ją widział—dodała nieśmiało, ale bez wzruszenia.

Silla położył książkę na stole, złożył głęboki ukłon, na który odpowiedziała zaledwie i wyszedł.

Edyta, zostawszy sama, wróciła pod okno i kończyła obrębianie chustki ojca. Igła upadła na ziemię. Chciała ją nawlec nanowo, ręce jej drżały tak silnie, że nie była w stanie tego uczynić. Dwie wielkie łyzy spadły na robotę. Wstała, poszła, aby wziąć książkę, spojrzała na dedykację, przerzuciła kilka kartek, i znów powróciła do dedykacji i czytała ją. Jak długo?

Wreszcie zamknęła gwałtownie książkę i położyła na miejsce. Otworzyła okno i wsparła się na framudze.

Deszcz ciągle padał. Ale Edyta nie nie widzia-

ła. Kiedy powietrze uspokoiło wzburzone nerwy, usiadła i napisała list następujący:

„Szanowny i kochany proboszczu!

Z prawdziwą wdzięcznością przyjmujemy miłe zaproszenie spędzenia dni kilku na plebanii. Nie sądzę, by hrabia d'Ormengo wziął nam za złe, że nie mieszkamy w pałacu; zapewne potrzebuje spokoju i wypoczynku po odbytych uroczystościach ślubnych. Być może, iż wyjedziemy ztąd pojutrze.

Od pewnego czasu nie spostrzegam postępu w uczuciach religijnych mego ojca; obawiam się, czy postępuję właściwą drogą i przykro mi, że nie umiem wyzyskać jego przywiązania do mnie dla przeprowadzenia świętych zamiarów. Jednakże chodzi ze mną do kościoła i z pewnością modli się. Ale jeśli chodzi o spełnienie jakiego obrzędu, gdzie zetknąć się trzeba z księżmi, wtedy zgoła nie stara się pokryć swego wstrętu.

Pragnę zasięgnąć twej rady, ojcze, a przedewszystkiem spokojną będę, jeśli mój ojciec czas jakiś spędzi w plebanii. Wiem, jak wielką sympatyę czuje on do szanownego proboszcza, może więc pod jego wpływem duchowa strona ojca rozwinie się w nowym kierunku.

Chcę być szczerą i powiem, że i ja potrzebuję rady, światła i pomocy.

Szanowny proboszcz wie, jak pojmuję obowiązki córki. Powinnam całkowicie należeć do swego ojca, bo prócz mnie, nikogo on nie ma na świecie. Przez długie lata tułał się z miejsca na miejsce, oddalony od ojczyzny, cierpiał głód, nędzę, w czasie, gdy ja opływała we wszystko, nie wiedząc nawet, co się z nim dzieje. Małą będzie nagrodą, jeśli poświęcę mu życie całe wobec tych przebytych cierpień i udręczeń. Coś wstrząsnęło mem sercem i zakłóciło jego spokój; drzę jeszcze cała z obawy i bólu, ale odczuwam zarazem smutną, bolesną radość, że i ja prze-

cierpiałam trochę dla mego ojca. Nie umiem się dobrze wyrazić, może mi przyjdzie wypowiedzieć jasno wszystko, co mi na sercu leży, tam, w cichej plebanii, wśród zieleniejących pól.

Proszę mi wybaczyć, jeśli rozpisałam się za długo, ale pisząc do proboszcza, czuję, że wstępuje we mnie nowa wiara i nadzieja.

Polecam się modlitwom szanownego proboszcza i proszę o błogosławieństwo.

Medyolan, 30 kwietnia 1863 r.

E. S."

Silla schodził ze schodów spokojny, szydząc sam z siebie, ze swych marzeń i złudzeń, które pozostawił za sobą. Plusk deszczu powtarzał mu ciągle: „Płacz, płacz.” Ale wcale nie miał ochoty płakać. Raz jeszcze rozwiały się jego nadzieje i marzenia. Być kochanym? On? Niepodobna, wiedział o tem. Ale płakać, jak dzieciak, jak podły? Nigdy! Będzie walczył do śmierci, dopóki serca i mózgu nie zaleje mu krew. Miał jeszcze do napisania wiele pięknych rzeczy, wiele czynów przed sobą, zanim zapoznany, wzgardzony, zejdzie do grobu, strącony niesprawiedliwością losu — gdy dzień jego zajdzie.

Szedł obok katedry i wstąpił tam, jak to zwykle czynił, gdy go szarpał niepokój wewnętrzny. Usiadł w ławce. Kilka starych kobiet modliło się po kątach, zwiedzający snuli się powoli w półcieniu, ksiądz przebiegł śpiesznie. Ukorzył się duch jego i nagle z głębi duszy wyrwała mu się skarga: *Quid me persequeris?* I stała się w jego wnętrzu cisza, chłód większy, niż w katedrze samej. Zdało mu się, że olbrzymie kolumny przygniatają mu myśl swym ciężarem; ogarnęły go ciemności, dusiło go. Silla nie powtórzył już pytania, skoro nikt słyszeć go nie chciał.

Wówczas powstały w nim dawne wspomnienia. Ujrzał Saettę i siebie w niej obok Mariny, wśród bu-

rzliwej nocy. Czuł dwie nóżki, wsparte o jego kolana. Chłód kościoła rozgrzewał go, doznawał gorzkiej radości, słuchając głosu pokuty. Rozkoszne obrazy roztaczały się przed nim; Marina była tuż przy nim, już nie na łodzi wśród burzy, ale w pokoju, w pałacu i szeptała mu: „Nareszcie!” Brała go za rękę i ciągnęła, biegnąc w noc ciemną...

Wstał i zataczając się, wyszedł z kościoła.

III.

Płakałem we śnie.

— Ach, Boże! Sillo, co za historia! — mówiła pani de Bella, wpadając, jak huragan. — Dobry wieczór! Czy długo też pan na mnie czeka? Jakżeż zdrowie?

Zrzuciła białe futro z ramion i podała Silli małą, wonną rączkę, zdobną w pierścionki. Miała na sobie blado-niebieską suknię, pokrytą czarnym tiulem, odsłaniającą ramiona i szyję. Żadnych klejnotów, tylko w uszach wielkie koła złote, wysadzone turkusami, kwiat niebieski u gorsu, drugi w blond włosach, ułożonych w sztuczny węzeł.

Wstał na powitanie strojnej damy, która, wchodząc, obrzuciła Sillę badawczym spojrzeniem i zbliżyła się do niego.

— Co za historia, co?—mówiła Julia de Bella. Przedstawiła Sillę i powtórzyła:

— Co za historia!

— Wiedziałam o tem. Czy widziałas panią Mirelli?

— Nie, miała tu być dziś wieczór. Jakim sposobem dowiedziałas się?

Służący oznajmił nowych gości. Weszło kilka pań i panów. Panie otoczyły Julię, zasypywały ją py-

taniami, wykrzyknikami. Panowie wyciągali ręce ku Julii, a jasna jej główka chyliła się na wszystkie strony, twarz promieniowała wesołością, usta śmiały się.

Silla widywał tych ludzi dawniej, gdy bywał w świecie. Panie należały do bogatego mieszczaństwa lub drobnej szlachty. Prawie wszystkie młode i ładne, miały w oczach płomyk miłości. Kilku z młodych ludzi, tu obecnych, uchodziło za ich kochanków. Niktby się tego z zachowania ich nie domyślił, gdyby nie przelotne spojrzenia, wyrażające zazdrość lub zachwyty. Najmniej może dbającą o pozory była strojna pani, lat około czterdziestu, silnie wydekoltowana. Weszła tu sama, wyprzedzając o parę minut zaledwie swego kochanka, młodego oficera artylerji. Kiedy nieszczęściem śmiał przemówić do innej kobiety, przesywała go wzrokiem.

Było gorąco, mimo szeroko otwartych drzwi na dwa sąsiednie salony, oświetlone *a giorno*; a były to: sala balowa, żółta, wspaniała, pełna kosztownych drobiazgów, cennych malowideł, oraz sala pałowa dla muzyki, z posągami marmurowymi kararyjskim pośrodku. W sali niebieskiej unosiła się subtelna woń, przejmująca Sillę. Pytał się siebie, czy właśnie tu nie istnieje prawdziwe szczęście, wśród tego zbytku, w tej atmosferze, przesiąkniętej miłością kobiet.

— Jakos nie widać pani Mirelli — odezwał się ktoś z obecnych.

Już po raz drugi czyniono tę uwagę.

— Co za historia! Nieprawdaż, Lauro? — wtrąciła pani domu.

— Laura nie mogła widzieć, gdyż miała łożę nad tamtą — odparła jedna z pań.

— Tak, ale mój mąż opowiedział mi wszystko — rzekła Laura. — Wszyscy patrzyli na łożę, a ja nie wiedziałam przyczyny. Widziałam tylko obnażoną rękę i włosy M. P.

— Ja uważam — wtrąciła jedna z pań — że pani Mirelli nie powinna była wychodzić.

— Sama się zdradziła — dodał jeden z młodych panów.

Rozmowa stała się ogólną. Jedni ganili, drudzy chwalili panią Mirelli, że wyszła z teatru, zobaczywszy kochanka z jakąś awanturnicą.

Rozprawiano z ożywieniem, unikając jednak zbyt dosadnych wyrażen, by nie obrazić osób obecnych, znajdujących się w podobnem położeniu.

— To chwilowy kaprys pani P. — objaśniał inny znów młodzieniec. — Tyloma ich uraczyła swego męża!

— A ta dama, cóż to za jedna? — zapytała Laura.

Wszyscy odpowiedzieli na to, bo tu już nie było powodu do oglądania się. To Angielka, Rosyanka, Amerykanka... Tak, nie...

Wtem służący zaanonsował panią Mirelli.

Zapanowało grobowe milczenie.

Julia, zajęta przyrządzaniem herbaty, pobiegła zaczerwieniona na spotkanie p. Mirelli, ładnej bardzo osoby, drobnej, bladej, o czarnych oczach.

— Ach, najdroższa! już straciłam nadzieję powitania cię!

— Mąż przysłał po mnie do teatru z powodu Maksa. Kaszlała trochę dziecina! Ale to nic ważnego! Jednakże zaniepokojona jestem... Dobry wieczór, Lauro! Przysłałam tu rozerwać się trochę.

— Witam cię, Emilio. Dobrze zrobiłam, co? Dobry wieczór, dobry wieczór!

Wszyscy otoczyli ją z nadzwyczajną uprzejmością. Julia wróciła do herbaty. Rozmowa nawiązała się znów; mówiono o sztuce, o księciu Piemontu, obecnym na niej, o pannie Desclée, którą wiele pań krytykowało. Panowie przytakiwali przez grzeczność, ale wszyscy prawie zachwyceni byli artystką.

Silla stanął w jej obronie, unosił się nad jej magnetycznym wzrokiem, nad uśmiechem melancholijnym i głosem przejmującym do głębi.

Jego zapał zadziwił trochę tych sztywnych światowców, ale podobał się ogólnie. Hrabina Antonina de V., sentymentalna brzydota, wielbicielka Heinego i Schumanna, twierdziła, że jest zupełnie jego zdania: p. Desclée—to prawdziwa kobieta i nikt pojąć jej nie może. Zaprosiła go na swe poniedziałki, podając wypróbną filiżankę z zalotnym uśmiechem.

Podczas, gdy muzyk przebiegał palcami po klawiszach, Julia, przechodząc koło Silli, rzuciła mu:

— Oto chwila nadchodzi.

Przyszła i usiadła przy Silli, zobaczywszy, że wszyscy skupili się przy fortepianie. Obnażone ramiona i głowa jasna odbijały ślicznie na tle błękitnego salonu. Poruszała białym wachlarzem.

— Jedna piękna pani mocno się panem zajmuje—zaczęła.

— Mną?

— Panem. Nie udawaj niewiniątka, nie lubię tego. Piękna pani, arystokratyczna, elegancka, dowcipna, jedna z mych przyjaciółek. Ta pani przeczytała pański anonimowy „Sen,” podobał się jej również, jak i mnie.

Silla skłonił się.

— I ta pani nazywa się?—spytał wesoło.

— O, za prędko—odrzekła Julia z uśmiechem.— Ta pani—ciągnęła dalej—pragnie poznać życie pańskie, zwyczaje, stosunki, różne drobiazgi, zwykle interesujące kobiety. Obiecałam jej tysiące szczegółów, sądząc, że będę pana widywała często tej zimy. Ale udawał pan niedźwiedzia! Nie widziano cię nigdzie. Czemu? Teraz musisz pan odwiedzać mnie często i pozwolić się studyować.

Podawała mu rękę, śmiejąc się i zatrzymała ją dość długo w swojej.

Julia de Bella uchodziła za skończoną kokietkę. Mąż jej, by usprawiedliwić swój brak energii, mawiał, że ona jest tylko barwnym motylem.

— Przychodzić będę niezawodnie, ale z pewnością nie dla tak nieokreślonego X.

— Nie, nie, za nic, nie chcę komplementów. Proszę mi tylko powiedzieć, że pan będziesz przychodził często dla tego X., a dla mnie tylko trochę, albo dla mej kuzynki Antoniny—dodała ze złośliwym uśmiechem.—Czy ją pan zna?

— Raz ją widziałem u pp. B.

— A, bywa pan u pp. B? Niech pan X. nie szuka między memi znajomemi. Nie mieszka w Medyolanie.

— Nie mieszka w Medyolanie? —powtórzył Silla zdziwiony.

— Nie, nie mieszka w Medyolanie—powtórzyła Julia—kiedy głośne akordy odezwały się znów.—Mieszka w romantycznej okolicy! Wyobraź pan sobie: jezioro otoczone górami, czarny, ponury zamek na zielonem wybrzeżu, jakby szkocki obrazek. Przyjaciółka moja ma łódź na swe usługi i często puszcza się na późne wycieczki, jak bogini uocy! W miłym towarzystwie możnaby tam przeżyć parę tygodni, mało spać, wiele marzyć, czytać stare książki, zbierać różne rośliny rzadkie i muzykę uprawiać wieczorem na jeziorze! Ale ona, moja przyjaciółka, siedzi tam sama, zakopana, ze starym wujem...

Julia zerwała się, pobiegła do sąsiedniej sali i biła oklaski zaczerwienionemu, spoconemu artyście, który właśnie ostatnie uderzał akordy.

— Cudowniel!—zawołała, łącząc się z zachwytem ogółu.

Hrabina Antonina szukała wzrokiem Silli. Ukazał się po chwili bardzo blady, oszołomiony; stanął przed marmurowym posągiem.

— Co pan mówi o tej muzyce? — spytała przymilajac się.

Odwrócił się nagle, myślał, że ta pani pyta go o statwę.

— Bardzo piękna!

— Jakto i pan także! Ależ to poprostu okropność! Muszę popracować trochę nad pańskim gustem muzycznym!

— Antonino! — zawołała pani de Bella. — Czy chcesz mi zaakompaniować do pieśni Schumanna?

— Ależ bardzo chętnie. Słuchaj pan dobrze — powiedziała, zwracając się do Silli i zdejmując rękawiczki.

Właśnie w tej chwili oficer artylerii witał się z Sillą. Był to Piemontczyk, nizki, zwinny, o oczach ruchliwych i błyszczących.

— Ty tul.,.

Razem byli w uniwersytecie i od tego czasu spotykali się rzadko.

— Usiądźmy razem w kącie i pogawędźmy trochę podczas tej muzyki. Od trzech miesięcy jestem już w Medyolanie i nie spotkałem cię nigdzie. Któraż jest twoja?

— Moja?

— No tak... *sapristi!* twoja kochanka!... Patrz, oto tam siedzi moja, ta gruba w lila z białem. Znasz ją? To hrabina, baronowa, czy tam margrabina, sam nie wiem! Porzucę ją prędko, bo zanadto zazdrośna! Przytem, mój drogi, co najmniej czterdzieści lat! Jednakże piękna jeszcze! *sapristi!* tak!... Ten rak tam przy fortepianie, to przecież nie twoja, co?

— Cicho bądź, waryacie!

— To może ta... ta... zawsze zapominam nazwiska, ta brunetka w różowym? Ach nie, to kochanka pana B. Więc to może pani domu, co? Ach ty łotrzel!

— Ależ nie, na litość, bądź cicho!

— Brawo! W takim razie ja się postaram o jej względy! Ależ to niepodobna, byś ty nie miał intrygi miłosnej? Pocobyś tu przyszedł? Popatrz-no na ten bukiet pięknych kobiet! Co za kształty! Widzisz, jakie spojrzenia ciska brunetka p. B. Dotąd kręci główką że spotka się z jego oczami, rzuca mu pocaunki a na chwilę zaspokoja.

Podczas tego pani Bella śpiewała z nadzwyczajnym zrozumieniem pieśń Schumanna do wyrazów Heinego:

„Płakałem we śnie; śniłem, żeś umarła; zbudziłem się, i łzy mi po twarzy spływały.

„Płakałem we śnie; śniłem, że mnie porzucasz; zbudziłem się i długo gorzko płakałem.

„Płakałem we śnie; śniłem, że mnie kochasz jeszcze; zbudziłem się, i potok łez moich płynie wciąż.”

Pani Mirelli, śmiertelnie blada, miała oczy pełne łez. Rzeczywiście, w muzyce dźwięczał smutek tego snu bolesnego. Tony fortepianu powtarzały Silli jakby odgłos deszczu.

— Płacz, płacz, marzenie twoje rozwiąło się już.

Ale on w tej chwili śnił o czem innem! Tajemniczą przyjaciółką, o której mówiła mu pani de Bella, to Marina! A więc Marina myśli o nim! Może go kocha nawet...

— I cóż!— spytała Antonina Sillę, wkładając rękawiczki— płakał pan?

— Ja nigdy nie płaczę. Ale śniło mi się, że płakałem.

— Biada temu, co nie doznaje wzruszeń — odrzekła. — W poniedziałek usłyszysz pan jeszcze inne rzeczy.

Ucałowała Julię.

— Żegnam cię.

— Tak prędko?

Ruszyli się wszyscy. Zajechały karety. Zamieniano wyrazy, uściśnienia, uśmiechy już przy drzwiach.

Silla zbliżył się ostatni pożegnać panią domu. Rzuciła mu z uśmiechem:

— Przedewszystkiem niech pana nie odstraszą moje dzisiejsze zwierzenia. Do piątku, nieprawdaż? Zawsze między czwartą a siódmą.

Schodził po schodach za panią Mirelli, idącą ze swą przyjaciółką Laurą. Zdawałoby się mogło, że

w salonie pozostawiła maskę uprzejmości; mówiła cicho a gwałtownie. Do uszu Silli doleciały te wyrazy:

— Zrozumiałam wszystko!

Konie rżały, niecierpliwiły się przed domem. Służba nawoływała karety. Silla skorzystał z zamieszania i wymknął się niepostrzeżenie. Już otwierał drzwi swego mieszkania, gdy mu posłaniec z depeszą zaszedł drogę.

— Przepraszam pana, czy tu mieszka pan M. Silla?

— To ja właśnie.

— Tem lepiej. Pilna depesza. Zaraz dam panu ołówek.

Silla podpisał, wziął depeszę i po odejściu posłańca przeczytał:

„Hrabia Cezar ciężko chory pragnie pana widzieć. Przybądź, panie M., ale Malombra prosi o to. Jutro dziesiąta, powóz oczekiwać będzie na stacyi.

Cecylia.”

O świcie wyjechał.

CZEŚĆ CZWARTA.

Malombra.

I.

Wiem, wiem, on wrócił.

Silla przybył na stacyę C. o dziesiątej i pół. Ranek był gorący, przesiąknięty burzą.

Odnalazł woźnicę, który się spytał:

— Jedziemy do pałacu?

— Czy przysłano cię po mnie?

— Tak. Wczoraj rano miałem zabrać rzeczy państwa młodych z pałacu. Odwołanie! Już nie jadę. A wieczór ktoś stuka do mych drzwi, to Rico, syn ogrodnika, z rozkazem, bym dziś był na stacyi o dziesiątej. Więc...

— Dobrze. Jak miewa się hrabia?

— Doskonale.

— Jakto, nie chorował?

— Widziałem go w tych dniach. Trochę postarzał, zgarbił się, zbrzydł, ale był zdrow.

— Cóż ci powiedziano wczoraj rano w pałacu?

— Nic zgoła. Ogrodnik stał przy bramie; zobaczywszy mnie, kiwnął, bym zawrócił. Pojechałem następnie do Lecco i wróciłem bardzo późno do domu.

Ruszyli. Koń szedł leniwie, ogonem spędzając dokuczliwe muchy.

— A ślicznie było w pałacu zeszłego wieczoru!— mówił woźnica.

— Albo co?

— Donna Marina brała właśnie ślub rano. Nie wiedział pan o tem? Najpierw ślub miał się odbyć wieczorem, potem zmieniła.

Opisywał iluminacye, festyny. Silla nie słuchał. Więc jest już mężatką i pisze w ten sposób? Użyła imienia Cecylii? Ależ podpis ten tchnął namiętną miłością, wołał: „Przybywaj, kocham cię!” Nazajutrz po ślubie? Czy hrabia jest rzeczywiście chory, czy nie? Czemu nowożeńcy nie odjechali? A jeśli hrabia jest zdrow? Gdyby to było kłamstwem? Pytania te snuły mu się w myśli. Droga, przepełniona tumanami kurzu, wydała mu się urwiskiem, z którego biegł ku jakiejś przepaści.

Dobili do ostatniej oberży po drodze. Powietrze było duszne. Koń zatrzymał się, a woźnica wypił szklanekę wina.

— A co!—rzekła oberżystka—umarł!

— Kto taki?

— A no hrabia przecież!

— Zkąd wiecie o tem? — zapytał Silla, blednąc.

— Od chłopaka Cecchiny, który przechodził tędy przed chwilą. Czyście go nie spotkali?

— Prędzej, prędzej jedźmy!

Woźnica zaciał konia, ruszyli galopem.

— Umarł!—powtarzał sobie Silla—a ja nie myślałem już o nim.

Serce zabiło mu gwałtownie, gdy dojrzał jezioro, przy drodze oczekiwał na niego Rico z czapką w ręce.

— I cóż?—spytał Silla.

— Ciągle tak samo.

— Więc żyje jeszcze?

— Tak, paniel! Właśnie przyjechali doktorzy.

— Jacy doktorzy?

— Jest nasz i ojciec Tosi. Przyjechał dziś rano z Lecco. Zaraz, mam tu kartkę do pana od donny Mariny. Powinien pan udać, żeśmy się zupełnie nie widzieli.

Silla spojrzal na kartkę, była bez podpisu. Tak mu ręce drżały, że ledwo mógł ją utrzymać. Wreszcie przeczytał:

„Nie wspominaj pan o telegramie.”

Schował ją i wypytywał Rica o chorobę hrabiego. Hrabia nie czuł się dobrze już od jakiegoś czasu. W przeddzień rano znaleziono go na ziemi twarzą na dół między łóżkiem a drzwiami. Ocucono go i przyszedł trochę do siebie. Giovanna jednak twierdziła, że nie wróciła mu ani przytomność, ani mowa. Fakt ten zastanowił Sillę. Jeśli hrabia nie odzyskał przytomności, jakże sobie tłómaczyć depeszę Mariny? Może miał choć chwilę samowiedzy? Ale jeśli depesza była kłamliwą, to kartka była zbyt jasną.

— Czy są goście w pałacu?

— Jest hr. Nepo, jego matka, Catte, stary pan z Wenecyi i jeszcze jeden pan, który tu już był w czasie pańskiego pobytu w pałacu.

Otworzyła się brama wjazdowa. Rico zniknął wśród świerków. Silla przebiegał wielkie schody.

I oto ciemne cyprysy, szmer strumyków wokół, a tam w głębi ciemny dach pałacu między ciemnozielonem dzikiem winem.

Cichy szmer wody powtarzał wśród południowej ciszy: „Wiem, wiem, zawsze wiedziałam, on znów jest tu, ja się nie dziwię, ja, co wciąż płynę! Znam jej historję, jej przeznaczenie, jak również i człowieka, który tam leży, w ciemnym pokoju, otoczony cieniem śmierci. Wiem, wiem! Znam tajemnicę jego serca, a także kobiety, która tam drży samotna, wsparłszy czoło o czarne, hebanowe biurko z białemi hieroglifami. Mego spokoju nie zakłóca. Idź, idź, schodź, połącz swe myśli i namiętności z tamtymi; niech płyną, płyną, aż wszystko zmiesza się i zniknie. I mój los taki. Wiem, wiem...”

Nikogo nie było w podwórzu, ani w przedsionku. Wchodząc na schody, Silla usłyszał nad głową odgłos kroków i rozmowy. Służący przybiegł, zdziwiony jego obecnością i doprowadził go do drzwi salonu. Silla się zdało, że dojrzał Marinę, wszedł.

Nie było jej jednakże. Siedziała hrabina Fosca, jej syn, komandor Vezza, wiekowy jegomość czarno ubrany i ojciec Tosi, mnich, znany Silli z widzenia, piękny, majestatyczny mężczyzna, o inteligentnem czołe, oczach pełnych zapału. Rzucił przelotnie okiem na wchodzącego i dalej prowadził rozmowę z komandorem. Stary jegomość powstał z szacunkiem, hrabia i Nepo spojrzeli na siebie zdziwieni, a Vezza skłonił się bardzo zimno.

Na szczęście weszła Giovanna.

— Ach, kochany pan! pan Silla!

Zbliżyła się do świeżego gościa zapłakana, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami.

— Ach, jak to dobrze, że pan przyjechał! To Opatrzność pana tu sprowadza. Niech pan przyjdzie do niego! Wszak można, ojczy Tosi?

— Na litość, zostawcie go w spokoju!—zawołała hr. Fosca.

Silla zwrócił się do mnicha, patrzącego na Giovannę z wyrazem szczególnej dobroci. Grubym głosem tenże odezwał się do Silli:

— Czy pan zna chorego?

— Znam.

— Jeśli to panu sprawi przyjemność, idź pan. Dla chorego to wszystko jedno.

Giovanna uczyniła gest błagalny.

— Zaprowadź pana, stara, ale nie mów co chwila o Opatrzności. A ty co robisz?

Pytanie to zwrócił do służącego, stawiającego tace, przepelnioną srebrem i kryształami.

— Za jakiegoż mnie masz zakonnika? Podaj mi chleba i wina, to wystarczy.

— Może to nieostrożność—zauważył Nepo, wskazując na wychodzącą Giovannę z Sillą.

— Gdyby to miałyby być nieostrożnością, nie pozwoliłbym na nią.

Ojciec Tosi zwrócił się do Vezzy:

— Ucałowałbym z chęcią tę pocziwą staruszkę, która drepcze wszędzie ze zboląłą twarzą, w spiczastym czepeczku. To prawdziwa piękność!

Hrabina patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczyma.

— Co za oryginał — rzekła do starego jegomościa — gdybym nie miała zakrwawionego serca, śmiałabym się z niego. Nie wyjeżdżasz jeszcze, ojczy?

— Nie wiem.

— A? mówiono mi, że chcesz zaraz wyjechać, ojczy!

— Mówiono?

— Ale nie wyjeżdżasz?

— Nie wiem...

— Do dyabła! — mruknęła zniecierpliwiona hrabina.

— Już pani mówiłem — rzekł zakonnik bardzo głośno — choroba jest bardzo prosta. Jest to napad półapoplektyczny. Chory może się poprawić, lub też umrzeć przy następnym ataku, wola Boska! Przyczyna choroby jest tajemniczą i chciałbym ją zbadać, by zapobiedz powtórnemu napadowi w razie wyzdrowienia.

— Ale przyczyna, mój ojczel!...

Mnich spojrział na nią piorunującym wzrokiem.

— Niepotrzebnie patrzysz tak na mnie, ojczel! — odezwała się hrabina z niecierpliwością. — Nie przeczę, że jesteś uczonym doktorem, ale znałam i innych, którzy, gdy mówili o przyczynie choroby...

— Pani! — przerwał mnich. — Ojciec Tosi nie jest bynajmniej uczonym, a zrobił dwa wielkie głupstwa w życiu: chciał być zakonnikiem i lekarzem zarazem. Ale ręczę pani, że minął się z powołaniem: mógłby być znakomitym sędzią śledczym. Żegnam panią.

Powstał i wyszedł z p. Vezzą.

— Co za oryginał — zawołała hrabina — to wariat! A tamten! Zkąd się tu wziął? To ten... Wybrał sobie stosowną porę do powrotu! A ta głupia Giovanna prowadzi go do chorego! Proszę pana — dodała, zwracając się do starego jegomościa — nie opuszczaj mnie, tak potrzebuję przyjaciela!

— Ależ, droga pani, oczekują mnie od dwóch dni w Wenecyi.

— Cicho! — odezwał się Nepo. — Zdawało mi się, że słyszę głosy, ale musiałem się omylić. Powiedz, mecenasie, co sądzisz o powiedzeniu tego łotra mnicha? Sędzia śledczy? Co to ma znaczyć? Więc bierze nas za morderców, zbrodniarzy. To nie do zniesienia!

— Ależ nie, to narwaniec, który mówi, ot tak sobie...

— Sędzia śledczy! — powtarzał Nepo, wielkimi krokami przebiegając salon.

Drzwi się uchyliły i wyjrzał długi nos Catty. Nepo i hrabina rzucili się ku niej. Catte szepnęła im kilka wyrazów i znikła. Syn i matka wrócili na swe miejsca, a adwokat spytał:

— I cóż?

— Nic. Ona nie chce mnie widzieć — rzekł Nepo.

— A pani hrabiny?

— Także nie! Ach, mój Boże! za co mnie spotykają takie zmartwienia! Czy pan coś z tego rozumie?—zapytała hrabina.

— Nie mogę odpowiedzieć sumiennie: tak!

— Ale trzeba to raz skończyć. Trzeba skończyć, Nepo, dziecko moje, musisz się z nią widzieć po dobrej woli, czy też siłą. Musisz się z nią rozmówić, musi się wytłómaczyć, powinienes raz się dowiedzieć, czy jest chorą, co myśli, czego chce.

Nepo zrzucił binokle i rzekł z przejęciem:

— Nie, mamó, ty nie się na tem nie znasz; nie róbmy głupstw. Jeśli będziemy nalegali, podrażnimy ją jeszcze bardziej. Za wiele mam serca, by nie uszanować jej bóleści. Jeśli sobie tego życzy, odłożymy małżeństwo. Nie jestem niecierpliwem dzieckiem, panie mecenasi! Nie jestem dzieckiem, mamó, rozumiesz?

Adwokat patrzył na hrabinę z litością ironią.

Nepo podszedł do niego, wziął za guzik od surduta i dotykając prawie nosem jego twarzy, mówił:

— Kochany mecenasi, przy sprycie swym zrozumiesz, że interesy materyalne muszą iść w parze z formami. Przedewszystkiem nie weźmiesz mi za złe, gdy mu powiem, że uczucia moje są tu zupełnie bezinteresowne... Ale wybornie... widzę, że pan to pojmuje! Zapis *sapristi!* Proszę Boga, by nam zachował wuja na długie lata jeszcze w dobrem zdrowiu; ednakże w razie nieszczęścia? Zapis na moją korzyść

miał być wczoraj rano podpisany. Czy obecnie będzie on w możności podpisać? Trzeba czuwać bezustannie i skorzystać z pierwszej chwili przytomności.

— Zapewne, ale musi mieć całkowitą świadomość i lekarz powinien być obecny, byśmy nie wpadli w gorszą jeszcze gmatwawinę.

Dosłyszano głos ojca Tosi z loggii.

— Pójdę dowiedzieć się do wuja — rzekł Nepo i wyszedł, pozostawiając matkę sam na sam z adwokatem.

— Co prawda, mój syn miał słuszną, oburżającą się na to wyrażenie: „sędzia śledczy” — powiedziała hrabina.

— Rozumie się. Pomówię z tym mnichem, jeśli pani sobie życzy.

— Tak, dobrze, dobrze, rozmów się pan, działaj, jak uważasz za stosowne! Ach, drogi przyjacielu, tyle awantur! Człowiek już nie wie, gubi się! Jest ślub, nie ma ślubu! Nie ma godzin stałych, przeznaczonych na jedzenie, na spanie! Co za dom! Co za pobyt!

Wszedł służący i zabrał nakrycie.

— Idź, drogi przyjacielu, dowiedz się od niego; ja tymczasem spocznę trochę. Dzisiejszej nocy oka nie zmrużyłam, ledwo żyję. Zawołaj mi Cattelę! — rzekła, zwracając się do lokaja.

I kiedy służący wyszedł na poszukiwanie Catty, odezwała się do adwokata:

— Postaraj się pan czegoś dowiedzieć o tym p. Silli.

Silla nie poszedł odrazu do hrabiego. Prosił Giovannę, by mu opowiedziała zdarzenia dni ostatnich. Pocziwota! Mówiła cichym, znękany głosem, który zdawał się dochodzić zdaleka, zdaleka, ze świata boleści.

Ślub miał się odbyć 29-go wieczorem, w ostatniej jednak chwili odłożyła go donna Marina na 30 rano. Pomimo to 29-go urządzono wieczorem sztuczne ognie

i muzykę na jeziorze, i hrabia bawił się doskonale. Kilka dni przedtem czuł się co prawda nie zdrów, ale to przeszło. Prawda, znacznie się postarzał, ale to dawniej...

Tu Giovanna wykonała znaczący ruch ręką, domyślać się można było, że wstrząśnienie to przypisywała opuszczeniu pałacu przez Sillę. Ostatecznie tego wieczora nic nadzwyczajnego nie było. Ślub miał się odbyć nazajutrz o siódmej rano. O godzinie piątej Giovanna, wszedłszy do hrabiego, zastała go kładącego, zwróconego twarzą do ziemi i ze wszystkimi oznakami ataku apoplektycznego.

Znów zatrzymała się chwilę w opowiadaniu. Następnie dodała, że niezwłocznie kazała posłać po doktora i po księdza.

Doktor, spostrzegłszy, że stan chorego jest niebezpiecznym, zażądał konsylium. Na nieszczęście ojciec Tosi był nieobecnym i przyjechał dopiero na kilka godzin przed Sillą. Stan hrabiego przez cały dzień nie zmienił się, wieczorem doktor z radością zauważył gorączkę, która się w nocy jeszcze wzmogła. Twarz nie była już tak kurczowo ściągnięta, oczy mniej szkliste, a wargi usiłowały wymawiać jakieś wyrazy.

Giovanna miała nadzieję, że gdyby mógł poznać Sillę, sprawiłoby mu to wielką ulgę.

— A ślub?

— O, panie! nie nie wiemy! Donna Marina od 29-go wieczorem nie opuściła pokoju. Mówią, że jest chorą, bo wczoraj rano kazała sobie przynieść wielką ilość lodu. Nie chce widzieć ani narzeczonego, ani jego matki. Widuje tylko pannę służącą i Rica. Ach, panie! Niech tylko pan mój wyzdrowieje, a reszta!... Ale chodźmy, chodźmy, a może pana pozna!

W przyciemnionym pokoju głowa chorego odcinała się czarną plamą na bieli poduszek. Doktor dumnie siedział przy półotwartem oknie. Giovanna i Silla zbliżyli się do łóżka i pochyliwszy się nad tą biedną głową, szeptali kilka słów. Hrabia spojrzał na

Sillę nieprzytomnemi oczyma. Poczem, obróciwszy się do staruszki, poruszył wargami. Z trudem zrozumiała:

— Pić!

Giovanna podała mu napój i starała się zwrócić jego uwagę na Sillę.

— Dosyć!—odezwał się w cieniu głos doktora.

Giovanna wyszła zrozpaczona. W korytarzu spotkali zakonnik.

— No cóż? Nic? Wiedziałem o tem.

— I co teraz będzie?—jęknęła Giovanna.

— Nie rozpaczaj odrazu! Trzebaby wiedzieć, czy się atak powtórzy. Często się zdarza, że to nie wraca. Czy nie mówiłaś temu młodemu człowiekowi?

— Nie, mój ojczel!

— Dobrze. Słuchaj, chcę zwiedzić dom; chodź więc ze mną. Potem każ mi przygotować fotel w loggii, żebym mógł palić. Jeżeli za kwadrans nie wypalę fajki, to nie wytrzymam.

Podczas gdy mniech i Giovanna skęcili do domu, Silla, oparty o balustradę loggii, patrzył na zielonkawe jezioro, lśniące w słońcu. Zdawało mu się, że nigdy nie wyjeżdżał, a Medyolan, długa zima i smutne myśli, to wszystko było snem: tak działał na niego niewzruszony spokój natury. Ale prawda tryskała z kamieni, z tych starych, surowych kamieni, a z nią razem obawa śmierci i uroczy obraz tej, która napełniała dom swoją obecnością. Dlaczego się ukrywa? Zdawało mu się, że słyszy jej stąpanie, szelest sukni, szmer głosu. Patrzył w pustą loggię i czekał.

A może to ona!... Nie, to przyjaciel Salvadorów, adwokat Mirowitch. Na palcach przeszedł przez loggię, ukłonił się ceremonialnie Silli... „sługa”, i skierował do pokoju hrabiego; ale wkrótce powrócił i zaczął z Sillą rozmawiać.

Bardzo uczciwy człowiek ten adwokat, ale odany duszą i ciałem hrabinie Fosca, której majątek

uporządkował po śmierci męża. Starał się wybadać Sillę, z kąd się dowiedział o chorobie hrabiego. Silla odrzekł, że wszędzie o tem mówią i że tegoż dnia rano miał wiadomość. Adwokat, któremu rola szpiega była wstrętną, zmienił prędko przedmiot rozmowy.

Zeszli do ogrodu, gdzie zastali Vezzę, karmiącego ryby. Silla, aby go uniknąć, przeszedł przez podwórze i otworzył furtkę. Wyszedłszy na drogę, odwrócił się i patrzył na pałac. Narożne okno było zamknięte. Zachodzące słońce oświetlało szare ściany, magnolie i taras; wszystko było puste i spokojne. Kiedy Silla powracał, okno jeszcze było zamknięte, a słońce zaszło. Silla wrócił z przeczuciem, że Marinę zobaczy w nocy.

II.

T a j e m n i c a.

Obiad był smutny. Ojca Tosiego zaraz po zupie proszono do hrabiego i już nie powrócił. Hrabina i Nepo jedli z przygnębiającym wyrazem twarzy i w milczeniu. Vezza miał wprawdzie ochotę rozmawiać, ale adwokat Mirowitch zaledwie mu odpowiadał, a Silla milczał uparcie. Hrabina przypatrywała mu się zdziwiona; cierpiała z powodu tego milczenia i rzucała na syna wzrok zrozpaczony, ale on patrzył zimno i ten wzrok zamykał jej usta.

Pod koniec obiadu weszła Giovanna z oznajmieniem, że ojciec Tosi zabiera się do odjazdu, ale pragnie przedtem pomówić z rodziną chorego, jak to już zresztą powiedział adwokatowi Mirowitchowi.

— Trzeba uprzedzić Marinę—rzekła hrabina.

— Już wie o tem, ale powiedziała, że przyjść nie może.

— A więc my do niej pójdziemy.

— Zachowaj Boże! surowo zakazała, aby ktokolwiek do niej przychodził.

Silla wstał i złożywszy obecnym ukłon, wyszedł z pokoju.

— Zrozumiał — rzekł Nepo. — Czy możesz mnie objaśnić, Giovanni, z kąd się ten pan tu wziął i kto go tu zatrzymał?

— Z kąd się wziął, tego nie wiem. Prosiłam go, ażeby został, bo wiem, że pan hrabia bardzo był jego wyjazdem zmartwiony i jestem pewną, że się jego obecnością ucieszy. Pan mój zawsze mi przykazywał, aby pokój pana Silli był w porządku na wypadek, gdyby powrócił.

— Nie twoją było rzeczą prosić go o zostanie — powiedział hrabia. — Powinnaś była w tym względzie czekać na rozkaz donny Mariny lub mój. A teraz powiedz ojcu Tosi, że czekamy nań w pokoju pani hrabiny. Pan, panie Vezza, zechcesz być obecnym tej rozmowie, jako dawny przyjaciel hrabiego.

Mnich wszedł prawie równocześnie z nimi do pokoju hrabiny; za ledwie dotknął piuski, usiadł, nie czekając na zaproszenie, podczas kiedy hrabina, niespokojna, wystraszona, wachlowała się nerwowo. Adwokat Mirowitch, widocznie zakłopotany, patrząc kolejno na podłogę i na mnicha, wyjąkał:

— Ojciec Tosi pragnąłby wytłómaczyć... znaczenie słów... słów niedość jasnych... które dziś rano, tak, które dziś rano powiedział o przyczynie choroby hrabiego.

— Jakto? Ja pragnąłbym! Ależ ja niczego zupełnie nie pragnę! To mój obowiązek! Nazywam rzeczy po imieniu. Moim obowiązkiem jest oznajmić państwu, że hrabia d'Ormengo jest według mnie...

Hrabina Fosca upuściła wachlarz, który Nepo podniósł.

— Według mnie... jest zamordowanym — powiedział po krótkim wahaniu wolno i dobitnie mnich,

podnosząc oczy na Nepa, który stał z rękami w kieszeniach.

— O Boże! Boże! — jęknęła przerażona hrabina...

Nepo ruszył wzgardliwie ramionami. Adwokat starał się ich uspokoić. Hrabina, tonąc we łzach, powtórzyła:

— O Boże! Boże!

— Trzeba było postąpić ostrożniej, mój ojciec — zawołał adwokat Mirowitch, podtrzymując hrabinę...

— O Panie Boże! — szlochała — jakież okropne słowa!... i to po obiedzie!...

— Interes chorego wymaga, pani, wymaga, abym mówił jasno i prędko. Zresztą ja mówię prawdę nawet i po obiedzie!

— Prędejj, prędejj, mój ojciec, wytłómacz się — odrzekł adwokat.

— Jużbym był skończył, gdybyście państwo byli cierpliwi. Nie mówię, żeby tu użyto broni lub trucizny. Mamy do czynienia z atakiem apoplektycznym, a dziecko nawet wie, co to jest apopleksya. Mówię „zamordowany”, bo jestem przekonany, że powodem choroby jest jakiś gwałt.

— Ależ to idyotyczne! — krzyknął Nepo.

— To pan jesteś idyotą, mój piękny paniczu — rzekł mnich, patrząc na Nepa z ironią i pogardą. — Tak! jesteś idyotą! Ja, na przykład, mam wadę serca, i można mnie zabić bez trucizny lub rewolweru.

— Twierdzisz więc, ojciec?... — poddał Vezza, chcąc przerwać tę zaostrzającą się rozmowę.

— Twierdzą, że chory został rażony apopleksją wskutek wzruszenia silnego, strasznego!

— Ale jak? ale kto? — jęknęła hrabina. — Jak? na miłość boską! Mówże, ojciec! Pieczesz nas na wolnym ogniu!

— Nim będę dalej mówił — rzekł ojciec Tosi — chcę wiedzieć, czy wszyscy członkowie rodziny są tu zgromadzeni?

Zaległo milczenie.

— Czy są tu wszyscy?

Głos jakiś rzekł cicho:

— Nieobecna jest margrabianka.

— Margrabianka, moja przyszła żona, jest niezdrowa—rzekł Nepo z patosem.

— Jakże się nazywa ta margrabianka?

— Margrabianka Crusnelli de Malombra.

— A imię?

— Marina.

Mnich milezał chwilę.

— Marina... Czy niema innego imienia?

— Nazywa się Marina Wiktorya. Ale cóż to ma do tego?

— To ma bardzo wiele, mój panie! Jak się nazywają tutejsze służące, oprócz Giovanny?

— Catte i Fanny.

— Czy niema w domu kobiety imieniem Cecylia?

— Nie!—odpowiedzieli wszyscy chórem.

— Jestem pewien, że nocy zeszłej kobieta, imieniem Cecylia, weszła do pokoju hrabiego i tak go przestraszyła, że uległ apopleksyi.

Zapanowało głucho milczenie.

Hrabina, Nepo i Vezza zawiśli na ustach mnicha. Ale Mirowitch spuścił głowę i wyglądał jak człowiek dobrze o wszystkim powiadomiony.

— Oto—rzekł mnich, pokazując na ścianę, przy której stało łóżko—miejsce, gdzie znaleziono hrabiego w koszuli, twarzą do ziemi i z wyciągniętymi do drzwi rękoma. Wiecie o tem równie dobrze, jak ja. Drzwi od korytarza, które hrabia zawsze zamyka, były otwarte, a na łóżku Giovanna znalazła tę oto rękawiczkę.

Wyjął z kieszeni małą rękawiczkę. Nepo i Vezza chwycili ją i pobiegli do okna. Nepo zawołał:

— Ależ to nie rękawiczka! To spleśniały gał-

gan! Mogło to być kiedyś rękawiczką dziesięcioletniego dziecka.

— Może! ale ten gałgan, który do hrabiego należeć nie mógł, nie znalazł się przypadkiem na jego łóżku, tylko był tam rzuconym. Łóżko jest szerokie, zatrzymał się między ścianą, a poduszką. Lichtarz, świeca, filiżanka, leżały na ziemi przy drzwiach. Musiał je rzucić na tę... „osobę” w wielkim gniewie; szukał widocznie zapalek omackiem, bo stolik nocny był wywrócony. Filiżanka pełna była wody, jest rozlana na podłodze i prawym rękawie jego koszuli. Następnie odkrywamy jeszcze jedną rzecz: filiżanka nie jest zbita; musiała więc upaść na ciało miękkie, które wstrzymało upadek. Co to być mogło? Pewnie suknia, do której należy ten guzik.

Nepo chwycił guzik, który mu ojciec Tosi radował. Był to duży guzik, pokryty niebieską i białą materyą. Nepo poznał go natychmiast. Był to guzik od szlafroka Mariny.

— Hm! Nie znam go!

— Może pani będzie nas mogła objaśnić. Trzeba go pani pokazać!

— Hrabina? Ależ to śmieszne! O! nie zna go napewno! Prawda, mamó, że zupełnie tego nie rozumiesz? Gdybyś podobny guzik widziała u kogo z domowych, tobyś go poznała, prawda?

Hrabina Fosca umierała z ciekawości zobaczenia guzika, a jednocześnie czytała w oczach Nepa wyraźny zakaz. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Ach Boże!... Prawda... ale te podejrzenia... Mogę zobaczyć?...

— Jak chcesz, mamó — rzekł Nepo, patrząc na nią znacząco.

Hrabina wzięła guzik i wstawszy z kanapy, podeszła do okna, gdzie pozostała czas dłuższy. Wszyscy obecni czekali w milczeniu.

Odwróciła się wreszcie, podała guzik synowi i rzekła do zakonnika:

— Nie.

Mnich nie ruszył się, tylko w milczeniu patrzył na nią ciągle.

— Nie, ale to wcale nie — powtórzyła spokojnie.

— Gdzież go znaleziono? — pospiesznie rzekł Nepo.

Ojciec Tosi nie spuszczał oka z hrabiny, która szła wolno ku kanapie. Drgnął i odpowiedział:

— Znaleziono go w lewej ręce hrabiego. Wdzieliście państwo ten kawałeczek materyi, który przy nim pozostał? Jest jasnym, że guzik został z sukni wyrwanym.

— Ach!...— zaczął adwokat.

— Giovanna—mówił dalej ojciec Tosi—wszedłszy do pokoju pierwsza, zauważyła to wszystko, ale nie zrozumiała. Myślała z początku, że to złodzieje, ale odnalazła klucz, pugilares i pieniądze w porządku. A więc to nie złodzieje. Giovanna myślała następnie, że hrabia, czując się chorym, chciał wstać i wołać o pomoc. Jest to bezpodstawnem. Bo jakże wytłómaczyć, że nie zadzwonił? A rękawiczka, lichtarz, fliżanka, rzucone na pokój? Giovanna czuła, że się tu ukrywa tajemnica. Nie mówiła o tem nikomu, aby nie rozsiewać podejrzeń; zwierzyła się mnie, może przez wzgląd na habit, który noszę. Oto, co uczyniłem...

Hrabina, Nepo i Vezza zawisli oczami na jego ustach—nie śmieli odetchnąć.

— Rozum chorego jest przyćmiony, wszakże bywają jeszcze jasne odbłyski. Dobrze wybadawszy Giovannę, wyciągnąłem z tego wnioski i nabyłem przekonania silnego. Potem wypytałem chorego.

Hrabina upuściła wielki wachlarz, ale nikt tego nawet nie spostrzegł.

— Badałem go z długimi przerwami, z uwagi na groźny jego stan. Zacząłem od pytania: czy był kto w nocy w jego pokoju. Nic. Powtórzyłem py-

tanie. Powiedziałem poprostu: „Mężczyzna?” Nic. „Kobieta?” Oko i wargi poruszyły się, chcąc coś powiedzieć. Dałem hrabiemu odpocząć godzinę. Gdy poprosił pić, rzekłem: „Imię tej kobiety?” Nic. Ale w chwilę potem, gdym go auskultował, usłyszałem jakieś rżenie. Przyłożyłem ucho do jego ust i usłyszałem słowo: „Rodzina.” Myślałem, że chce widzieć rodzinę i zaleciłem mu spokój. Ale mówił dalej i wyraźnie usłyszałem słowo „Cecylia!” Ach! żebyście państwo widzieli, jak na mnie w tej chwili patrzył i jak zmienionym był wyraz tej biednej cierpiącej twarzy!... A teraz jeszcze jedno pytanie: Kto mieszka w prawem skrzydle pałacu, z tej samej strony, co hrabia?

— Dlaczego to pytanie?—rzekł Nepo.

— Bo wiem, że tam ktoś mieszka i... (tu zakonnik zmarszczył brwi i podniósł głos) i osoba ta, zwłaszcza będąc niezdrową, musiała coś słyszeć. To też radzę ją starannie wy badać.

— Mam honor powiedzieć ci, mój ojczy, że te słowa są obrażające dla tej osoby, a więc obrażają także tych, którzy...

— Sam nie wiesz, co mówisz, mój panie! Ja zawsze szukam prawdy, nawet krając nożem w sercu wielkiej pani, czy też biedaka. Kraję i szukam jej— i prawie zawsze ją znajduję — niewzruszoną jak Bóg. Cóż znaczą obelgi i przekleństwa, jeśli dojdę do tego świętego celu? A państwo żądacie, abym nawet zdaleka nie dotykał tego, co może być prawdą? Chcecie, abym nie obrażał margrabianki, krewnych, przyjaciół, wtedy gdy jestem przekonany, że tego wymaga interes chorego? Doprawdy, jesteście śmieszni! Zresztą, wszystko wiecie już teraz. Pamiętajcie tylko, że jeśli chory wyzdrowieje, to drugie takie wzruszenie zabije go na miejscu. Ojciec Tosi spełnił swój obowiązek i odjeżdża.

Wstał i spojrział na zegarek. Wózek jego czekał przed pałacem.

— Mamy nadzieję — rzekł adwokat nieśmiało — że nikt obcy wiedzieć o tem nie będzie...

— Pierwszy raz dają mi podobną radę i nie przyjmuję jej. Dobranoc!

...Godzina dziesiąta wieczór. Salvadorowie, Vezza, adwokat i Silla zgromadzili się w salonie i słuchali, co doktor mówił o stanie chorego. Lampa, zasłonięta wielkim abażurem, zostawiała cały pokój w półcieniu, kładąc na dywanie jasną plamę, na której odcinały się duże czerwone ręce doktora. Perorował o chorobie i przebieg jej uważał za zadowalający. Prawa noga mogła się już poruszać, ręka też nie była zupełnie bezwładną. Umysł tylko i mowa... ale z czasem...

Tu złożył głęboki ukłon w stronę drzwi, które się bez szelestu otworzyły. Wszyscy się obrócili: była to donna Marina.

— Dobry wieczór — powiedziała niedbale.

Nepo patrzył na narzeczoną rozszerzonymi ze strachu oczyma. Wszyscy milczeli. Ubrana była czarno. Ledwo odgadnąć było można bladość jej twarzy i szyi, a czarność oczu. Szukała wzrokiem krzesła i usiadła naprzeciwko doktora.

— Przynajmniej... — zaczął mówić, wahając się, jakby zamagnetyzowany temi wpatrzonemi w niego oczami — władza w nogach... może i w rękach... w części... w części... powróci... z umysłem... sprawa będzie trudniejsza!...

Mimowolnie mówił to, co mu dyktowały oczy Mariny.

Vezza wpatrywał się w te dziwne oczy: błyszczały one gorączkowym ogniem, miały wyraz napiętej ciekawości i czegoś nowego.

W tej chwili wszedł proboszcz. Biedny don Inocento, krótkowidz, nie poznawał nikogo, kłaniał się na chybi-trafi, przepraszał, nie wiedział, co z sobą począć. Doktor pożegnał się i wyszedł. W salonie panował przymus, rozmawiano cicho. Nepo, oparty

o krzesło Mariny, pytał ją półgłosem o zdrowie, skarżąc się, że jej dwa dni nie widział. Hrabina Fosca, wachlując się, nachylała twarz do Mariny, szepecząc jakieś zdanie, którego nie kończyła, zostawiając miejsce synowi. Proboszcz rozmawiał w kącie z adwokatem Mirowitchem o dziwnej chorobie hrabiego. Silla siedział nieruchomy. Marina, wchodząc, spojrzała na niego, a on skamieniał.

Wstała.

— Chciałabym powiedzieć parę słów panu Silli.

Uklonił się, bardzo blady.

Hrabina, Nepo, Veza patrzyli na Marinę, oczekując wybuchu sceny, w rodzaju zeszłorocznej. Adwokat przerwał rozmowę, a don Inocento pozostał z otwartymi ustami.

— Nie tu — rzekła.

Veza i Mirovitch wstali, chcąc wyjść z pokoju; hrabina i Nepo nie drgnęli.

— Zostańcie tu państwo — dodała Marina — ja potrzebuję powietrza. Panie Silla, może zechcesz ze mną zejść do ogrodu.

Uklonił się znów.

— Do ogrodu? — zawołała hrabina bardzo niezadowolona — na takie zimno! Ależ zdaje mi się...

— W taką wilgoć — rzekł Nepo — lepiejby było w loggii.

— Dobranoc! — odpowiedziała Marina. — Za chwilę wracam do siebie.

Nikt nie odpowiedział.

Marina z lekkością nimfy schodziła wolno po szerokich, zaledwie oświetlonych schodach. Silla postępował za nią, mając gardło ściśnięte ze wzruszenia: jeszcze chwilę, a będzie z nią sam, w nocy.

Drzwi od przedpokoju były otwarte, światło, wiatrem miotane, chyliło się i prawie gasło.

Przy wejściu wisiał biały szal Mariny. Podała go Silli, czekając, by jej włożył na ramiona; ręce ich się spotkały, były zimne jak lód.

— Zimno dziś — rzekła Marina, otulając się szalem.

Był to zupełnie inny, prawie drżący głos. Silla milezał, możnaby było usłyszeć bicie jego serca. Marina wyszła i zrobiwszy pięćdziesiąt kroków, oparła się o balustradę i patrzyła na jezioro.

Silla widział tylko białą, wytworną sylwetkę, opartą o kamienny balkon.

— Cecylio — rzekł bardzo cicho.

Marina miała głowę opartą na obu rękach, nie odwracając się, podała jedną Silli.

— Tak! nazywaj mnie tak! — rzekła namiętnie. — Pamiętasz?

Ścisnął gwałtownie tę małą rączkę. Bał się być zimnym i nie okazać zamąto miłości.

— Powiedz mi, czy pamiętasz?

Otworzył jej rączkę i ukrył oczy w rozpalonej dłoni.

— Nie ma dla mnie już nic na świecie: ani rodziny, ani przyjaciół, ani przeszłości, ani przyszłości, nic, nic! Ty jedna tylko! Weź mnie! Weź mnie całego!

Chciał się podniecić, ogłuszyć i udało mu się to. Całował namiętnie giętkie paluszki, myśląc o gorczy swego życia, o niesprawiedliwości świata. Chwytał go spazm namiętności, który przeszedł w krew Mariny.

— Nie, nie — odezwała się — omdlewającym głosem — nie teraz.

Oboje mieli gorączkę.

— Kiedyś sobie przypomniał?

Utożsamiała się zupełnie z Cecylią Varrega i zdawało jej się, że w drugim swem istnieniu odnajduje dawnego kochanka.

— Wczoraj wieczorem — odpowiedział, nie rozumiejąc pytania. — Wczoraj wieczorem u pani de Bella, która mi o tobie mówiła; potem grali, ach, ta muzyka wzburzyła mi duszę. Wyszedłem nieprzyto-

mny prawie i zastałem w domu twój telegram. Wtedy uczułem, że przeznaczenie porywa mnie i niesie tutaj. Nie znasz mojej miłości. Umieram z żądzы wypowiedzenia ci jej, a mówić nie mogę. Chciałbym razem z tobą pójść na dno tej wody, która mnie pociąga...

Przyciągnął ku sobie dłoń, rękę, ciało...

— Jutro — szepnęła, Marina — jutro o jedenastej na schodkach przystani.

Nie chciał puścić tej rączki, wciskając w nią swe nienasycone wargi.

— Chodźmy, idź za mną w milczeniu i rozstańmy się u drzwi.

Silla zrozumiał i posłuchał. Postąpił parę kroków i dojrzał kogoś w ciemności. Była to Catte.

— Ah! nareszcie panienkę znajduję! szukałam wszędzie. Jego ekscelencya przysyła ten szal.

Marina nie raczyła odpowiedzieć, ukloniła się zimno Silli i znikła w korytarzu.

Silla, minawszy podwórze, wszedł na kamienne schody i usiadł pod cyprysem, którego wierzchołek zdawał się wznosić aż do gwiazd.

Hrabina tymczasem zamknęła się z Nepem w swoim pokoju; jęczała, szlochała, wyrzekała przeciwko mnichowi, który takie straszne rzeczy opowiadał! Dostało się i medyolańskiej znajomej, która jej dała o Marinie złe informacye. Pytała, co też mogło zająć między Mariną a jej wujem, i co się stało w tej strasznej nocy: czuła, że zwaryuje, tak, zwaryuje! i chciała zaraz ztąd wyjeżdżać, wyrwać Nepa z tego przeklętego domu, porzucić wuja, siostrzenicę, pieniądze, wszystko! Wypowiedziawszy to wszystko, zaczęła od początku. Nepo wściekły milczał. Kiedy hrabina głos podnosiła, robił gniewny ruch. Wtedy biedna kobieta płacząc, powtarzała:

— To waryatka, Nepo, waryatka!

Chciała zawołać adwokata Mirowitcha i poradzić

się, ale Nepo sprzeciwił się temu tak stanowczo, że spytała go, co on zamyśla czynić.

— Czekać i nie uprzedzać wypadków.

— Ależ darowizna, mój kochany!

— Czekać! — powtórzył Nepo.

Zdjął szkła z oczu, wziął matkę za rękę i patrząc jej prosto w oczy, wyrzekł:

— A jeżeli testamentu nie ma?

Hrabina pomyślała chwilkę.

— W takim razie ona odziedziczy wszystko.

Nepo rozłożył ręce i cofając się, powiedział:

— A! nareszcie! zrozumiałaś, matko! więc zobaczymy.

Nastąpiło długie milczenie.

— Gubisz guzik, moje dziecko — rzekła hrabina łagodnie.

Nepo spojrział na guzik, który wisiał przy ubraniu, i tym samym tonem odpowiedział:

— Mamolo nigdy nie uważa. Idę do hrabiego; do widzenia, mamo.

...W pokoju, słabo oświetlonym nocną lampką, hrabia Cezary nieruchomy na łóżku, nie spostrzegając Giovanny siedzącej przy nim z oczami w niego utkwionemi; zdawało mu się, że widzi na środku pokoju wyprostowaną Marinę. Była to ona, a zarazem inna osoba i to mu się wydawało naturalnem. Ruszała się, mówiła, patrzyła na niego wzrokiem waryatki. A przecież osoba ta oddawna już umarła i była pochowaną. Pamiętał doskonale, że ojciec mu to mówił, ale gdzie, gdzie? Straszne zapomnienie! Nazwa i miejsce majaczyły mu w pamięci, widział je wypisane na murze krwawemi głoskami.

Zdawało mu się, że wyciąga rękę i pokazując jej napis, mówił, że kłamie, jest bowiem pochowana w Ologgie, w kaplicy rodzinnej. Ale ta kobieta groziła mu, wyzywała, rzucała rękawiczkę. Byłaż to Marina, czy pierwsza żona jego ojca, hrabina Cecylia

Varegga? Mówiła mu o dawnych winach, o zemście... Wyskakiwał z łóżka i wszystko mieszało się w jego głowie w jakiś obraz mglisty, jakby u progu wieczności widział jakiś nadludzki dramat.

Paraliż zagrażał płucom.

...I nigdy pałac nie był tak ponurym i ciemnym, jak w tę noc, kiedy światła w oknach błyszczały aż do świtu.

III.

S p o k ó j.

— Co za szczęście! co za szczęście! — powtarzała Marta, wnosząc na schody walizkę państwa Steinegge. — I cóż, don Inocento, czy dobrze?...

I poczciwa kobieta śmiała się i trzęsła, i przepraszała po tysiąc razy za skromne mieszkanie, kręciła się, rozprawiała...

Steinegge, opylony jak butelka starego wina, zaprzeczał wielkimi giestami. Don Inocento, z oczami błyszczącymi od radości, mówił do Edyty:

— Ale czy pani wie o tem, że jestem tylko biednym księdzem!

— My, wielcy panowie, jesteśmy wyrozumiali — odpowiadała, żartując młoda dziewczyna.

Mały domek był pełen radości. Czysty jak zwierciadło, nigdzie ani odrobiny pyłu. Firanki z białego perkalu, tylko co wyprane i wyprasowane, ładne dawały światło i zapach czystości. Pod dużym wazonem, pełnym kwiatów, stała klatka ze świergoczącym szczygłem. Wszystko oddychało spokojem i ciszą, począwszy od ptaków wypchanych, stojących pod szklanymi kloszami, zegaru ściennego, starych poźółkłych obrazków, krzesel giętych, wazek długiej ka-

napy, aż do gabinetu założonego książkami. Domek był wiernem odbiciem właściciela: skromny, wesóły i pełen myśli.

Książdz był uszczęśliwiony z odwiedzin przyjaciół. Samotność ciążyła mu; lubił rozmawiać o polityce, literaturze... Mógł o tem wszystkiem mówić ze Steineggem, dla którego zapłonął wielką przyjaźnią. Edyta wzbudzała w nim szacunek, połączony z pewnym rodzajem trwogi, a zaufanie, jakie mu okazywała, przestraszało go niemal.

Edyta zauważyła, że się podstarzał; ale Steinegge był innego zdania. A Marta? Jakie poczciwe serce! Dzielili się swemi wrażeniami przyciszonym głosem, a młoda dziewczyna tymczasem układała swoje przybory toaletowe. Przywiozła z sobą kilka książek, ale nie „Sen”. Ojciec złażał ją zato zapomnienie, ona zaś nic nie odpowiedziała. Wzięła go pod rękę i poprowadziła do okna, które wychodziło na ogród, pola i dalsze wzgórze.

— Zdaje mi się — mówiła — że jestem małą dziewczką, i że mam spać we własnem łóżeczku, po spędzeniu całego dnia za domem w rozmazaniu i płaczu. Czy nie uważasz, ojcze, że tu czujemy się daleko więcej „u siebie” niż w Medyolanie?

Don Inocento krzyknął do nich z dołu:

— Chodźcie państwo na obiad, proszę!

Obiad wesóło się zaczął. Humor Marty był nadzwyczajny. Miała swe miejsce u stołu, ale co chwila wstawiała do kuchni, pomimo próśb gości i rozkazów pana. Edyta jej oświadczyła, że pierwszego dnia pozwala jej na to, ale nazajutrz sama się weźmie do pracy. Marta z energią odpowiedziała:

— Zobaczmy!

Steinegge ofiarował się zrobić naleśniki, a biedny Inocento ofiarował się choćby zgotować kawę.

— Ależ prawdą — rzekł Steinegge — jeszcześmy się nie spytali, jakie są wiadomości o zdrowiu hrabiego?

— Byłem przed chwilą w pałacu; ma się nieco lepiej.

— Jakto, nieco lepiej?

Steinegge z niepokojem pochylił się naprzód:

— Więc chory jest?

— Czy nie wiedział pan o tem?

— Niel

— Myślałem, że Marta powiedziała. Al to smutne! Który mamy dziś dzień? Środa? Owóż w poniedziałek rano, a właściwiej w nocy z niedzieli na poniedziałek, miał atak apoplektyczny.

— Boże mój!

Don Inocento, z pomocą Marty, opowiedział mu, co wiedział o chorobie. Steinegge był zafrasowany. Edyta spytała o młodą parę:

— Jeszcze nie są młodą parą.

— A będą nią w dzień sądu ostatecznego — dodała Marta.

Za to proboszcz złącał ją, mówiąc, że ślub odłożony tylko z powodu choroby hrabiego, i że zupełną słuszność mieli, odkładając. Marta, niezadowolona, mrużąc coś pod nosem, poszła do kuchni.

— Są tam jeszcze różne historie — dodał zupełnie cicho don Inocento.

Steinegge zapomniał już o jedzeniu, tylko się księdza rozpytywał:

— Po chwili opowiem — rzekł ksiądz, spoglądając na kuchnię.

Marta nie mówiąc, wniosła rybę, rozgniewana za wymówki, które jej ksiądz zrobił i niezadowolona, że nie zwracano uwagi na potrawy, które tak dobrze były przyrządzone.

— Po obiedzie pójdziemy, ojcie do pałacu — odezwiała się Edyta.

— Nie, ja chcę tam pójść zaraz.

— Wypijcie przynajmniej czarną kawę — rzekł ksiądz — pójdźmy ją wypić na otwartem powietrzu.

Przeszli do ogrodu. Słońce przezierало przez

chmury i złościło wzgórze. Edyta chciała sama przynieść kawę. Don Inocento i Steinegge usiedli na murze od ogrodu warzywnego, naprzeciw sali jadalnej.

— Marta jest dobrą kobietą — powiedział — ale nieznosnie gadatliwa. Lepiej przy niej o tem nie mówić. O tak! są różnego gatunku historye w pałacu. Ten pan Silla powrócił.

Steinegge aż podskoczył w górę.

— To być nie może! Był parę dni temu u mnie w Medyolanie i nic mi nie mówił!

— To być może, ale on jest tutaj.

— Czy widzieliście go?

— Ależ tak.

— Żleście widzieli! On w pałacu? To być nie może! — opierał się Steinegge.

I chodził zawzięcie, mrużąc coś po niemiecku.

Zatrzymał się, przyszła mu jakaś myśl niespodzianie.

— Może go wezwano telegrafem? — zauważył.

— Nie myślę. Hrabia nie byłby w stanie tego zrobić, margrabianka znieść go nie może, a Salvadorowie wcale go nie znają.

— Pocóżby on tu przyjechał?

— Przecież wiadomo panu — odrzekł proboszcz — co o nim tu mówiono. Zdaje mi się, że ta jego obecność tu, w chwili tak krytycznej, jest dosyć znaczącą.

— Dla sukcesyi? To kłamstwo, potwarz! Wybacz mi, księżu, ale nie wiesz, o co rzecz idzie. Silla nie jest wcale tym, za kogo go brano, i ręczę ci, że nie przyjechał tu dla takiej podłości!

— Zatem, Edyto, trzeba pójść do pałacu.

— Wiesz co, ojcze, nie uważam mojej wizyty w pałacu za niezbędną; idź ty sam, a ja zostanę z don Inocentym.

— Pierwszy to dzień miesiąca Maryi — dodał tenże.

Steinogge nierad był iść sam, ale cóż robić, poszedł, zostawiając księdza i Edytę siedzących na przymurku.

— On jest dobry, bardzo dobry! — powiedziała gorąco Edyta. — I on cię kocha, ojczel! Bardzo tu pragnął przyjechać, bo ma dla ciebie wielką przyjaźń, mimo sutanny, którą nosisz. Wczoraj wieczorem mówiliśmy o rzeczach duchownych, i powiedziałam mu, że są dusze, które pośredniczą między ogółem ludzi a Bogiem. Ksiądz proboszcz naprzykład...

— O! moje dziecko!

— Tak, tak! jesteś jedną z tych dusz. Wierzę w to, czuję potrzebę wiary tej i mówienia o niej! Jak ty nam potrzebny jesteś, księżu proboszczu! Otóż ojciec powiedział mi, że także w to wierzy.

— Ach! moje dziecko, twój ojciec jest bliższy może Boga od wielu kapłanów, odemnie naprzykład, którego życie zawsze spokojnie i cicho płynęło, bez wielkich wstrząśnień i boleści. Jestem mniej, niż niczem. Ale masz słuszość: myślę, że przyjaźń, jaką ma dla mnie twój ojciec, może mu przynieść korzyść, uśmierzy bowiem jego gniew i żal do losu, które są główną przeszkodą pogodzenia się jego z Bogiem i Kościołem. Gdy jest ze mną, wiem, że pokój zstępuje do jego duszy, a przeszłość wydaje mu się bardzo daleką. Dzieje się to jednak bez najmniejszej z mej strony zasługi. Pracujmy, a zobaczysz, że uwieńczymy nasze usiłowania pomyślnym skutkiem. Tylko nie męcz go! Nie bądź zanadto gorliwą!

— Biedny ojciec! — westchnęła Edyta. — Kiedy widzę jego dobrą, zadowoloną twarz, czuję, jak jest dalekim od domyślania się tajemniczych smutków córki.

— Mówiłaś mu kiedy o wypełnianiu powinności religijnych? — spytał półgłosem don Inocento.

— Otwarcie nie... — odpowiedziała również cicho Edyta. — Nie śmiałam. Naprzykład spowiedź!... Czuję, że to dla niego największy akt upokorzenia,

jaki sobie wyobrazić może. Ale ile razy idę do kościoła, towarzyszy mi zawsze. W tych czasach dwa razy się spowiadałam. Ksiądz proboszcz wie, spowiadam się rzadko...

— Nie ganię ci tego, moje dziecko.

— Nie powiedział mi nic, ani pierwszy, ani drugi raz, ale czułam, że cierpi. Przez parę dni był smutny i milczący. Biedny ojciec! Tak wiele cierpiał!... Nie można sobie wyobrazić, pomiędzy jakimi ludźmi on żył! Nie mogli zepsuć jego serca, ale w umysł wszczepili tyle marnych przesądów.

Zakrystyan przyszedł po klucze od kościoła i don Inocento musiał odejść. Zaledwie została samą, jakiś nieprzoczyżony smutek opanował Edytę. Kochała i wyrzekła się swej miłości; ale dopiero od chwili, gdy Silta powrócił do pałacu, uczuła, że jest on dla niej bezpowrotnie straconym.

Dzwonić zaczęto na Anioł Pański. Edyta poszła do swego pokoju. Okna były otwarte i gwiazdy migotały przez franki. Nie chcąc się poddawać rozrzewnieniu, przeszła do pokoju ojca. Uczuła się spokojniejszą, i sama nie wiedząc dlaczego, starannie okna pozamykała. Czyściła ubranie, obejrzała, czy nie brakło u koszul guzików, poskładała je i włożyła do komody. Ułożyła poduszki i prześcieradła z iście macierzyńską troskliwością.

Głos jakiś zaczął wołać z dołu:

— Panienko! panienko!

Marta chciała się dowiedzieć, czy panna Edyta pójdzie do kościoła, bo mogłaby w takim razie dom zamknąć.

Po chwili obie zmieszały się z tłumem wieśniaczek, które, w ciemnych chustkach na głowie, wchodziły jedne po drugich do milczącego kościoła, a biorąc wodę święconą, żegnały się przed wielkim ołtarzem i ginęły w cieniu. Don Inocento w białej komży zaczął mówić różaniec.

Edyta słyszała zaledwie następujące po sobie

Pater noster i *Ave Maria*, myśli jej były daleko, bardzo daleko... Wróciła do tej tajemnej groty... słyszała Marinę mówiącą jej o Silli, o Nepie, o poglądach swych na małżeństwo, a potem dodała: „Jeśli pani usłyszysz kiedy o mnie coś złego, proszę pamiętać o tym wieczorze.” Potem chodziła z Sillą po watach Medyolanu i słuchała tego, co jej mówił o Marinie; odczytywała dedykację „Snu”: „Odepchnięty, zda się na łaskę losu...” Teraz dopiero zrozumiała... Wstyd jej się zrobiło roztargnienia; pochyliła głowę i zamknawszy oczy, zaczęła się modlić gorąco.

Uczuła czyjąś rękę na ramieniu. Był to jej ojciec.

— Otóż jestem — powiedział bardzo cicho — chcesz, abym z tobą chwilę pozostał?

— O! tak; usiądź, ojczulku!

Steinegge siadł obok niej i wziął jej rękę w swoją. Chwilę milczał a potem nieśmiało zapytał:

— Czy to już koniec?

— Tak, poczekaj na mnie na dworze, ojeze.

— Nie. Czy nie porozmawiamy trochę razem? Ścisnęła mu rękę.

— Mów ty — powiedział.

— Myślmy o nieboszczce mamie. Mów o niej Bogu. Proś, aby nam dał spokój wiekuisty. Powiedz mu, że przebaczymy wszystkim, którzy nas skrzywdzili. Wszystkim, ojeze, wszystkim, nieprawdaż?

Steinegge milczał, a ręka jego drżała.

— Powiedz: „tak”, a będziemy bardzo szczęśliwi!...

— O Edyto! tym tylko, którzy mnie, mnie samego skrzywdzili!

— Wszystkim, ojczulku, wszystkim!

— Zrobię, co będę mógł!...

Kościół opustoszał. Zakrystyan już zamknął boczne drzwi, a don Inocento kierował się ku środkowym; wstali więc i wyszli z nim razem.

— Jakże tam w pałacu? — spytał don Inocento?

— Lepiej; mówią, że nacisk na płuca minął.

— Ach, Edyto! co to za dom, co to za dom! — dodał po odejściu księdza.

I robiąc wielkie ruchy rękami, opowiedział wizytę w pałacu. Widział hrabiego Fosca i Giovannę. Hrabina przed przywitaniem się z nim zawołała: „Masz tobie! teraz drugi jeszcze!” Potem dowiedziawszy się, że jest gościem księdza, stała się nadzwyczaj uprzejmą. Steinegge słyszał zaledwie połowę jej opowiadania, o nieładzie panującym w pałacu. Hrabina mówiła, że Marina jest niepokieszona i nie opuszcza swego pokoju. O ślubie ani słówka. Potem się widział z Giovanną. Biedna stara swą nieudaną boleścią wzbudzała litość. Myśl jej, wyłącznie pochłonięta chorobą hrabiego, nie pragnie niczego, tylko jego wyzdrowienia. Byłaby chciała, ażeby ślub się odbył natychmiast i żeby sobie wszyscy już raz wyjechali. Przekonana jest, że Salvadorom chodzi jedynie o pieniądze. Pytali się jej nawet, czy nie wie nic o testamentcie.

— Ale co mnie najwięcej martwi — zakończył Steinegge—to Silla! Ach! zrobiło to na mnie dziwne jakieś wrażenie, że go tam zobaczył. Zdziwiony był moją obecnością, ledwie mi się ukłonił i nie spytał nawet o ciebie!

— Nie miał żadnej potrzeby, ojcze.

— Myślałem, żeście z sobą w przyjaźni. To nie jest naturalnem. Obawiam się zrozumieć, Edyto... W Medyolanie, kilka dni temu, kiedyśmy mówili o tem małżeństwie, zdawał się być zupełnie wyleczonym. Zdaje mi się, że ci już opowiadał...

— Tak, tak, wiem. Ale dokąd pójdziemy? Wróćmy do domu, dobrze?

U drzwi plebanii spotkali don Inocenta.

— Myślałam, że już państwo nie wróca — po-

wiedziała, otwierając im Marta. — Jakżeż tam hrabia?
— Lepiej trochę.

Steiniegge, zmęczony, położył się. Ksiądz udał się do gabinetu, aby czytać brewiarz, a Edyta poszła do kuchni słuchać wykładów Marty o praktyczności, cenie cukru i najlepszym sposobie prania. Po półgodzinnej gawędzie zapukała Edyta do drzwi gabinetu proboszcza.

Don Inocento spytał, uśmiechając się, czemu ma zawdzięczać tę niespodzianą wizytę.

— Chciałabym pomówić—odpowiedziała.

Po wyrazie jej twarzy poznał, że to rzecz ważna. Podał jej krzesło i czekał.

Bez wstępu opowiedziała Edyta, jak namiętnie Silla kochał Marinę przed nagłym swym wyjazdem z pałacu; powtórzyła słowa Mariny w grocie i wrażeńie, jakie odniósł na wiadomość o ślubie. Mniej pewnym głosem opowiedziała przechadzkę z nim na wałach, obojętność, z jaką Silla przyjął zapowiedź ślubu Mariny, i wreszcie jego zwierzenia... Walcząc ze wzruszeniem wewnętrznym, dodała, że dnia tego odkryła silne przywiązanie Silli do siebie... Nie bezpośrednio... nie... ale ubocznie. Jej zachowanie się mogło łudzić go, że posiada wzajemną sympatyę... I zakrywając twarz rękami, wyznała, że jest w rozpacz...

— Mój Boże! dlaczego? — rzekł don Inocento z zakłopotaniem.—Ja nie wiem... nie rozumiem...

Wtedy opowiedziała mu wizytę Silli następnego dnia, swoje oziębłe przyjęcie i słowa, napisane na książce. Don Inocento zrozumiał nagle cel zwierzenia się i jej wątpliwości. Nie ukrywała mu spotkania ojca z Sillą w pałacu i głębokiego niepokoju, jaki z tego powodu ona odczuwa. Zachodzi tu jakaś straszna a ukryta tajemnica, ona zaś wyrzuca sobie, że chociaż mimowolnie, popchnęła Sillę na tę fatalną drogę.

— Uważałam — powiedziała, kończąc — za mój

obowiązek powiedzieć ci to, mój ojczy, nawet jeżeli byś miał mnie potępić... Ale, bywając w pałacu, powinieś to wiedzieć.

Don Inocento tarł ręce i wzdychał.

— Nie wiem, doprawdy, dlaczego miałbym cię potępić...

Ale wkradło się między nich zakłopotanie. Ksiądz szeptał jakieś niedokończone wyrazy i nie mógł odzyskać zimnej krwi. Spytał Edyty, jaki to człowiek ten pan Silla. Powiedziała, że jest to umysł wyższy, ale chory i spaczony życiowymi przeciwnościami.

— Zdaje się, że miał dla ciebie uczucie?...

Edyta nie odpowiedziała.

— Ale z twojej strony nie czułaś-że nie dla niego? Czy tylko przez pomyłkę mógł pan Silla myśleć, że, że...

— Nie, myślę, że to nie była pomyłka...

Słowa te powiedziała niewyraźnie, schylając głowę bardzo nisko.

Don Inocento milczał, patrząc ze smutkiem na tę młodą głowę, z włosami o złotawym połysku. Był zmartwiony, odkrywając tę ranę tam, gdzie myślał, że panuje spokój i cisza. Dawniej, w czasie długich rozmyślań lub pobożnego czytania, stawały mu przed oczyma te zamyślane i pobożne typy kobiet z Pisma Świętego. Teraz po tylu latach spotkał taką czystą istotę, tym razem żyjącą... I cierpiał, widząc ją zranioną, bo było w niej coś idealnego, coś, co w młodości swej uwielbiał zdaleka.

Edyta podniosła głowę.

— Obawiam się, że nie zrobiłam wszystkiego, aby ukryć moje uczucia.

— Ale jeśli ten młody człowiek jest umysłem wyższym, jeśli cię kocha, jeśli i ty... Sam nie wiem, jak się mam wyrazić... jeśli i ty... a więc... dlaczego...

Oczy Edyty błysnęły i drżącym głosem zawołała:

— Ach, mój ojciec, znając mnie, jak możesz taką rzecz mówić? Cóżby się stało z moim ojcem, który mnie tak potrzebuje?... Obok obowiązku córki postawić inny, silniejszy obowiązek?... I potobym do Włoch przyjechała? A przytem mam przekonanie, że to nie jest mojem powołaniem.

— Naprawdę, masz przekonanie? a jeśli poświęcenie jest nad twoje siły?... jeśli jutro?...

— Nie! nie! — błagała Edyta, złożywшы ręce. — Nie mówmy o tem, nie mówmy o tem!... To, co robię, jest niczem w porównaniu z tem, co dla ojca zrobiłbym powinna! Może Bóg da mi go nawrócić!... Jestem szczęśliwą, że niczego nie podejrzewa. Będę się starała zapomnieć, pomożesz mi, ojciec?

Biedny ksiądz, onże to miał pomódz jej do zwalczania miłości! W swej naiwnej dobroci uważał poświęcenie Edyty za niepotrzebne. Jeśli ten człowiek jest jej godnym, kocha ją, to będzie dla jej ojca miał miłość synowską i pomoże Edycie w spełnieniu zadania, o którym marzyła.

— Czy poświęcenie to jest doprawdy koniecznem? — mówił. — Rozważ to dobrze. Może ojciec twój pragnie w głębi duszy, abyś wyszła zamaż i los swój ustaliła... Byłoby to dla niego uspokojeniem... A jeśli chcesz w duszę jego wlać wiarę świętą, gdzież będzie mógł znaleźć jej lepszy wzór, niż w rodzinie chrześcijańskiej? Mówię o przyszłości, teraz nie męcz swego biednego serca. Jeśliby coś stać się miało, na ciebie wina nie spadnie... Chociażbyś była mu okazała jakąś... sympatyę, nie będziesz wobec Boga odpowiedzialną za jego nieuczciwe postęпки.

— Nie, ale cierpiałabym nad tem bardzo.

Don Inocento nic nie odpowiedział. Szukał słów, których znaleźć nie mógł. Rozumiał, że w pałacu dzieją się rzeczy, którym zapobiedz trzeba...

Czyż nie powinien zwalczyć zamiaru, który Edyta Marinie przypisywała, a który sama Marina odkryła w jesieni, mówiąc o przyjaciółce, wychodzącej z zamąż z nienawiści, poto, aby tem łatwiej dojść do swego kochanka?...

— Wytłómacz się jasno — spytał nagle. — Czy myślisz, że jest coś między donną Mariną a Sillą? Nie obawiaj się. Nie będzie to obmowa, ani sądem zakazanym przez Ewangelię. Obowiązkiem moim jest czynić dobrze, muszę więc, o ile możliwości, wiedzieć prawdę. Znasz ludzi; powiedz mi więc prosto swe przekonanie, bez obawy...

— Dwa dni temu nie byłam pewną, ale teraz obawiam się...

— Jakto! Cóż może być między niemi?

— Nie wiem, ale boję się tego, co się stać może, mam przecucie...

— Boję się tego, co się stać może...—powtórzył ksiądz do siebie.

Otworzył biurko i wyjął papier.

— Nie odpowiedziałaś na to, co pan Silla napisał na swojej książce?

— Nie.

— To odpowiedz mu zaraz, teraz, natychmiast...

Edyta mimowolnie wstała; zrozumiała myśl don Inocenta.

— Zaraz!—powtórzył, przysuwając atrament do przygotowanego papieru.

Edyta złożyła ręce.

— Jeśli ksiądz myśli, że to jest moim obowiązkiem, zrobię natychmiast.

— Tak myślę. Moim zaś obowiązkiem będzie osądzić, czy list ma mu być wręczonym. Usiądź na mojem miejscu.

Edyta wzięła do ręki pióro, patrząc na księdza. Oczy don Inocenta miały wyraz uroczysty.

— Nie znam tych rzeczy — mówił — ale mi się

zawsze zdawało, że między dwiema silnemi i wzniosłemi duszami może istnieć związek święty: miłość. To wielkie słowo odpowiada w zupełności ideałowi chrześcijaństwa, którym jest zlanie się dusz w Bogu. Niema nic piękniejszego nad taki związek, chociaż małżeństwo jest świętem i ma doniosłe znaczenie. Chcesz się poświęcić dla ojca? Dobrze. Ale poco wyrzucać z serca wspomnienie osoby, która ci była droga? Dlaczegożby i ta osoba nie miała mieć dla ciebie podobnego uczucia? Podtrzymywani też samą siłą, raźniej szlibyście przez życie, mając większą odwagę w wypełnianiu wspólnych obowiązków. Napisz mu to, napisz!

— Jesteś świętym, mój ojcie. Rozumiem całą piękność takiego związku, ale czy będzie on dla niego wystarczającym? Czy nie odrzuci mojej propozycji, która się wtedy stanie próbą bolesną?

Don Inocento był zmartwiony. Czuł, że lepiej zna świat od niego i nie śmiał jej przeczyć; nie mniej jednak nie odstąpił od swego przekonania.

— Może być... Więc napisz, jak uważasz, w każdym jednak razie pokrzep go i dodaj mu serca.

Nie odpowiedziała nic; z piórem w ręce oddała się głębokiej zadumie. Proboszcz otworzył okno i oparł się o nie. Gwiazdy patrzyły nań czule, jakby chcąc mu przytwierdzić. Ale czarna ziemia, niestety! przeczyła mu.

Kilka minut upłynęło.

Edyta zawołała go i wręczyła mu napisany bilecik.

— Nie będę go czytał. Powiedz mi, czy słowa te mogą...

— Ach, don Inocento! Napisałam, zrobiłam, co mogłam. Jeżeli chcesz, przeczytaj ojcie, ale nie pytaj mnie o nic.

— Dobrze, dobrze! Pamiętaj, że Zbawiciel za-

kazał poddawać się smutkowi! A teraz idź spać, bo już późno.

Edyta wróciła do siebie i oparła głowę o okno, szukając spokoju, którego tak potrzebowała. Godziny jedna po drugiej biły na zegarze kościelnym, a ich uroczystry odgłos wstrząsał dachem, schodami i podłogą małego domku. Edyta liczyła je z obawą, jakby uderzenia młotka w żelazne drzwi, oznajmiające jakiegoś straszego gościa.

Było pół do jedenastej.

IV.

Straszny gość.

Pół do jedenastej.

Silla, leżący do tej pory w trawie, wstał i liczył uderzenia. Pół do jedenastej. Wyjął zegarek i przy świetle księżyca spojrzął na godzinę. Pół do jedenastej. Marina powiedziała: po jedenastej.

Siadł w trawie i pochylił głowę, jakby jakaś stopa olbrzymia gniotła mu ramiona. Myślał zimno o nieuczciwym postępku, który miał spełnić tu, pod dachem umierającego przyjaciela; myślał o następujących po sobie zwycięztwach i upadkach; myślał zwłaszcza o tym ostatnim upadku, który go pograżył w przepaść bez wyjścia, i gdzie się ostatecznie zgubi. Widział, że nadeszła ta chwila, a nie czuł przed nią trwogi. Doznał chwilowego buntu, ale wszystko znikło w oczekiwaniu upragnionej godziny.

Oddawna już leżał na trawie u stóp cyprysu.

Czas, który zdawał się dotąd nieruchomy, biegł teraz szybko... Spojrzął na zegarek: jeszcze kwadrans.

Czekać tu? Czy też iść? Gniewało go, że nie czuł silniejszego pragnienia. Oczekiwanie rozdrażniało go i męczyło. Więcej nic. Może spotkanie ze Steinneggem?... Nie, nie! o tem myśleć nie chciał.

Objął cyprys rękoma i zamknawszy oczy, zaczął myśleć o niej. Wyobraźnią widział dwie małe rączki, biorące jego ręce i prowadzące je w ciemności. Wchodziła, cofając się, on szedł za nią, milczeli oboje, ale ich ręce złączone rozmawiały tak słodko, tak silnie, że byli bez tchu, bez przytomności prawie i...

Spojrzał na godzinę, za dziesięć minut jedenasta. Na palcach schodził wolno ze schodów, wstrzymując oddech i nasłuchując. Żadnego światła, żadnego szmeru nie było w pałacu. Poszedł na prawo i minawszy klomby jaśminów, zatrzymał się u przystani. Zaledwie można było odróżnić w cieniu schody, o które obijały się fale jeziora, kładąc na łódkach wilgotne pocałunki. Usiadł na schodku, widząc przez okrągły otwór wierzchołek świerka, kawałek nieba i małą gwiazdkę.

Jedenasta za pięć minut. Między jego zegarkiem a zegarem kościelnym było dwie minuty różnicy. Pomyślał, że kiedy na jego zegarku będzie jedenasta, pozostanie mu czekać jeszcze dwie minuty, dwie minuty straszliwe, nieskończone... Nad głową jego, gdzieś w głębi pałacu, ozwał się prędko, krzykliwy głos zegara. Dla donny Mariny była jedenasta.

Wstał, i poszedłszy do miejsca, gdzie światło wcale nie dochodziło, chwycił się muru rękami i słuchał.

Milczenie.

Skrzyp zamykanych drzwi. Oddech zamarł mu w piersiach. Usłyszał szelest kroków lekkich i głos, nie głos, ale ledwie dosłyszalny prędko szmer.

— René!

Silla chciał się rzucić ku niej, ale czekał.

Chwilę potem powtórzyła głośniejsze:

René

Zeszła kilka schodków niżej.

— Silla, Silla!—wyszeptała donna Marina.

Była to ona; widzieć jej nie mógł, ale czuł ją blisko siebie.

— Nie jestem René—rzekł, nie ruszając się.— Nie pamiętasz imienia! ale daj mi rękę.

Upadła mu w objęcia.

— Czy prawda — mówiła konającym głosem, z ustami na jego ustach — czy prawda to, coś mi wczoraj mówił?

Silla przycisnął ją do siebie namiętnie.

— Czy prawda?—spytała czule.

Jakże nie stracić głowy, czując tę smagłą postać, tę młodość tryumfującą, dyszącą przy jego piersi?... Silla zaledwie mógł powiedzieć:

— A ty?

— Ja, o ja!... A więc nie nie pamiętasz?

Nie zrozumiał i, nieprzytomny z żądz, odpowiedział:

— Wszystko, wszystko!

— Nawet Genuę?

Dziwne te słowa nie uderzyły na razie Silli, powtórzył z niecierpliwością:

— Wszystko, wszystko!

Marina wzięła go za obie ręce i złożyła je...

— Dziękuj teraz Bogu.

Krew w nim zastygła i stał tak, ze złożonemi rękami. Marina czekała aż skończy modlitwę; potem ująwszy go za rękę, pociągnęła za sobą. Szedł nieprzytomny...

— Chodź!—rzekła Marina i puszcżając jego rękę, ujęła go w pól. Szepnęła mu kilka słów do ucha...

Zapomniał o niezrozumiałych słowach, wymówionych przed chwilą. Znów chwycił go szal.

— Cicho teraz!

Otworzyła małe drzwiczki i weszła do pałacu z tysiącznemi ostrożnościami postępując naprzód. Sta-
nęła, słysząc kroki i szmer.

Głosy dochodziły z pokoju hrabiego.

Przestała się wahać... Otworzyła drzwi, i smu-
ga światła rozjaśniła korytarz. Rozszedł się zapach
róż. Weszli.

Był to pokój, w którym stało hebanowe biurko
w białe desenie.

Zapalone świece stały na otwartem biurku, na
fortepianie i biblioteczce. Przez drzwi sypialnego po-
koju wpadało słabe światło. W wazonach stały ogro-
mne bukiety róż białych i żółtych.

Marina zamknęła drzwi na klucz i ukazała się
w całym blasku swej piękności, w długiej białej su-
kni w duże niebieskie desenie, z obnażonemi ramio-
nami i szyją.

Skoczyła do fortepianu i zaczęła grać jakiś ta-
niec dziki i gwałtowny.

Silla przerażony odciągnął ją ztamtąd: bał się,
aby kto nie przyszedł.

Marina wzruszyła ramionami i niedbale usiadła
w fotelu.

— Tu — rzekła, wskazując mu miejsce u nóg
swoich.—Przypomnij sobie wszystko.

Silla nie odpowiedział.

— Bał naprzód. Nie rozumiesz? Bał u Do-
riów!...

I z niecierpliwością tupnęła nogą.

— Nie rozumiem.

Marina wstała gwałtownie.

— Przecież mówiłeś, że pamiętasz.

Gniewała go ta rozmowa, której nie rozumiał.
Ujął obie ręce Mariny i, trzymając je silnie, po-
wiedział:

— Nic nie wiem, nic nie pamiętam. Nie mia-

łem nigdy innego życia. Wiedziałem tylko, że chwila ta przyjdzie i chcę jej używać.

Kręciło mu się w głowie. Doznawał wrażenia, że spada w przepaść bezdenną.

— Puść mnie — rzekła Marina, starając się wyrwać mu rękę. — Nie chcę!... — krzyknęła tak rozkazującym głosem, że Silla posłuchał.

Odchodziła od niego wolno, ze schyloną głową; nagle się odwróciła:

Przypomnij sobie! Przypomnij!

Sillę ogarniał strach.

Marina szybko dodała:

— Dlaczego nazwałeś mnie Cecylią, wtedy, podczas burzy?

— Bo odkryłem wtedy, żeś jest Cecylią naszych listów.

— Wiedziałam o tem. Ale dlaczegoż wczoraj, dziś jeszcze, mówiłeś, że pamiętasz?

— Bo myślałem, że mówisz o naszej korespondencji i o tej nocy, kiedy cię pierwszy raz wziąłem w ramiona.

Siadła przy biurku, wyjęła rękopis i przez chwil parę czytywała się w te żółtkłe kartki.

— Powiem ci tajemnicę, która ciebie dotyczy...

Zgasiła wszystkie świece, jakby się bojąc, aby nie słyssały tej tajemnicy. Łagodne światło wpadało przez uchylone drzwi sypialni.

Marina, wzięwszy rękę Silli, zaprowadziła go w najciemniejszy kąt pokoju i szepnęła:

— Wiesz, kim ja jestem?

Milczał, ale trwoga jego wzrastała.

— Pamiętasz?... Wieczór w logii?... Kobieta, którą oskarżałeś, i moje oburzenie?...

Silla milczał ciągle.

— Nie pamiętasz?... Hrabina Varrega d'Or-mengo.

— Tak! tak...—przypomniał sobie nagle wyjście Mariny.

Ona oparła mu nagle głowę na ramieniu, wybuchając głośnym płaczem i wymawiając niezrozumiałe wyrazy.

— To ja jestem—rzekła, płacząc.

Silla bezwiednie zrobił ruch zwątpienia. Jęknęła boleśnie:

— Wierzysz mi, wierzysz mi, prawda?

— O! nie...

Łzy Mariny przestały płynąć. Powiedziała niewyraźnie:

— Boże! Wy wszyscy jesteście podli!... Ty, ty przecież mi pisałeś, że wierzysz w życie przeszłe? Byłże to kaprys, czy przekonanie? Chcesz, powiem ci prawdę? Boisz się, bo masz mnie za waryatkę. Idź sobie, jesteś podły! Idź precz!

Słowa te sprawiły na Silli takie wrażenie, jak by go kto uderzył szpicrutą po twarzy. Miały nieubłaganą logikę, drażniły go te słowa, chciał wiedzieć, zrozumieć. Zarzucił ją gwałtownymi pytaniami, przechodząc od prośby do pogardy. Smagała go ciągle swemi dwoma słowami:

— Idź precz! Idź precz!

Wstrzymała się nareszcie.

— Posłuchaj.

Wzięła go za rękę i zaczęli chodzić po pokoju. Kiedy przechodzili koło drzwi sypialnego, padała na nich smuga światła, potem znów pogrążali się w cieniu. Marina mówiła tak cicho, że Silla musiał się do niej nachylać.

Pierwszy raz, gdy stanęli w świetle, twarz jego wyrażała gorączkową ciekawość; drugi raz oczy jego były błędne. Marina mówiła ciągle... Stanęli. „Jakto?”—pytał. W chwilę potem dał się słyszeć trzask sprężyny. Zadał jej głosem łagodnym inne pytanie. Marina poszła do sypialni i po chwili wróciła z zapaloną świecą. Była trupio blada. Silla chwycił

chciwie rękopis, a Marina śledziła wrażenie w jego oczach.

Podczas tej grobowej ciszy gwałtowne kroki dały się słyszeć na niższem piętrze; ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Od czasu do czasu wstrząsał Sillę dreszcz, wymawiał jakieś słowa, wtedy ona, dysząc, kładła palec wskazujący na pergaminie.

— I ty to pamiętasz?—spytał raz, nie przestając czytać.

— Wszystko, wszystko! Czytaj prędko, czytaj głośno!

Silla czytał:

„Mówili, że żyć będę po raz drugi tu, w tych murach, że się zemszczę, będę kochała i będę kochaną; mówili też coś ciemnego, niezrozumiałego—może imię, jakie wtedy nosić będę!”

— A ty, ty nie pamiętasz?—jęknęła.

Nie słyszał, porwany ciekawością, czytał cicho. Nagle zadrżał i znów czytał te słowa:

„Wtedy, wtedy chciałabym wstać z trumny i przemówić!”

— I ja też mówiłam zeszłej nocy—rzekła Marina — jakbym wstała z trumny: zraniłam go śmiertelnie.

Silla nie zważał na to. Kiedy doszedł do słów: „Gdy ożyję...” Marina wyrwała mu rękopis, i biorąc jego głowę w obie ręce, patrzyła mu prosto w oczy, wołając:

— A ty nie wierzysz! Ale ci przebaczam, bo cię kocham, bo Bóg tak chce. I ja także nie odrazu wierzyłam, uklekałam tu, tak...

Upadła na kolana i twarz ukryła w dłoniach.

— Myślałam, myślałam i nie! Potem wiara przyszła i od dni kilku wiem wszystko, najdrobniejsze nawet szczegóły.

Zatrzymała się, patrząc na niego z niezmierną czułością.

— Więc ty nie rozumiesz, że dusza moja długo,

długo zamknięta była w grobie? Mów mi o miłości, patrz, jak cierpię! Mam nadzieję, że sobie przypominisz... Chciałabym ci pomódz... wiedzieć twoje myśli... Pokochałam cię zaraz... ledwie cię zobaczyłam... pierwszy raz...

Rozum Silli słabł wobec tej młodości, tej piękności... A Marina mówiła dalej:

— Ale nie chciałam. Powiem ci wszystko. Myślałam, że hrabia sprowadził cię, aby cię ze mną ożenić. Chciałam cię nienawidzieć, byłabym szarpała sobie serce, bo gdy na ciebie patrzyłam, ono gwałtownie biło. Ach, ten wieczór w łodzi! I twoje zuchwałe słowa! Ach, gdybyś był chciał!... Kiedyś mnie odprowadził do kaplicy...

— Do przystani—wtrącił machinalnie.

— Ale nie, do kaplicy! Znów zapominasz!... Kiedyś odszedł, rzuciwszy mi moje pierwsze imię, padłam jak nieżywa! Potem powiedziałam sobie: To on, to on! Potem przyjechali Salwadorowie. To są krewni Ormengów! Bóg mi okazał zemstę, bo we wszystkim jest wola Boża... Wieczorem, po zaręczynach... po tem straszmem „tak,” miałam chwilę zwątpienia straszniejszego... Dowiedziałam się, że Lorenzo, to ty! Napisałam do Paryża, nie, do Medyolanu... jak mi się w głowie płacz! Chciałam wiedzieć, gdzie jesteś, co robisz! Ale ty nigdy nie byłeś u Juli!... A 29-ty kwietnia się zbliżał! Co noc miałam gorączkę... jaką gorączkę... Chciałam wyjść za niego i wypędzić go; ale ty nie przychodziłeś... odłożyłam ślub o jeden dzień. Zeszłej nocy—straszna noc!—modliłam się... I Bóg mnie wysłuchał...

Wzięła rękę Silli i przycisnęła ją do czoła.

— Wysłuchał mnie i zrozumiałam, co mam robić. Poszłam do hrabiego, powiedziałam mu!.. Nazajutrz posłałam ci depezę... A ty? co robiłeś?

Silla czuł, że zmysły mu się mieszają. Ściany, sprzęty, oczy Mariny, świece, wszystko się kręciło naokoło niego. Nie miał czasu odpowiedzieć, bo drzwi

sypialnego pokoju z trzaskiem się otworzyły i ktoś wszedł gwałtownie.

Gość dawno niewidziany w pałacu wchodził tam wśród nocy. I podczas gdy Giovanna czuwała przy drzemającym chorym, gdy inni spali, wszystkie drzwi i bramy otworzyły się przed tym strasznym gościem, który wszedł aż do pokoju hrabiego. A imię jego: *Śmierć*.

— Panienko, panienko! — krzyknęła Fanny, wchodząc.

Ujrawszy Sillę, zamilkła. Silla oddalił się o kilka kroków, ale Marina, w pierwszej chwili zdziwiona, przysła wkrótce do siebie, ujęła jego rękę i gardząc udawaniem, spytała Fanny gwałtownie:

— Co się stało?

— Hrabia!...

— Co?

— Miał drugi atak i kona. Trzeba zejść prędko, prędko!

— Kona?

Fanny od trzech dni zauważyła już nieprzytomny wyraz oczu Mariny, ale nigdy nie były takie, jak w tej chwili. Przestraszona, stała na progu ze świecą w ręce, na pół śpiąca, rozczochrana, ogłupiała.

— Chodź! — rzekła Marina, pociągając Sillę za sobą w ciemny korytarz.

— Tam jest ksiądz! — krzyknęła Fanny.

W pierwszej chwili Silla chciał się wyrwać uściskowi nerwowej rączki, która go ścisnęła, ale głos jakiś wewnętrzny wołał:

— Podły! teraz ją opuścisz!

I poszedł za Mariną... Fanny, zdziwiona, szła za niemi. Światło chyliło się w różne strony, jakby czując także powiew śmierci na sobie.

Na schodach migały światła. Ktoś krzyknął:

— Panno Fanny! Panno Fanny!

To służący szukał krzyża.

— W pokoju Giovanny! W pokoju Giovanny! —
dał się słyszeć głos Catty.

Fanny zaczęła szlochać. Lokaj zrobił ruch zrozpaczony i znikł.

Drzwi oddalone otworzyły się i spokojny głos doktora powiedział:

— Lodu!

Wszędzie słyhać było szept:

— Lodu! Lodu!

Marina szła teraz wolno, mimowolnie drżała. W pałacu przechodziły złowrogie jakieś cienie. Vezza i Mirowitch przeszli prędko, byli bez kołnierzyków i krawatów. Ogrodnik, niosący lód, popchnął Marinę i nie zauważył tego nawet.

Nagle dał się słyszeć donośny głos don Inocenta:

— *Renova in eo, piissime Pater, quidquid terrena fragilitate...*

Potem cisza. Jakies drzwi otworzyły się i zamknęły.

Marina i Silla weszli w korytarz. Widzieli, jak Vezza i Mirowitch otworzyli ostrożnie drzwi i wsunęli się cicho do pokoju hrabiego. Równocześnie usłyszeli głos don Inocenta:

— *Commendo te omnipotenti Deo...*

Fanny rzuciła świecę i uciekła z krzykiem. Marina się odwróciła:

— Waryatka!

Potem cicho do Silli:

— Wiesz, zeszłej nocy, idąc się mścić, upadłam tu, o tej samej godzinie. Nie powiedziałam ci jeszcze, że go zraniłam...

Postąpiła krok naprzód, a ręka Silli zatrzymała ją. Zdziwiona, milczała chwilę, potem nie rozumiejąc, o co mu chodzi, uśmiechnęła się, mówiąc:

— Potem?...

Ręka ścisnęła ją mocniej.

— Puść mnie!

— Niel

Miał głos człowieka, który nagle zobaczył coś straszego.

— Co takiego?

Skurczyła się, jak wąż w szponach jastrzębia. Opanowała się nagle.

— Ach, ta świeca! Kto tu postawił tę świecę?— wołała Catte, nadbiegając.

Dalej głos jakiś kobiecy wołał:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

Hrabina Fosca i Catte, przechodząc, spojrzały na świecę. Silla bezwiednie puścił Marinę, która jednym skokiem minęła je i znikła. Hrabina, owinięta w wielki szal, patrzyła na Sillę surowo, ale nie odezwała się do niego. Weszła do pokoju hrabiego, za nią wsunęła się Catte. Zrozumiał, że Marina musi już być tam, i uderzył się w czoło. Na palcach poszedł do drzwi i słuchał:

— *Suscipe, Domine, servum tuum in locum sperandae sibi salvationis a misericordia tua.*

Wszyscy odpowiedzieli:

— Amen!

Silli brakło tchu. Uczepił się klamki i drzwi się otworzyły. Ktoś cicho bardzo rzekł:

— Proszę wejść.

Wszedł, nie widząc nic i ukląkł przy drzwiach.

Świeca, stojąca na ziemi, oświetlała białość poscieli, ciemne franki i leżące na ziemi kawałki lodu. Na ścianie rysował się cień don Inocenta, który stał przy umierającym. Słychać było rżenie. Doktor siedział przy łóżku, tuż obok klęczała Giovanna, ukryła głowę w kołdrze i szlochała. Hrabina, Nepo, Vezza, ogrodnik, służba rozproszeni byli po pokoju. Mirowitch obojętny stał w kącie.

Na środku pokoju stała Marina. Wyprostowana, w swej długiej sukni, z rękami skrzyżowanymi na piersiach podobna była do posągu. Twarz jej nikła w cieniu.

Don Inocento odmawiał głośno modlitwy: *Com-mendationis animae*. Zdawał się nie dostrzegać obecności Mariny i Silli. Patrzył na głowę konającego. Hrabia miał oczy przymknięte i w pół otwarte usta. Modlił się dalej, a gdy powiedział: *Ignorantias ejus quaesumus, ne memineris, Domine*, słowa te wyrażały głęboką wiarę, że Bóg przyjmie do chwały tę duszę, która tu na ziemi czyniła dobrze, nie myśląc nawet o Nim. Tak żeglarz, dążący stale do raz wytkniętego celu, odkrywa ziemię niespodziewaną, nieprzeczuwaną, gdzie cieszyć się będzie chwałą wieczną.

Gdy ksiądz milknął, słychać było ciężki oddech chorego. Nagle rżężenie ucichło.

— To koniec—rzekł don Inocento, obracając się do obecnych. Zrobił Marinie znak, by uklękła i nachyliwszy się nad umierającym, zaczął odmawiać ostatnie modlitwy.

Marina zrobiła krok naprzód, światło padło na jej twarz zsiniałą, na drżące jej ręce, na rysy wykrzywione.

— Hrabio Cezarze d'Ormengo! — wypowiedziała wolno.

Wszyscy drgnęli i podnieśli głowy. Don Inocento chciał ją odsunąć. Nie ruszyła się. Wyciągnęła ściśniętą pięść w stronę umierającego, palec wskazujący groźny, jak sztylet...

— Cecylia tu jest...

Dreszcz oburzenia przeszedł po obecnych. Słychać było szlochanie, westchnienia, ruch krzesel. Don Inocento odwrócił się:

— Za drzwil...

Nepo, Vezza i Mirowitch zrobili ruch, aby ją schwycić.

— Na miłość boską, zabierzcie ją!—jęknęła Giovaanna, to ona go zabiła!...

W tejże chwili Marina pochyliła się nad łóżkiem. Nikt nie śmiał jej dotknąć, ani zagłuszyć tych słów:

— Z kochankiem!—dodała Marina.

Wtedy Silla przybiegł i wziął ją w ramiona.

— Żebyś umarł!... — krzyczała margrabianka, wrywając się.

Trwało to sekundę. Silla i Marina znikli, w pokoju znów zaległa cisza. Adwokat, Vezza i Nepo szli ku drzwiom.

— Nepo, zostań!—rzekła cichutko hrabina.

Nepo się zbliżył, tamci wyszli.

— Hrabia Cezar nie słyszał, śpi w pokoju—powiedział ksiądz, stawiając świecę na stole.

Doktor zbliżył się, przyłożył rękę do serca, i wyjmując zegarek, powiedział głośno:

— Pierwsza, trzydzieści pięć minut.

Don Inocento zaczął odmawiać modlitwy za dusze zmarłych.

Doktora wywołano. Służba na rozkaz Nepa wyszła, z wyjątkiem Giovanny, która odpowiadała księdzu. Nepo zapalił świece. Oświetlały one tę chciwą twarz, klucze hrabiego, leżące na komodzie, hrabinę Fosca i Mirowitcha, który w tej chwili powracał. Błady był i patrząc na Nepa, marszczył brwi. Spozstrzegła to hrabina, wybuchnęła płaczem i wzięwszy go pod rękę, wyszła.

Nepo zabrał klucze i delikatnie próbował otworzyć szafę.

— O, paniel!... — zawołała Giovanna z wymówką.

Don Inocento przerwał modlitwy:

— Proszę się modlić, albo wyjść!

Ale Nepo nie zważał na to. Pochylony nad zamkiem, podobny był do łasicy, czującej za tym otworem łup dawno pożądany.

W księdzu gniew się zapalił.

— Wyjść!

I byłby go za drzwi wyrzucił, gdyby nie Giovanna.

— Zostaw go, ojcze! Nie przerywaj, nie opuszczaj go!

Nepo otworzył wreszcie szafę. Przewrócił wszystko i znalazł kopertę. Spiesząc odczytać, zbliżył ją tak do świecy, że opalił sobie włosy. Wtem Mirowitch, który wszedł po cichu, powiedział:

— Daj mi pan to!

— Trzeba to zaraz przeczytać — rzekł zawstydzony Nepo. — Chcę wiedzieć u kogo jestem...

Wyszli razem.

Modlitwy *in expiratione* skończyły się. Don Inocento pożegnał się z Giovanną, która nie miała nawet siły mu odpowiedzieć.

Staruszka została sama przy swoim panu; ustawiła światła, uporządkowała krzesła, stąpając cicho, jak gdyby spał. Usiadła na ziemi, patrząc na krzyż, który trzymał w ręku. Przez czterdzieści lat służyła hrabiemu wiernie, nie otrzymawszy nawet serdecznego słowa, ale czując życzliwość i zaufanie. Miała dla niego przywiązanie serdeczne. Nigdy nie była mu tak bliską, jak w tej chwili, gdy nie był już panem swego pałacu, gdy obcy ludzie otwierali szafy, a ona jedna czuwała przy nim, wierna, jak dawniej. Nigdy nie była mu tak bliską, jak patrząc na krzyżyk, wzięty z jej pokoiku w ciągu tej strasznej nocy. Wstała i po raz pierwszy pocałowała martwe ręce, trzymające ten krzyżyk. Sprawilo jej to ulgę; płakała.

Na korytarzu było ciemno. Don Inocento zrobił kilka niepewnych kroków i zawrócił, by przynieść światło. Nałże krzyk straszny, jęki zmąciły ciszę!

Poznał głos donny Mariny. Nad głową usłyszał gwałtowne kroki. Zresztą wszędzie panowała cisza. Cóż się stało na górze? Krzyki i jęki pomieszane z płaczem nie ustawały. Proboszcz, spokojny wobec śmierci, spokojny wobec strasznego ukazania się Mariny, teraz zmieszał się.

Szybki krok rozległ się na górze, potem na schodach.

— Światła!—krzyknął don Inocento.

— O, mój Boże!—zawołał, nie zatrzymując się biegnący chłopiec.

Ksiądz poznał Rica. Zdaleka spostrzegł niknące światółko, na chybił trafił otworzył jakieś drzwi i znalazł się w loggii.

— O, księżę proboszczu!—wołał Rico, wybiegając przeciwnymi drzwiami.

Była godzina druga. Księżyc przysłonięty był chmurami, jezioro leżało spokojnie.

— Chodź tu! Gdzie idziesz?

— Po lekarstwo.

— Jakie lekarstwo?

— Cicho, słuchajmy!

Wycie się wzmagalo. Don Inocento wychylił się i zobaczył światło w oknach pierwszego piętra. Głos dochodził wyraźnie.

Teraz słyhać było wyrzuty, przekleństwa, następnie głos przeszedł w ciche skargi, potem milczenie.

— To donna Marinal — rzekł Rico cichutko. — Jest nieprzytomna. Doktor i p. Silla są przy niej. To panu Silli tak wymyśla.

— Więcej nie ma nikogo?

— Mamolo też jest! Fanny uciekła!

— A ty gdzie idziesz?

— Ja? po lekarstwo... doktor powiedział coś... chlorał... I mam przyprowadzić Ludwikę, żeby przy niej była.

Don Inocento wyjął list z kieszeni i dał go chłopcu.

— Zanieś ten list do pokoju p. Silli i zejdziemy razem.

W drugim skrzydle pałacu słyhać było głosy i hałas. Światła migaly, dzwoniły dzwonki, głos jakiś spokojny wydawał rozkazy.

Wyszli z pałacu. Rico pobiegł z listem, a ksiądz

poszedł wolno w aleje milczących cyprysów. U bramy stał Steinegge.

— Pan tu?

— Dzwon... słyszałem dzwon! Co za bolesć! Chciałbym płakać!

Rzucił się w objęcia księdza, wstrzymując głośne łkanie.

— Czy mogę tam iść? A gdzie p. Silla?

— Widziałem go! — rzekł ksiądz i opowiedział straszliwą scenę.

Steinegge drżał. Ledwie don Inocento skończył mówić, zaczął biec ku pałacowi. Na wstępie spotkał Fanny, schodzącą z Cattą.

— Ja ztąd chcę odejść, chcę odejść! — mówiła Fanny z lamentem.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedziała stara. — Trochę cierpliwości! Czy chcesz opuścić panią w takiej chwili?

— Chcę odejść! Chcę odejść!

— Matko Przenajświętsza! — rzekła Catta, usuwając się przed Steineggem.

Z góry hrabina wołała:

— Mamolo! Mamolo!

— Zaraz, ekscelencyo! — rzekła Catta, prowadząc Fanny.

Steinegge szedł dalej.

— Mamolo! — mówiła hrabina, biorąc go za lokaja. — Zrozumiałeś? Powóz i wózek o szóstej! Ach, to pan? Przepraszam!

— Pani hrabina wyjeżdża?

— Tak, tak... Lepiejbym była zrobiła, nie przyjeżdżając tu wcale!

Nepo zawołał na matkę. Przez otwarte drzwi salonu widać było siedzącego Mirowitcha. Przed nim stał atrament i leżał papier. Hrabina weszła i drzwi się zamknęły.

Steinegge skierował się do loggii, gdzie zastał

Vezzę. Chciał go powitać, gdy usłyszał jęk długi, straszny.,.

— To donna Marina?—spytał Vezza,

Nikt nie odpowiedział, wciąż tylko nasłuchując. Ale już było cicho. Vezza wtedy rzekł.

— To straszne!... Czy pan wie?..

— Tak, don Inocente mówił mi o tem.

— Ach, nie ma pan pojęcia, co za scena. Słuchaj pan. Wychodzę z adwokatem i w korytarzu widzę donnę Marinę w konwulsjach. Nie krzyczała... nie... zębami chwyciła za surdut tego... Silli przy ramieniu i jęczała. Doktor, służąca i ogrodniczka wnieśli ją z trudem; ale nie wypuściła rękawa. To straszne! Straciłem głowę i nie wiem, co dalej. Teraz jest spokojniejsza, ale przed chwilą co za krzyki, nie krzyki, wycia, prośby niezrozumiałe! Ciągłe mówiła do tego Silli. I on jest przy niej, rozumiesz pan?... I pomyśleć, jaką scenę mu zrobiła tu, na tem samym miejscu! Ale wiesz pan, że byli razem tej nocy, gdy ten nieszczęśliwy hrabia konał?

— Byli razem?

— Tak, razem, razem! Fanny zastała ich w sypialnym pokoju.

— Boże! — krzyknął Steinegge, wznosząc ręce do góry.

— Razem! I naturalnie, w parę minut wszyscy o tem wiedzieli.

— Może pan zechce przyjść na chwilę — rzekł Nepo, wchodząc.

Vezza wyszedł, po chwili powrócił.

— Jada!—rzekł.

— Kto?—spytał Steinegge.

— Salwadorowie!... O, hrabia Nepo nie tracił czasu! Ledwie hrabia skonał, szukał i znalazł testament, pisany przed dwoma tygodniami. Szpital w Nawarze jest ogólnym spadkobiercą. Ale będzie trudność z powodu Salwadorów, bo spadkobierca musi sprzedać majątek Somellina, by spłacić sumę 320,000

franków, którą, jak mówi spadkodawca, „ofiarowuje memu krewnemu, Nepomucenowi hrabiemu Salvador z Wenecyi.” Donna Marina nie dostaje. Jest mnóstwo małych zapisów. Hrabia pamiętał o wszystkich. Panu zostawił dożywotni fundusz. Jestem wykonawcą testamentu. Zresztą jest naturalnem, że Salvadorowie wyjeżdżają; doprawdy, tu nie jest ich miejsce. Nepo chciał zrobić awanturę, bić się! Ale łatwo się dał uspokoić.

Catte przyszła, prosząc, by Vezza poszedł do hrabiny. Steinegge został sam. Biedny Steinegge nie był nigdy wielkim marzycielem! W czasie swego półwiekowego życia marzył wprawdzie niekiedy: wolność ojczyzny, spokój domowego ogniska. . Jego ostatnią nadzieją, pokorną i nieśmiałą, było wyzdrowienie żony; odtąd nie marzył! Tak mu się przynajmniej zdawało—teraz, patrząc na to jezioro ciche, spokojne, czuł, że nadzieja jakaś uleciała mu z serca i że cierpi. Któżby mógł przypuścić, że ten Silla tak udaje?

Steinegge, z oczyma utkwionemi w drzwi loggii, czekał. Usłyszał kroki w korytarzu i głos Silli, mówiący:

— Tak, doktorze. Proszę zanotować ważność wypadku, w którym ja musiałem udzielić pomocy, jak również stan przygnębienia i nieprzytomności, w jakim się chora znajduje. Jeśliby kto chciał się ze mną widzieć, jeszcze godzinę będę w loggii.

Głos był lodowaty. Doktor przeszedł przez loggię, Silla został w niej.

Steinegge podszedł ku niemu.

— Panie Silla!

Zdawał się nie słyszeć i poszedł się oprzeć o balustradę od strony podwórza.

— Panie Silla, nie poznasz mnie?

Milczenie.

— A tak!—bąknął Silla.

Steinegge powrócił na dawne swoje miejsce. Silla się nie ruszył.

— Zdaje mi się, że nie zasłużyłem na takie przyjęcie.

Cisza.

— Panie Silla, ciężko jest być tak przyjętym przez przyjaciela, do którego się wyciąga rękę! Chciałem tylko powiedzieć, że pragnąlbym być pana tu nie widzieć... I teraz wolałbym lufę pistoletu na pańskiej piersi... Przyszedłem panu powiedzieć inną rzecz jeszcze, ale kiedy słuchać nie chcesz, do widzenia!

Silla, nie odwracając głowy, rzekł zimno:

— Powiedz pan swojej córce, że dotrzymałem słowa: poddałem się przeznaczeniu.

— Mojej córce?

— Tak! A teraz idź pan!... Idź, idź!—krzyknął z nagłym gniewem.

Steinegge spuścił głowę i poszedł.

Dwie latarnie oświetliły milczącą grupę ludzi na podwórzu. Chwilę potem Vezza wszedł powiedzieć Silli, że Salvadorowie wyjechali i że chce mu oznajmić rozporządzenie hrabiego, dotyczące się jego samego.

Wyszli i loggia opustoszała.

V.

Niezdolny do życia.

Świtało nad wielkimi skałami Alpejskimi. Jezioro było barwy ołowiu. Deszcz, podobny pochytej zasłonie, łączył niebo z ziemią, padał na góry, drzewa, pola. Bił w ściany pałacu, przystani... Pusto było wszędzie. Nigdzie znaku życia. Tylko na drugiem piętrze postać jakaś oparta o okno.

Rozmówiwszy się z Vezzą, Silla usiadł przy oknie. Wiedział teraz, że donna Marina nie dostała

nie, że on dziedziczy sprzęty matczyne, szkatułkę z listami i dziesięć tysięcy franków, tytułem odszkodowania za rozpoczętą pracę. Ale nie myślał o tem; oczy miał nieprzytomne, głowa ciężyla mu strasznie. Jedna tylko myśl w nim pozostała: obowiązek poślubienia Mariny zdrowej, czy waryatki. I to ścinało mu krew w żyłach. Rzucił się ubrany na łóżko. Nigdy nie wydało mu się tak miłym, tak miękkim. Dotknięcie poduszki było pieśczętą. Pragnął namiętnie spać, zapomnieć. Zdrzemnął się i zobaczył nieznanego, który się w niego wpatrywał.

Patrzył nań spokojnie, nie mówiąc nic, i Silla zrozumiał, jakby to było rzeczą naturalną, że ten mówić nie mógł, bo umarł. Poznał go po chwili: był to dawny przyjaciel rodziny, który się zabił z piętnaście lat temu. Silla poznał jego łysą czaszkę, wygoloną twarz i czarny krawat z malachitową szpilką. Czemuż odrazu go nie nazwał? Czyż się go nie spodziewał? Mara się uśmiechnęła. Ten uśmiech dla Silli był odkryciem. Pokazał mu jego własną myśl, ukrytą w nim od młodzieńczych lat. Była to z początku melancholia, żądza innych stron, innych wrażeń... Potem przecucie tajemne, niejasne, ukryte w głębi duszy, jak coś zawstydzającego... A dziś była to potęga nieubłagana, przed którą zginęła się jego wola: „Niezdolny żyć.” Silla rozumiał te słowa, a mara zbliżała się i uśmiechając się ciągle, brała go w objęcia. Gdy dotknęła serca, Silla nic nie widział.

Obudził się i odczuł całą rozkosz powiedzenia sobie:

— Teraz już nie śpię.

Był to inny świat, spokojny i cichy, bez światła prawie. Leżąc, widział w wodzie odbicia jakiegoś świata zagubionego w niebie. I powtarzał sobie:

— Otóż odszedłem z tego smutnego świata.

Nagle zdało mu się, że świat ten zszedł ze swej drogi i rósł niepomiernie... Strach go obudził.

Wielkie, białe światło wpadało przez okno, Silli

zdawało się, że jeszcze śni... Po chwili siadł na łóżku. Powtarzał sobie pocichu:

— To prawda. Umrzeć, to spać jeszcze, spać, spać...

Nad jego łóżkiem anioł Guerchina modlił się za niego i wołał cicho do Boga:

— Kto go rzucił na tę ziemię? Kto mu kazał cierpieć? Kto go do rozpacz popchnął?

Silla wstał i chwiejnym krokiem podszedł do stołu. Oparł swą obolałą głowę na rękach i starał się zebrać myśli. Zdawało mu się, że miał pisać do rodziców, a sił mu brakowało. Wyciągnął rękę po pióro, zobaczył list przyniesiony przez Rica. Nie poznając pisma, otworzył go i przeczytał następujące słowa:

„Edyta S.... do nieznanego pisarza, który może się stać wielkim i sławnym, mimo obojętności ludzkiej. Edyta przysięgła sobie na'ężyć tylko do ojca; ale w głębi serca zachowa wspomnienie duszy, która się dźwignąć może, jeżeli kocha tak, jak mówi.”

Silla uśmiechnął się.

— Teraz, teraz! w sam czas!—powiedział.

Odczytał raz jeszcze bilecik i uczuł kołowanie. Chciał go włożyć do pugilaesu i patrzył chwilę na te litery, myśląc o ręce, która je pisała. Nagle zapalił świecę i po chwili popiół lekki rozwiął się na deszczu.

W tej chwili wszedł lokaj, mówiąc, że Vezza życzy sobie widzieć się z nim i czeka w swoim pokoju. Silla, nieuczestany, w pogniecionem ubraniu, poszedł. Zegar wybił dziewiątą.

— W tym domu — rzekł Vezza — niespodzianki następują jedne po drugich.

Silla milczał, czekając, aż ta nieprzyjemność minie... jak inne.

— Ah! jestem w położeniu bardzo nieprzyjemnem! Duszę się!

Otworzył okno i usiadł obok Silli.

— Bardzo nieprzyjemnem!—powtórzył Vezza.

Silla milczał.

— A jednak trzeba się zdecydować—dodał Vezza, wzdychając.—Jestem posłem. Donna Marina przyszła po mnie...

Silla drgnął.

— Dziwi to pana? A mnie! No, ale cóż robić?... Była ósma, kiedy żona ogrodnika obudziła mnie, mówiąc, że margrabianka prosi mnie do siebie. Byłem zdumiony. Powiedziała, że donna Marina usnęła bez lekarstwa, i obudziła się spokojna i wypoczęta. Nie pozwoliła tylko odsłaniać okien i kazała zapalić wszystkie świece. Nasamprzód spytała, czy pan jest w pałacu. Potem kazała sobie powtórzyć to, co mówiła w gorączce... to, co się stało po...

Zawahał się.

— ...Po wyniesieniu jej przez pana z pokoju hrabiego. A, a... zwłaszcza... daruj pan... robiłeś jej wymówki...

— Nie, ale musiała zrozumieć, jaki wstręt we mnie budzi, bo w gorączce strasznie mnie przeklinała.

— Właśnie największy nacisk kładła na to uczucie wstrętu!... Potem posłała po mnie. Według mnie, jest chorą... bardzo chorą... Jest gorzej niż tej nocy. Mówiła do mnie zdumiewająco zimno i spokojnie! Błada była jak trup. Nigdy nie była dla mnie tak grzeczną!... Mówi, że się znajduje w fałszywym położeniu, bez pomocy, bez rady... że byłem przyjacielem jej wuja i że prosi, abym jej poradził... Oddałem się na jej usługi... Wtedy mnie się spytała... Raz jeszcze przeproszam pana, panie Silla... jesteś, niestety, wmieszany w tę sprawę... Nie chcę być sędzią, ale muszę powtórzyć rzeczy...

— Mów pan, mów!

— Spytała o Salvadorów! Powiedziałem jej, że po wypadkach ubiegłej nocy nie mieli tu co robić. Wyznała, że to rozumie; ale że jeśli pozory są prze-

ciw niej, wina jednak nie po jej stronie leży... I opowiedziała mi rzecz, która dowodzi, że jest nieprzytomną!...

— Od ośmiu dni — mówiła — nie jestem odpowiedzialna za moje uczynki. Miałam ostrzeżenia pozagrobowe. To mi w głowie przewróciło. Zresztą pan Silla wie wszystko...

— Prawda!

— Ależ to niepodobna! — zawołał zdumiony Vezza.

I pytał sam siebie, czy ten człowiek blady, z potarganym włosiem i ubraniem w nieładzie, czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach?

— Prawda — powtórzył Silla.

— A więc to spirytyzm?

— Bynajmniej; ale mów pan dalej.

Vezza nie mógł znaleźć wątku myśli, dopiero po kilku minutach mówił dalej:

— Utrzymuje, że przez tydzień żyła w rodzaju hypnotyzmu, że robiła rzeczy niewytłomaczone, których teraz żałuje. Ma nadzieję wytłomaczyć hrabiemu Nepo, że nie tylko jest względem pana obojętną, ale cię nawet nienawidzi. Błaga, bym jej pomógł. Cóż miałem odpowiedzieć?... Że ja najzupełniej słowom jej wierzę; ale nie wiem, czy hrabia Nepo wierzyć im będzie. A zresztą, Fanny nie ukrywała...

Silla przerwał mu gwałtownie:

— Co do tego, to daję panu słowo honoru...

— Dobrze, dobrze, uspokój się pan. Pytała o testament; nie zmieszała się ani na chwilę:

„Jeśli jestem wydziedziczoną, to tembardziej mój kuzyn mnie nie opuści” — powiedziała.

— Potem mówiła mi o panu, i obiecałem, że ci to powtórzę, bo myślę, że dla was obojga będzie to lepiej...

— Czy chce, żebym jechał? — spytał Silla.

Vezza milczał.

— Czy pan myśli, że hrabia Salvador powróci

i ożeni się z waryatką wydziedziczoną? Jak można to brać na seryo? Odpowiedz mi pan szczerze... Czy mogę porzucić donnę Marinę teraz, gdy jest biedną, chorą i gdy ją narzeczony przezemnie opuścił? Czy mogę wyjechać, jak gdyby się nie stało, dlatego tylko, że ta kobieta mi mówi: Wyjedź!... Pan, panie komandorze, radzisz mi popełnić tę podłość?...

— Spokojnie, spokojnie! bez wielkich frazesów! Pan myślisz, że obowiązkiem twoim jest zaopiekować się donną Mariną? Ależ to opieka niedostateczna, wszyscy się wtedy od niej odsuną. Donna Marina ma rodzinę, która się nią zajmie... Znam ją i za to ręczę. Cóż znów! chcesz się ożenić z kobietą, która cię odtrąca?... A w dodatku z waryatką?... Musisz pan wyjechać!...

Silla walczył z sobą, aby nie dopuścić słabej iskierki nadziei, która wciskała mu się do serca.

— Na honor pański, panie Vezza, mam odjechać?

— Na honor, zdaje mi się, że to panu tylko pozostaje. Zresztą może pan się przekonać o usposobieniu donny Mariny i o stanie jej umysłu... idąc do niej.

— Ja? Nigdy. Pragnę jej nie widzieć.

— Czekał pan! Margrabianka prosiła mnie o powtórzenie jej naszej rozmowy, co też czynię z największą dyskrecją; ale mówiła mi także, iż cokolwiek postanowimy, pragnie się z panem widzieć.

— Dlaczego?

— To już jej rzecz! Jeśli masz pan odwagę, to idź do niej! Wiek mój daje mi prawo mówić z panem, jak z synem, panie Silla. Czy ją kochasz?

— Przepraszam; ale tu nie idzie o moje uczucie.

— Dobrze! dobrze! Więc powiesz jej pan, że jedziesz?

— Nie. Powiedz jej pan tylko, że pytam o której godzinie przyjąć mnie zechce.

— Dobrze. Byłbym panu wdzięcznym, gdybyś

zechciał pozostać do wieczora. 'Tyle mam roboty!.. Poproszę pana o pomoc.

Gwałtowny wiatr uderzył w szyby i wstrząsnął firanki.

— Ah, wiatr się zmienia, tem lepiej!, ta burza jest nieznośną.

Silla nic nie odpowiedział. W milczeniu ukłonił się i poszedł do swego pokoju.

Cóż to za nowa zagadka? Cóż to za nowa ironia losu? Przypominał sobie przykłady furyatów nagle wyleczonych. Może maligna donny Mariny była tylko napadem przejściowym, wywołanym nadzwyczajnymi okolicznościami!

A jeśli Vezza się myli? Jeśli doprawdy ona jest zdrowa? Jeśli nim gardzi? Odrąca go? Wtedy okropny łańcuch byłby na zawsze zerwanym!

Zostałyby mu wyrzuty sumienia, że był współnikiem śmiertelnej nieprzyjaciółki człowieka, który go kochał.. i to podczas jego konania! Ale mógłby to okupić długą pokutą. Głos jakiś szeptał mu słodkie słowa Edyty: „Dusza twoja się dźwignie, jeśli kocha tak, jak mówił” Ah! gdyby Bóg chciał mu miłosiernie jeszcze ten raz przebaczyć!

...Padało jeszcze. Ale wierzchołki Alp rysowały się już na niebie czystem, a wiatr spędzał chmury i niósł je dalej i dalej...

VI.

S p o k ó j.

— Oto agawa, którą panu chciałem pokazać — rzekł don Inocento do Steinegga. — Śliczna jest, prawda?

Roślina wznosiła się smutna na skale, uwieńczonej kilkoma lichemi krzaczkami. Trochę cierni i bluszczu zakrywało szpary. Don Inocento kazał tu postawić ławkę i często przychodził czytać albo marzyć.

— Ta agawa ma coś południowego, nie uważa pan? Często tu przychodzę...

Steinegge uderzył laską o ziemię.

— Co za ślepotą! Jak można być tak głupim!... Nie zrozumieć!... Nie domyśleć się niczego!... Czy ona go bardzo kochała?

— Nie bardzo, nie bardzo...—odrzekł zmartwiony don Inocento. — Uspokój się pan!... bo będę żałował, żem panu opowiedział... Nie chciałem, żebyś pan wypytywał pannę Edytę o słowa pana Silli, bo toby ją zmartwiło. Zresztą tak jest lepiej! Pan wie, jaki to człowiek był ten pan Silla?

— Jaki to był człowiek?... Cóż chcesz? Tak go kochałem! I teraz go jeszcze nie mogę tak surowo sądzić.

Uderzył się w czoło, jakby chcąc się pozbyć myśli, które go męczyły.

— Dla mnie! dla mnie! Ależ całowałbym z wdzięczności ślady jej stóp, a potem powiedziałbym: nie rozumiem. Ksiądz proboszcz nie wie, że często wyrzucam sobie, że dla siebie jednego chowam serce Edyty, i że wtedy widzę, jakim jestem samolubem. Byłbym szczęśliwym z tego małżeństwa. Jestem stary i....

— Chodźmy! — rzekł wzruszonym głosem don Inocento, biorąc Steineggego za rękę. — Siądźmy tu, na tej ławce i poszukajmy razem powodu odmowy panny Edyty.

Steinegge przystanął, bojąc się jakichś odkryć niespodziewanych.

— Cóż takiego?

— Chodź pan, usiądźmy!

Don Inocento nie wiedział od czego zacząć. Tarł ręce jedną o drugą. Nareszcie odezwał się:

— Czy pan nigdy nie spostrzegł, żeby pańska córka miała jakieś zmartwienie ukryte?

Steinegge drgnął.

— Pieniądze?

— Nie, nie.

Twarz ojca przybrała wyraz obawy.

— Zdrowie?

— Nie, nie. Wyobraź pan sobie, że nie jestem księdzem... że jestem przyjacielem... starym przyjacielem i wysłuchaj mnie uważnie.

— Steinegge blady, ścisnął mu rękę i głową powiedział „dobrze,” nie mogąc głosu wydobyć.

— Chwała Bogu! Wiem, że pan bardzo cierpiał w życiu. Był pan prześladowany, spotwarzony, zwłaszcza przez osoby noszące sutannę, prawda? Tak... tak... Powiedz pan szczerze. Myślisz, że nie znam złych księży? I przez to powziąłeś ku nim głęboką nienawiść?... Nie do mnie, nie!... to się rozumie!... Jestem wyjątkiem. Ale pogardziłeś rzeczą nierównie wyższą nad tych księży: słowem Bożem, którego oni są stróżami i tłómaczami... Pozwól mi pan skończyć, potem będziesz mówił!... Zdaje mi się, że po przyjeździe córki starał się pan zbliżyć do Boga... Mówiąc między nami, nie jesteś katolikiem, zaledwie chrześcianinem! A panna Edyta myśli, i myśleć tak musi, że jeśli nie poddasz się sercem i czynem prawom kościelnym, to będziecie w przyszłym życiu rozdzieleni. Oto jej tajemnica. Całe jej serce, wszystkie myśli do tego się kierują. Dlatego tylko ona żyje. Jestem pewnym, że siebie oddaje Bogu na ofiarę. Ah! może pan być dumnym z takiej miłości! Chce, żeby wasze dusze żyły obok siebie blisko, w ciągłym połączeniu duchowem, tak, aby powoli wiara przeniknęła pana. Oto grunt, mój panie... ale może nie powinienem był tego mówić?...

Steinegge ruchem zaprzeczył.

— ...Ale kiedy zobaczył pana tak niespokojnym — mówił dalej proboszcz — wzruszyło mnie to. Myślę, że takie poświęcenie nie powinno pozostać w ukryciu. Dodam, że nigdybym nie był tego pańskiej córce radził, i że mam dla niej głęboki szacunek.

Steinegge cisnął ręce nerwowo, potem, oparłszy je na kolanach, ukrył w nich twarz.

— Zrozumiałem... — szepnął. — Pierwszego wieczoru, tak... ale potem... zdawało mi się, że ją zadowolili.

Don Inocento musiał się pochylić, aby zrozumieć te ledwie dostyszalne słowa.

— Jakto? — rzekł przyjacielsko.

— Myślałem, że ją zadowolili — dodał, nie odkrywając twarzy. — Teraz modlę się z nią... chodzę do kościoła... wszystkim przebaczyłem... Myślałem, że to wystarcza!

Proboszcz chciał mu się rzucić na szyję i zawołać: „Tak, idź w pokoju nieszczęśliwy! serce twoje proste. To wystarcza. Jesteś jak dziecko, które ojciec posłał w świat na pracę, i które wraca bez pieniędzy, pobite i pokaleczone przez ludzi... Stuka, płacząc, do drzwi, a ojciec nie chce ani mu otworzyć, ani go pocieszyć.” Ale ksiądz spojrział na sutannę i tylko przygryzł wargi.

Steinegge wstał gwałtownie.

— Chodźmy do niej!... chodźmy zaraz! Zrobię, co będzie chciała! Chodźmy!...

— Nie, nie, nie! Ona nie chce posłuszeństwa, chce przekonania... i nawet lepiej jej nie mówić o naszej rozmowie. Jeśli się modlisz, proś Boga o światło, a kiedy już dusza twoja będzie go pełna, wtedy dobrze... Pójdź do niej i powiedz: „Myślałem, modliłem się i wierzę.” Ale nie przedtem. A teraz znów jestem księdzem i do usług twoich, będziemy rozmawiać, czytać, rozprawiać... Będziemy źle mówić o księżach nawet!...

Te słowa powiedział don Inocento z uśmiechem, bo Steinegge zdawał się niepewnym.

— Przepraszam, z całego serca przepraszam; ale nie będziemy o tem rozmawiać, ani czytać — mówił Steinegge. — Czuję, że te dowodzenia zaszkodziłyby mi. Zresztą poco? Tyle czytałem, tak badałem te rzeczy niegdyś... Jestem starym, mam w głowie pełno myśli przeciwnych waszym, a nie mam siły ich bronić... Niektóre z przybyciem córki ustąpiły. Może będę mógł i z temi po przyjacielsku się rozstać. Powiem im: „Cicho bądźcie, Edyta tak chce. Nie mogę was wypędzić, ale nie będę was słuchał!” Może same ustąpią. Tak będzie lepiej... Chcę wszystko zrobić dla córki... chcę, aby zachowała o mnie dobre, czułe wspomnienie... ale nigdy mi przez myśl nie przeszło, że mam być z nią w przyszłym życiu rozdzielonym dlatego, że nie klękam przed księdzem! Do tego mam wstręt największy! Jednak... jeśli Edyta chce... Ach! dlaczego to było przedemną ukrywać?...

Wzniósł ręce gwałtownym ruchem do góry.

— Pierwszego wieczora—kończył—tak uderzyło mnie to! I nazajutrz, gdym jej towarzyszył na mszę. Ale potem zawsze była taka dobra, serdeczna! Często ze mną mówiła o religii, powierzała mi swoje myśli, uczucia... Słuchałem z przyjemnością, tak jak ty, ojcie, który jesteś Włochem i chcesz Włochem pozostać, słuchałbyś opowiadania Edyty o Niemczech, o ich poezyi, muzyce. Kiedy jej zacząłem towarzyszyć do kościoła, obawiała się, abym tego nie czynił jedynie dla niej. Nigdy mnie o nic nie prosiła, oprócz tego, ażebym przebaczył...

— I przebaczyłeś?

— Zrobiłem, co mogłem... Tym, co mnie skrzywdzili, przebaczyłem... a tamtym — głos mu się załamał—zrobiłem, co mogłem.

Don Inocento słuchał wzruszony. Sumienie wyrzucało mu, jemu, księdzu, że nie przebaczył uraz

mańszych, niż Steinegge, który był chrześcianinem bezwiednie, i bardziej niż on.

Wiatr szumiął i ugiął wysokie trawy.

— Śliczny czas! — rzekł Steinegge, walcząc ze wzruszeniem.

— Śliczny! — powtórzył don Inocento.

Steinegge stał w milczeniu, następnie pocałował w rękę księdza, mówiąc:

— Chodźmy do Edyty!

— Dobrze! ale nie mówmy jej o tem zaraz. Czekał pan i pokaż jej, że twoje postanowienie jest zupełnie dobrowolnem.

Steinegge wziął księdza pod rękę, ścisnął ją silnie i poszli.

Marta wołała:

— Księżę proboszczu! księżę proboszczu! W ogrodzie są goście!

Don Inocento zdziwiony, przyspieszył kroku i zastał radę miasta, prezesa towarzystwa dobroczynności i kapitana gwardyi narodowej. Przyszli pomówić o pogrzebie hrabiego, który miał się odbyć nazajutrz. We wsi się rozniosło, że znaczna suma była zapisana ubogim. Kapitan, ex-garibaldeczyk, poszedł do pałacu i dowiedział się, że było 30,000 lirów na żłobek, a 70,000 na posagi dla biednych dziewcząt. Natychmiast kapitan ułożył program honorów, jakie miano oddać hojnemu zapisodawcy; ale burmistrz był zakłopotany i nie miał pojęcia o tem, „co się teraz robi.” Utrzymywał zresztą, że to szaleństwo wydawać pieniądze dla kogoś, który nie nie zapisał miastu. To też przybyli do księdza po radę.

Przyszły i dziewczyny ze wsi: chciały kwiatów na wieniec dla swego dobroczyńcy.

Marta gderała na nie: Czyż nie wstyd im brać kwiaty od księdza, i dawać je zakochanym, którzy za nimi się włóczą! Ale don Inocento nie słuchał próśb i protestów Marty, i cały swój ogródek oddał w posiadanie dziewczętom.

Steinegge szukał Edyty. Chciał zobaczyć jej drogą twarz i z góry się cieszył, że niedługo będzie jej mógł oznajmić dobrą nowinę... Tak, niedługo. W ogrodzie jej nie było. Steinegge uklonił się tym panom i poszedł do pokoju córki. Nikogo. Gdzie ona jest? Dlaczego nie może natychmiast pokazać owocu jej poświęcenia? Szukał jej wszędzie i odnalazł wreszcie rwącą z dziewczętami różę. Nie wołał jej, nie chcąc się narzucać, usiadł na ławce i rozmyślał; dałby z ochotą życie, byle się wrócić do chwili, gdy Silla przyniósł książkę. O, jakże sobie przypominał teraz gorące zapewnienia Edyty! Całe zło pochodzi z jego zaślepienia! I że też nie zrozumiał tajemnych trosk córki!

W salonie wszyscy się zgodzili i razem z księdzem wyszli do ogrodu.

— ...Tak—ciągnął dalej kapitan—pan Vezza mi to powiedział. Nie pytałem się go, sam mi powiedział, że pan Silla dziś wieczorem wyjeżdża i że plotkom wszystkim wierzyć nie można.

— Ach!—zawołał Steinegge z oczyma błyszczącymi radością.—Przepraszam, że mieszam się do rozmowy. Ale czy pan Vezza doprawdy to powiedział?...

Kapitan powtórzył słowa Vezzy i dodał kilka szczegółów o stanie donny Mariny.

Edyta rozmawiała z dziewczętami. Opowiedziały jej, że kapitan chciał wieniec sprowadzić z Como lub Medyolanu, ale one wołały go zrobić z miejscowych kwiatów. Forma już była gotową, ale nie wiedzą, jak się do tego wziąć... Edyta poradziła im przepleść gałązki oliwne z białymi różami, a krzyż zrobić z fiołków.

Aby ochronić krzaki róż, sama zrywała kwiaty, przysłuchując się rozmowie mężczyzn, w myśli, że jest mowa o pałacu.

W pomieszczeniu kłóła sobie palce, nie zważając

na to. Nagle zbladła tak, że dziewczęta radziły jej odpocząć, choćby na chwilę.

Przyznała się do bólu głowy, ale nie zważając na to, pracowała dalej.

Podeszli mężczyźni, aby z nimi porozmawiać... Steinnege pozostał w tyle. Edyta go spostrzegła. Zdawał się nierad, a chodząc wzdłuż i wszerz, rzucał spojrzenia gniewne na wszystkich, którzy tam byli. Wreszcie zbliżył się do Edyty i żartem wymawiał jej, że na całe rano go opuściła, a sama gdzieś biega jak kapryśny motylek.

— Czy nie chcesz pójść jeszcze na przechadz-
kę, jeśli nie jesteś zmęczoną?

— Owszem, tatku; ale dokąd chcesz iść?

— Gdziekolwiek! na chybił trafił! A gdybyśmy tak poszli do piapierni!

— Doskonale! ja pójdę z wami—rzekł don Inocento, który już gości pożegnał.—Mam do pomówienia z dyrektorem.

Edyta poszła po kapelusz i rękawiczki, a gdy wróciła, Steinegge i ksiądz przerwali rozmowę. Mieli wyraz twarzy zadowolony, i to ją uderzyło.

— Chodźmy prędko! — zawołał Steinegge, idąc naprzód.

Don Inocento skorzystał ze sposobności, ażeby jej szepnąć:

— Nie między niemi nie było; wyjeżdża dziś wieczorem.

Edyta chciała wiedzieć bliższe szczegóły, ale w tej chwili Steinegge się odwrócił, aby ją zawołać. We drzwiach ksiądz szepnął jej cicho:

— To może twój list!...

— Mój list?—spytała Edyta.

Don Inocento zrobił znak, aby milczała, i wziął ojca jej pod rękę.

Edyta była wzburzoną. Nie wiedziała, że jej bilecik wręczony został Silli. Jakże proboszcz mógł o tem pamiętać wśród tak strasznych zdarzeń?... Ale

to było dobrem dla niego!... Rozpogodziła się, dziękując Bogu, że ją użył za narzędzie do tego miłosiernego uczynku.

— Edyta!—zawołał Steinegge.

Podniosła oczy, zobaczyła ojca pod rękę z księdzem i nadzieja błysnęła w jej oczach. Wzięła pod drugą rękę ojca.

— Jestem!—rzekła.

Szli drogą, wijącą się wśród pól między dwoma rzędami karłowatych lip. Wkoło nich rozciągało się morze zieleni, cudne w nieładzie traw i kwiatów. Kilka białych obłoków płynęło po niebie, odbijając się w wodzie i rzucając na jezioro odbłyśki fioletu.

— Cudowna jest ta zieloność—powiedział, spoglądając wokoło Steinegge.

— Patrzenie, jak mój domek ztąd dobrze wygląda—dodał don Inocento.

Rzeczywiście, śliczną była plebania: cała biała wśród morza zieleni.

— Ach! — zawołał Steinegge — chciałbym tu żyć!...

— A ja, ojcze! Trzeba, ażeby proboszcz wynalazł nam jakie gniazdko!

— A moje? Zamieszkajcie ze starym księdzem! dlaczego nie?... Czyż nie dobrzeby nam było razem?...

Edyta się uśmiechnęła, a Steinegge dziękował.

— Nie, nie—rzekła Edyta.—Przedewszystkiem nie możemy opuszczać Medyolanu, następnie trzebaby innego mieszkania...

— Doprawdy? chciałabyś tu żyć samotnie?

Edyta spojrzała zdziwiona, don Inocento umilkł.

— Nie byłby to jedyny skarb, tu ukryty—rzekł Steinegge, zwracając się do księdza.

Don Inocento bronił się, rumieniejąc przytem i powiedział:

— A pan chciałbyś tu zamieszkać?

— Byłbym bardzo szczęśliwy; ale córka moja nie może...

— Dlaczego, ojcze?

— Bo to nie okolica dla panny, chyba, że byłaby nimfą.

— Nimfą? Kto wie? Lubię wody czyste, lasy, łąki...

— Ach tak! ale wątpię, czy nimfy lubią starych dziadów, jak ja, i czy chodzą na spacer z proboszczem! Czy wiesz, co w tej chwili widzę wyobraźnią?

Steiniegge zatrzymał się i zamknął oczy.

— Widzę wielce szanownego pana Andrzeja Steiniegge, o posiwiałych włosach, zamieszkującego w domu swego przyjaciela proboszcza. Zupełnie on już ołysiał. Widzę tego pana rozprawiającego nad kwestyą Szlezwig - Holsztynu i tego samego przyjaciela, proboszcza, który mu każe przynieść kieliszek wina Valtelino, ażeby miał siłę wypędzić księcia Augustenburga! Czyż nie tak?

Otworzył na chwilę oczy, spojrzął na śmiejącego się księdza i mówił dalej:

— A teraz słuchaj... Cóż widzę? Młodą nimfę, która wbiega w podróźnej sukni, całuje starego pana i mówi, że przyjechała spędzić dwa dni nad wodą, wśród lasów i łąk... „Sama?” — zapytuje stary pan. Wtedy nimfa robi lekki ruch paluszkami... ot tak...

Otworzył oczy i pocałował rękę Edyty. Wyrwała mu ją. Postąpił kilka kroków i, śmiejąc się, pytał:

— Czyż to nie piękny sen?

Edyta nie wiedziała, co myśleć. Wiedziała, że mówił to w jakimś ukrytym zamiarze.

— Więc chcesz się mnie pozbyć? Chcesz żyć sam, ojcze?

— Jakto sam? — zawołał don Inocento. — Czyż nie rozumiesz, że ojciec mieszkałby ze mną?

— Tak, chcę się ciebie pozbyć — podjął Stei-

negge—ale sam nie będę mieszkał. Przyjadę na kilka miesięcy odpocząć przy proboszczu. Teraz mówię seryo: potrzebuję dużo, dużo czasu z księdzem przejeździć.

Edyta spojrzała na ojca. Czy on przystąpił do rzeczy? Czy dobrze sprawy stoją?

Don Inocento przypatrywał się tymczasem z uwagą przejeżdżającej bryczuszce.

— Chcemy odkryć kamień filozoficzny, kamień, który zamienia w złoto wszystko, nawet brzydotę — odezwał się ksiądz.

— A czy znajdziecie tu ten cenny kamień? — spytała, drżąc, Edyta.

— Nie wiem; ale mam nadzieję.

— Dlaczegoż go z wami szukać nie mogę?

— Bo to nie twoja rzecz i nie chcemy ciebie! — odparł Steinegge.

— A cóż ze mną zrobisz, tatuńciu?

— O, jeszcze nie wiem!

W tej chwili nadjeżdżająca bryczka oddzieliła Edytę od jej towarzyszków. Don Inocento szepnął na ucho Steineggemu:

— Czy nie za prędko mówisz?

— Nie mogę się powstrzymać.

Bryczka przejechała.

Stali nad jeziorem, w miejscu, gdzie droga skręcała ku piapierni.

— My tu na księdza poczekamy — rzekł Steinegge.

Usiadł z córką na skale nad jeziorem. Ciche wody były rodzajem sielanki, gdzie serce i młodość wylać mogły swą miłość i szczęście. Wody uderzały o kwiecisty brzeg, pieściły trawy i gryzły kamienie.

— Dlaczego mi to powiedziałeś?

— Co?

— Że chciałbyś się ze mną rozłączyć.

— Nie rozłączyć! Przyjeżdżałbym tylko tu na jakiś czas. Ale rozłączyć? Nigdy. W niczem nie będziemy rozłączeni.. Rozumiesz?... w niczem!...

Powiedział to półgłosem, biorąc jej rękę.

— Tak, dziś po raz pierwszy pomyślałem, że nie powinniśmy być rozdzieleni w niczem i nigdy.

Przycisnął jej rękę do serca.

Usta Edyty skrzywiły się boleśnie i gardło jej się ścisnęło.

— Nie mogę dłużej— mówił jakby do siebie.— Mam serce pełne tych rzeczy... Edyto, prawdą jest, żeśmy nigdy nie byli zupełnie złączeni. Pamiętasz ten pierwszy wieczór, kiedy wszedłem do twego pokoju, a tyś się modliła?... bałem się, że mnie nie będziesz kochać, bo nie wierzyłem tak, jak ty! A nazajutrz kiedyś była na mszy, pamiętasz, że wyszedłem? Czy wiesz, co robiłem?...

Mówił, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać.

— Rozmawiałem z Panem Bogiem, prosiłem go, by nie stawał między nami, żeby mi nie zabierał twego przywiązania...

Edyta ścisnęła mu rękę; oczy jej były pełne łez.

— I wtedy byłaś tak dobrą, tak czułą dla mnie, żyłem w raju, i myślałem, że moje modlitwy są wysłuchane. To mnie głęboko wzruszyło, bo czułem się niegodnym takiej łaski... Wzruszyło mnie, że Bóg ci pozwala być dobrą dla twego starego ojca... Byłem szczęśliwy, ale nie zawszel! Kiedyśmy szli razem do kościoła, dziękowałem Bogu; ale w sercu mojem było coś zimnego, coś takiego, że miałem wrażenie takie, jakbym ja pozostał na dworze, gdyś ty weszła do kościoła, aż pod sam ołtarz. Więc...

Pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha słowa, na które nie odpowiedziała. Potem głośniej:

— Jak ja cierpiałem! Tak mi to było wstrętnem! Może z powodu przykrych wspomnień; może z zazdrości o człowieka, któremu twoje myśli powie-

rzałaś. Nietylko zazdrosny, ale bałem się... Bałem się, aby choć niewidzialny, nieznany, nie odebrał mi odrobiny twego szacunku... twojej miłości... Ale widząc, że się nie zmieniasz, nabierałem otuchy... Wczoraj, będąc z don Inocentym w kościele, uczułem, jak się zmieniłem przez te kilka miesięcy. Miałem wrażenie, że stoję na progu ziemi obiecanej, do której wejść nie mogę. A teraz... Słuchaj, moje dziecko...

Ona milcząc, pochyliła się ku niemu.

— Wszedłem do niej — rzekł cicho.

Edyta schyliła się do jego ręki i pocałowała ją.

— Wszedłem do niej, ale nie pytaj jak. Wiem tylko, że od chwili, gdy postanowiłem oddać się wierze, świat mi się innym wydaje. Nigdy nie odczuwałem takiego spokoju... Cóż ty na to, Edyto?...

Podniosła ku niemu twarz zroszoną łzami.

— Pytasz mnie o to? Pytasz mnie o to?

Nic dodać nie mogła.

Ofiara jej była przyjętą i nagroda przyszła natychmiast.

— Jesteś zadowolona?

Poszedł i umoczywszy chustkę w jeziorze, po dał ją Edycie, która obtarła nią oczy.

— Wiesz, że jestem szczęśliwy z drugiej jeszcze rzeczy?

Edyta milczała.

— Wiesz, że nasz przyjaciel, pan Silla, wyjeżdża dziś z pałacu? Co o nim mówili, to plotki.

— Ojcie — odrzekła Edyta — czy don Inocento wie o tem, coś mi mówił?

— Trochę... tylko trochę.

Chwilę przypatrywała się skale, o którą była oparta, a potem urwała mały kwiatek i zamykając go do medalionika, rzekła:

— Pamiątka tego miejsca i tej chwili... Powiedz mi jeszcze, że jesteś szczęśliwym, że to są naprawdę twoje myśli. Powtórz mi to jeszcze!...

— Gdzie jesteście? — zawołał na drodze jakiś głos.

Edyta nie słyszała, ale Steinegge, poznając don Inocentego, odpowiedział:

— Tak prędko?...

Don Inocento spojrzawszy, zrozumiał i milczał.

— Księżę proboszczu — zawołała dziewczica — znajdujesz inną Edytę.

Don Inocento chciał udać naiwnego; ale to udawało mu się tylko wtedy, gdy było mimowolnem.

— Czyż być może? — spytał ze zdziwieniem, chcąc udać, że bierze dosłownie słowo: „inną”.

Ale nie było odpowiedzi. Edyta szła pod rękę z ojcem, opierając prawie głowę na jego ramieniu. Proboszcz szedł, sapiąc za niemi. Wreszcie zatrzymał się bez tchu:

— Jak pięknem jest jezioro!

Może go nawet nie widział. Steinegge zatrzymał się także.

— Biedny hrabia Cezary! — powiedział po chwili milczenia. — A czy proboszcz wie, że pan Silla dziś z pałacu wyjeżdża?

Edyta puściła jego rękę i patrzyła w inną stronę.

Ach! miłosa żądza kwiatów spalonych przez słońce, drżących ziół upojonych wiatrem, jakimże jest to wasze życie jednodniowe bez pamięci, bez walk daremnych!... Ach! być pyłem i blaskiem, mieć we krwi młodość wiosny!

— Chodźmy, Edyto!

Ten głos ukochany obudził ją z zadumy. Szła naprzód ze spuszczoną głową, widząc ich wydłużone cienie. Mówili o pałacu, a don Inocento przytwierdzał głowę.

Gdy doszli do domu, Marta im oznajmiła, że obiad będzie za chwilę. Edyta wzięła klucze od kocięta i uśmiechając się do ojca, wyszła.

Wszystko tchnęło życiem na dworze, wszystko poruszało się pod dotknięciem wiatru: W kościele wszystko było zimne i martwe... wszystko, oprócz lampki przed wielkim ołtarzem. Niepewne światło padało na świętych i aniołów w ekstazie, otoczonych wieńcem cherubinów. Edyta uklękła w pierwszej ławce, podziękowała Bogu i ofiarowała mu całe swoje serce, całe, całe, całe.. A im bardziej jej dusza wznosiła się ku niebu, tem głośniejsze mówił do niej zimny kościół: „Nie, nie powinnaś, on nie jest twoim... masz nadzieję, że cię jeszcze kocha i że stanie się godnym ciebie... Nie, nie jest twoim!“ I Edyta, nie chcąc cofać tego, co raz oddała, czuła, że serce jej się przepełnia strasznym, głębokim smutkiem.

Przyszła po nią Marta.

— Panienko! Panienko! obiad na stole! Od tego czasu już Pan Bóg musi wiedzieć, o co go panienka prosi!

Edyta uśmiechnęła się tylko.

VII.

M a l o m b r a.

Była godzina druga po południu, Silla i Vezza pracowali w bibliotece. Pisali listy, telegramy układali listę osób, którym mieli posłać zawiadomienia o śmierci hrabiego. Vezza był niepoprawnym gadułą. Siadłszy przy biurku hrabiego Cezara, naprzeciwko Silli, rozmawiał, pisał, rzucał jeden papier, szukał innego, i milkł tylko, aby odczytać jakie trudne zdanie. Od czasu do czasu rzucał okiem na Sillę, robiąc dyskretnie przymówki co do Mariny. Silla nie odpowiadał wcale, albo odpowiadał półstówkami. Myślał o rozmowie, jaką miał rok temu ze zmarłym

hrabią na tem samym miejscu. Słyszał jeszcze podniesiony głos i silne uderzenie pięścią w stół. A teraz sala przepełniona jest złotem słonecznym światłem o zielonawych odbłyśkach, hrabia zaś leży w przyległym pokoju... nieżywy!... Co za zmiana!... Pisał, pisał, rzucał jeden papier, brał drugi, nie odczytując tego, co napisał, ciągle się łapiąc na opuszczonych słowach. Starał się odzyskać przytomność umysłu, ale napróżno.

— Telegramy są już skończone — powiedział Vezza. — Trzeba je wysłać. Niech pan będzie łaskaw zadzwonić! Dziękuję. A listy dla rządów? Tych z Oleggia trzeba zawiadomić natychmiast. Czy pan zna ich nazwiska? Nie chciałbym przeglądać ksiąg przed nadejściem sędziego pokoju. Cóż on tak długo robi? Wiesz pan, że on jest organistą? Jeszcze zatrzymają go w kościele dla jakiegoś obrządku i położą pieczęcie dopiero wieczorem!... Nie widzę sposobu wyjechania dzisiaj do Medyolanu. A jakież są projekty pana?

Silla milczał chwilę zdziwiony.

— Moje?

Wszedł lokaj.

— Wyślij zaraz te telegramy — rzekł Vezza.

— Wie pan? — spytał Silli — chciałbym znać pańskie zamiary, bo mam dla pana propozycję?

— Jaka?

— Chodźmy odetchnąć chwilę powietrzem.

Wyszli na taras. Wiatr muskał krzewy, pochyłał fontanny, które opadały z wesołym szelestem.

— Jaka wesołość. — rzekł Vezza. — Wierzyć nie mogę w śmierć pana domu!

— Ja wierzę.

— A ja nie!... Ale mniejsza z tem!... Zlecono mi znaleźć profesora literatury włoskiej dla instytutu prywatnego w Medyolanie. Cztery godziny dziennie, dwa miesiące wakacyi i 2,400 franków rocznie. Czy to panu dogadza?

Silla uściskał mu serdecznie ręce, dziękując.

— Ale nie mam patentu profesorskiego.

— Ba! to trudności nie przedstawiał... Ułożę to! Ale cóż tamci robią, do dyabła?

„Tamci” była to Fanny i ogrodnik, rwący w oranżeryi kwiaty.

Veza przywołał Fanny ręką. Przybiegła pod taras.

— Co wy robicie?

— To dla mojej pani — odpowiedziała cicho Fanny, z miną tajemniczą.

— Na co? na pogrzeb?

— Ale, cóż ją pogrzeb obchodzi? To do obiadu!... Jakto, pan nie wie?... Pan Paweł panu nie powiedział, że zadysponowała doskonały obiad?..

— Panno Fanny!... — zawołał ogrodnik.

— Idę!... A wie pan, gdzie kazała nakryć?... W loggii... i to podczas takiego wiatru!...

— Panno Fanny!... — wołał znów ogrodnik.

— Idę... Co za myśl!... kiedy wszyscy płaczą! Bylebym i ja nie zwaryowała tak, jak ona. Z tem słońcem palącym w samą głowę!

— Panno Fanny!... — po raz trzeci zawołał ogrodnik.

— Idę, idę!... Jeśli ja sama tego nie zrobię, on nie zdobędzie się na nie!... Tak samo, don Cezar Pedrati, którego pan musi znać, bo to wielki dom...

— Tak, tak, idź już! — rzekł Veza.

Obrócił się do Silli.

— Muszę się dowiedzieć, co to jest z tym obiadem!... Ten głupi kucharz nie uprzedził mnie.

— To niemożliwe!

— Wierzę! Nie mówiłem panu tego; ale ona jest bardzo chora! A ten doktor nie przyjeżdża!

— Powinienby tu być — zauważył Silla. — Był u niej rano, jeszcze spała i powiedział, że nie może wrócić wcześniej, niż za dwie godziny. Giovanna leży w gorączce.

— Panie Silla—rzekł Rico, stając we drzwiach biblioteki — donna Marina prosi pana na chwilę.

— Masz tobie! — pomyślał Vezza. — Piękny dramat, nie ma co mówić...

Silla bez słowa wszedł do biblioteki.

Rico towarzyszył mu na górę i otworzył drzwi pokoju, gdzie stało hebanowe biurko.

Marina stała w pełnem świetle na środku pokoju.

— Zostaw otwarte — rzekła do chłopca, nie patrząc na Sillę. — A teraz idź do ogrodu pomóż ojcu i Fanny. Prędko!

Wyszła na korytarz, chcąc się przekonać, czy Rico już poszedł, następnie wróciła do Silli.

Ubrana była w tę samą białą suknię w niebieskie desenie, co poprzedniego wieczoru. Włosy jej były w nieładzie, twarz wybladła.

Silla ukłonił się nisko. Podnosząc głowę, zobaczył ją stojącą przy oknie. Nagle powróciła do drzwi korytarza, krzyząc:

— Rico!

Ale chłopak był już daleko i nie usłyszał jej. Spojrzała na Sillę po raz drugi, mówiąc:

— Nikogo niema, nikogo!

Nie można się było pomylić co do namiętnego jej spojrzenia, ale Silla stał nieporuszony.

Ogień jej oczu zgasł nagle i powiedziała spokojnie:

— Dzień dobry.

Przytem złożyła zimny ukłon.

— Vezza mówił z panem?—dodała.

— Byłbym natychmiast wyjechał, gdyby...

— Wiem, wiem...

Silla zamilkł. Hebanowe biurko i kwiaty, którym pokój był napełniony, powtarzały mu historię nocy...

— Wiem o tem — rzekła Marina stanowczym i pogardliwym głosem—ale to nie dosyć...

Postąpiła ku Silli.

— Powiedziano panu, że to była halucynacya?...

Zrobił ruch twierdzący. Oddzieleni byli fortepianem.

Marina położyła się prawie na nim, chcąc lepiej Sillę obserwować.

— I pan temu uwierzył? Z radością pan wyjeżdża?...

Nie było odpowiedzi.

— Otóż to! — szepnęła Marina, przysmykając oczy. — To naturalne!... To proste!... To wygodne!... Ale!... — krzyknęła nagle.

Na fortepianie stał wazon z różami. Wyrwała ich garść i rzuciła na podłogę.

— Pan jedzie, to dobrze... ale to nie dosyć!... Czy pan nie czuje się w obowiązku nic więcej dla mnie zrobić?

Głos jej drżał gorzką ironią.

— Jestem na pani rozkazy — rzekł Silla. — Zrobię, co pani będzie chciała.

— Dziękuję. Czy nie chciałbyś pan napisać do hrabiego Salvadora?

— Do hrabiego? — spytał zdziwiony Silla. — Cóż ja mu napiszę?

— Że pan wyjeżdżasz na zawsze i nie będziesz się starał mnie zobaczyć.

— To pani wystarczy?

— Jaki pan dobry!

— Mogę być dobrym z hrabią Salvador — odparł zimno Silla — tej nocy oddałem się na jego usługi. Godzinę czekałem na niego w loggii, ale nie przyszedł.

— A więc go nienawidzisz? — spytała Marina z błyszczącymi oczyma.

— Ja? bynajmniej!

Przeszła wzdłuż i wszerz pokój i stając przed nim, rzekła:

— Ale, wczoraj wieczór nienawidziłeś go? Wczoraj wieczór, o jedenastej?

Silla pomyślał chwilę.

— Pani, ja także podległem halucynacyi.

Wybuchnęła śmiechem, od którego się Silli serce ścisnęło.

— A, więc w takim razie przebaczam panu i rzecz skończona.

— Pani niczego odemnie już nie potrzebuje?

— Dziękuję—rzekła, uśmiechając się uprzejmie Marina.—Niczego. Zobaczymy się jeszcze przy obiedzie, prawda? Pan zostanie na obiedzie?... O, proszę pana!—dodała, widząc, że się waha.

Wiedział, że obiad ten miejsca mieć nie będzie; ale ukłonił się w milczeniu, dziękując.

Kiedy wychodził, Marina uderzyła ręką w hebanowe biurko.

— Wie pan?... Zniszczony!...

Silla odwrócił się i zobaczył rękę, robiącą ruch, jakby odpędzający jakąś marę, usta uśmiechały się uprzejmie.

— To lepiej!—powiedział.

Zaledwie minął pierwsze schody, usłyszał straszny krzyk. Powrócił podedrzwi i słucał. Ale różnił tylko szelest sukni i zgrzyt klucza w zamku. Oddalił się niespokojny.

To Marina krzyknęła i zamknęła drzwi na klucz. Potem uderzyła się w czoło, otworzyła biurko i wyjąwszy rękopis, napisała pod ostatnimi słowami Cecylii:

„To było powodem tego.

d. 3 maja 1865 r.

Margrabianka de Malombra,
niegdyś hrabina Varrega.”

Potem wyjęła z szuflady wykwintny rewolwer z herbem rodziny Malombra; na niebieskiej tarczy sre-

brna kometa, cieniowana czarnem i zakończona takąż linią.

— Wiecie — rzekła do tych herbów — że zgodził się wyjechać? Nie zrozumiał, że to była próba!

Silla zastał Vezzę, szperającego ciekawie po półkach biblioteki. Opowiedział mu rozmowę z Mariną, jej uprzejmość, krzyk usłyszany w korytarzu. Co do obiadu, wytłómaczył mu, że nie śmiał się sprzeciwić kobiecie chorej, potrzebującej jak największych względów, oraz pomocy światłego lekarza. Radził też zatelegrafować do krewnych margrabianki, aby ją ztąd zabrali natychmiast, i że liczy na powagę doktora, by obiad ten nie przyszedł do skutku.

W tej chwili wszedł doktor.

Uważnie wysłuchał całego opowiadania o jej spokojnem zachowaniu się i obiecał, że do obiadu nie dopuści.

Nieobecność jego trwała długo. Gdy wrócił miał twarz niespokojną.

— No cóż?—spytał Vezza.

Doktor patrzył na Sillę i wahał się.

— Może pan śmiało mówić!—rzekł Vezza.

— To, co panu powiem, jest czysto lekarskiem, i nie podlega żadnym względom osobistym: z margrabianką jest źle, bardzo źle i od was zależy, żeby było jeszcze gorzej.

— Przecież dziś rano była spokojniejszą...

— Wierzę! Gdym ją zobaczył, spokój jej zachwycił mnie, nawet zdumiał! Ale potem niepodoobał mi się. Po strasznym napadzie nerwowym tej nocy ta kobieta powinna być przybitą, bezsilną... Ale gdzie tam! Jest tylko strasznie bladą i ma siną obwódkę pod oczami. Więcej nic. Żadnej oznaki zmęczenia. Puls bije szalenie, napad nerwowy nie minął, spokój pozorny tylko jest wysiłkiem silnej woli. To ciągłe napięcie wzmaga zdenerwowanie, czego dowodem naprzykład jest puls przyspieszony. Mówiłem

z nią o jej chorobie, radząc nie wychodzić nawet na obiad. Ale...

I doktor zrobił ruch rozpaczony, jakby słowa nie wystarczały na wypowiedzenie jego myśli.

— Wyznaję, że takich oczu nie widziałem nigdy! Wpadła w taki gniew!... Żeby prawdę powiedzieć, to największy żal ma do pana, panie Vezza, bo czuje, że to pan mi o tem powiedział! Wielki Boże! Co mi mówiła!... Że nie chce, by się jej sprzeciwiano, że od nikogo lekcyi nie potrzebuje, że żałuje, iż pięćdziesięciu osób nie zaprosiła!... I to z gniewem, z wściekłością prawie; drżała, jak liść!... Starałem się ją uspokoić. Ale wpadała w coraz większą złość. W końcu musiałem przyrzec, że się wszystko podług jej życzenia stanie, a nawet, że będę na tym obiedzie. Wierzajcie mi, panowie, trzeba to zrobić! Nie mogę wam radzić sprzeciwiania się kobiecie, która miała taki napad, jak tej nocy i która może mieć drugi...

— Więc?...— spytał Vezza.

— Więc—odpowiedział doktor stanowczo—co do mnie, zrobię, jak sobie życzy, choć ręczę wam, że to mnie wcale nie bawi!

— A gdybyśmy obaj na tym obiedzie nie byli?

— Ależ, mówię wam, że tak będzie źle!

Vezza spojrział na Sillę porozumiewająco.

— Co do mnie—rzekł Silla—nie mogę się mieszać. Można jej powiedzieć, że będąc niezdrowym, obiadu jeść nie mogę, albo, że jestem zajęty wysyłaniem listów, a najprościej będzie, jeśli przed obiadem wyjadę. Ale przypuśćmy, panie doktorze, iż donna Marina uległa w nocy silnemu wstrząśnieniu moralnemu, które jednak z jakiejś przyczyny minęło. Czyż nerwy, tak silnie wstrząsane przez kilka godzin, jeszcze cierpieć nie będą? Jeśli przyczyna złego jest usunięta, recydywa nastąpić nie powinna? Cóż doktor o tem sądzi?

Doktor popatrzył długo na Sillę i powiedział:

— Nawet jeśli przyczyna jest usunięta, nie trzeba drażnić kobiety, której nerwy drżą jeszcze, kobiety tak zdenerwowanej, iż uwierzyła wszystkim swym mrzonkom!... A przytem, czy pewną jest rzeczą, że się ich pozbyła?

— Mam pewne dane do wierzenia w to—rzekł Silla.—Sama mnie o tem zapewniała.

— Przepraszam pana, ale wątpię o tem.

Spojrzeli na niego z niepokojem.

— Wychodziłem, byłem już na progu, gdy mnie znów zawołała: „Doktorze, proszę tu.” Zbliżyłem się. obnażyła lewą rękę i rzekła: „Jaka głęboka rana!” Pokazała mi kilka ukąszeń komarów i dodała: „Czy można z tego umrzeć?” Nie zrozumiałem i patrzyłem na nią: „Nie wierzy doktor, żeby tędy dusza wyjść mogła? A przecież już się zaczęło... Tędy przeszła już myśl i tajemnica!” Czyż te niedorzeczne słowa nie dowodzą moralnej rozterki, o której wspomniał pan Silla. Zresztą trzeba powziąć szybkie postanowienie; ta pani nie może tu pozostać.

— Zajmiemy się tem—rzekł Vezza.—A teraz może doktor odwiedzi Giovannę?

— Owszem.

— Zobaczymy się o piątej?

— Napewno.

— Bardzobym chciał, żeby pan tu pozostał.

— Wyjadę o piątej—rzekł Silla.

Vezza uie był zadowolonym.

— O której odchodzi ostatni pociąg do Medyolanu?—zapytał.

— O wpół do dziesiątej.

— Ach, to ja będę mógł także wyjechać po szóstej. Opowiem panu, jak się obiad odbędzie.

Doktor wyszedł. Vezza i Silla zusedli znów do pracy.

Wiatr dał przeraźliwie, wody szumiały, jak widzowie niecierpliwi, chcący się przypatrzeć dramatowi, zaczynającemu się zarówno. Wokoło starych mu-

rów było rozkiełznanie dzikich żywiołów, żądnych cierpienia, a może śmierci czyjejs... Na co czekano? Wody podnosiły się, uderzały gwałtownie na pałac i loggię, z szumem tłumu ludzkiego. Wiatr dał na prawo, na lewo, na dół, do góry, wściekły wpadał do loggii, jakby urągając niewidzialnym istotom. Nawet cyprysy poruszały swe czarne wierzchołki, winnice, jaśminy i oliwki gięły się, jakby pod wpływem sza-leństwa. Góry surowo patrzyły. Ale scena była pu-sta; aktorzy jeszcze się nie ukazali.

Około trzeciej ogrodnik, Fanny i Rico weszli do loggii, spojrzeli na niebo, na wyjące wody, na góry, które wołały:

— Nie wy! Nie wy!

Zdawały się naradzać. Fanny wyszła, robiąc groźny ruch ręką w stronę nieba. Tamci zostali. Po chwili wróciła, widocznie z rozkazami Mariny, bo obaj się koło niej skupili, poszli następnie razem i przynieśli ogromny, ciemny, prawie czarny kobierzec, który rozłożyli na posadzce.

Potem ogrodnik z synem przynieśli z ogrodu wazony z kameliami, azaliami, cyneraryami i cztery olbrzymie draceny australskie. Fanny wstawiła trzy małe stoliki, cztery purpurowe fotele i małą, złożoną żardinierkę, darowaną dwa tygodnie przedtem przez panią de Bella. Potem weszła sama Marina; udrapowana niedbale w biały szal, dawała rozkazy, nie ruszając nawet palcem, samą tylko głową dając znaki.

Wiatr ucichł, jezioro się uspokoiło, jakby pod wpływem Mariny. Gdy wszystko już ułożono wedle jej życzenia, wyszła, wołając Rica.

Po ukończeniu wszystkiego loggia wspaniała przedstawiała widok. W rogach draceny tryskały zielonością i spadały kaskadą liści, a u ich stóp ustawione były olbrzymie azalie. Na prawo i lewo, na stopniach stały cynerarye i kaleolarye, tworzące różno-barwny kobierzec. Sześć wielkich kamelii stanowiło tło sceny. Stół z dwoma nakryciami stał pod środ-

kową arkadą; dwa inne, mające po jednym nakryciu, stały z dwóch jego stron. Nakryte były kremowem płótnem flamandzkim i tworzyły czysty ton w tej nerwowej muzyce kolorów, krzykliwej zastawie sreber i kryształów. W głębi stała złocona żardinierka, z daru pani de Bella, ubrana białymi delikatnymi hyacyntami.

— Wiatr ulega panom i szaleńcom — odezwała się Fanny, której się zdawało, że całą zastawę wichura zmiecie.

Vezza i Silla weszli do loggii, jednocześnie przeciwnymi drzwiami wchodził doktor.

Wszyscy trzej stanęli zdziwieni tem wspaniałem urządzeniem, harmonią barw na ciemnem tle dywanu.

— Ona jest w tem cała... — rzekł Vezza przestraszony.

Rzeczywiście, urządzenie to było jej wiernym obrazem: serce ponure, miła fantazyja, a umysł pogodny, choć niezrównoważony.

— Wracam do biblioteki—oznajmił Silla—skończyć adresy; pójdę przez boczne schodki.

— Nie, nie, błagam pana!—zawołał Vezza—jeśli już za nic nie chcesz zostać na tym obiedzie, to nie oddalaj się przynajmniej. Zimno mi się robi na myśl zobaczenia się z nią. Złeśmy zrobili, doktorze, zgadzając się na tę fantazyję. Uprzedziłem służbę, że to się dzieje na twój rozkaz, by zadowolić donnę Marinę. Na miłość boską, nie oddalaj się, panie Sillo, zostań w salonie. Zrób mi tę łaskę.

— Dokrze, zostaną tam, ale zaledwie obiad się skończy, pójdę sobie.

Doktor się niepokoił i usprawiedliwiał swoją radę tysiącem powodów, ale sam nie bardzo był pewny, czy się nie omylił.

— Nie wiedziałem rano wszystkiego—rzekł—jeszcze nie rozmawiałem z Giovanną.

Dał znak, by się do niego zbliżyli.

— Wiecie, co się stało z biednym hrabią?

Wiedzieli, czy nie wiedzieli, ale rozmowa przeszła w szmer cichy.

Silla spojrział na zegarek; było trzy kwadranse na piątą. Poszedł po papiery do biblioteki i wrócił do salonu.

Vezza i doktor spostrzegli Rica w łódce.

— Gdzie idziesz?—zawołał Vezza.

— Donna Marina posłała mnie do M.

— Powinieneś mnie się był spytać — mruknął Vezza i znów wrócił do przerwanej rozmowy.

— Napisałem telegram — mówił Silla — ale go nie wysłałem jeszcze. Osoba, dla której jest przeznaczony, ma bardzo dobre serce, ale musi długo się namyślić przed powzięciem jakiego postanowienia. Chciałbym więc napisać: „Z rozkazu doktora,” by uwolnić się od odpowiedzialności, uprzedzam, jako najbliższego krewnego margrabianki de Malombra; jej zdrowie wymaga prędkiego ztąd wyjazdu.

— Trzeba dodać: „bardzo prędkiego” — rzekł doktor.

— Dobrze, dodam „bardzo.”

— Dopisz pan jeszcze...

Nie mógł skończyć zdania, bo w drzwiach ukazała się Marina.

Ubrana była w suknię, którą sobie sprowadziła z Paryża, długą i dziwną suknię, wydającą odbłyśki metaliczne ciemno-niebieskie, co ją czyniło podobną do błyskawic nocy letniej. Stanik był silnie wycięty i odsłaniał białe ramiona. Marina nie była już tak bladą; gorączkowe rumieńce oblały jej policzki, a oczy błyszczały, jak dwa dyamenty.

— Muzyka — rzekła, uśmiechając się i patrząc na jezioro. — Graj, co chcesz i jak chcesz, moje piękne. Prawda, panie Vezza, że muzyka jest obłudną, jak stary pijak, mówi zawsze to, czego nasze serce pragnie!... To też dlatego ma tak dużo zwolenników.

-- Margrabianko!—odrzekł komandor, starając się nadać słowom cechę swobody — muzyka, to wiatr.

Struny są w naszym sercu i dźwięczą wedle pogody, jaka w niem jest.

— W pańskim sercu jest zawsze pogoda. Ale gdzie pan Silla?

— Otóż...—zaczął Vezza zmieszany.

— Czy pojechał?! — krzyknęła donna Marina, gwałtownie ściskając go za rękę.

— Nie, nie, nie, jest tu — pośpieszył odpowiedzieć.—Ale przeprasza panią, czuje się niezdrów i na obiad przyjść nie może... Ponieważ był łaskaw pomódz mi w załatwieniu kilku ważnych spraw, teraz...

Nie dała mu skończyć i spytała rozkazująco:

— Gdzie jest?

Głos jej drżał.

— Ja...—rzekł Vezza z wahaniem—nie wiem... był w bibliotece...

— Proszę mu powiedzieć, że go czekamy.

— Jest w salonie—odparł doktor.—Pisze. Pani będzie łaskawa darować mu...

Chwilę pomyślała, następnie urywanym głosem powiedziała.

— Daj mi pan słowo, że jest w salonie!

— Słowo.

— Dobrze, sam przyjdzie później. Zresztą, panie Vezza, mam melancholię. Powiedz mi, doktorze, czy smutek jest chorobą? Wyniszcza siły żywotne, prawda? Więc gdyby moja krew zawolno krążyła, dalibyście mi jakie straszne lekarstwo... ukryty alkohol. Ja, jako lekarstwo, wybrałam sobie rozmowę z ludźmi mądrymi, jak pan, panie Vezza, i uczonymi, jak doktor!... Tajemnicę obiadu wam wyjaśniłam. Siądźmy do stołu, panowie. Doktor na prawo, a pan tu przy mnie, panie Vezza.

Obiad się zaczął.

Zaproszeni milczeli i z przymusem spożywali. Vezza cierpiał nad tem, że nie może się rozkoszować tym wykwintnym obiadem, podanym z przepychem

wobec młodej i pięknej kobiety. Pocieszał się, myśląc, że będzie to wszystko opowiadał w salonach Medyolanu; notował najmniejsze szczegóły, liczył krzewy, lornetował suknię sąsiadki. Ale ciekawe oczy kwiatków mówiły mu, że to nie koniec przedstawienia. Doktor przypatrywał się uważnie Marinie, bojąc się napadu nerwowego. Rozumiał teraz wagę, jaką do tego obiadu przywiązywała, i smutne przeczucia ścisnęły mu serce. Dwa puste miejsca straszły go, jak również twarz donny Mariny.

— Jakież milczenie! Wydaje mi się, jakbym była wśród cieniów! Czyż jestem podobną do Prozerpiny?

— Ach!—odparł Vezza roztargniouy—paniby mogła wskrzesić umarłych!

Nagle pomyślał o tym, który leżał tam, owinięty całunem... i przeszedł go dreszcz trwogi.

— A przecież wyglądacie, jak sędziowie piekielni. Daj mi tego „bordeaux”—powiedziała do starego lokaja.—Nalej też tym panom.

Lokaj usłuchał. Stary sługa hrabiego, patrząc na to wszystko, był na torturach. Nalewał wino tak drżącą ręką, że butelka dzwoniła o brzeg szklanki.

— Spróbujcie tego wina, panowie! Czy nie uważacie, że ma daleki smak Acheronu?

Vezza podniósł kieliszek i umoczywszy usta, rzekł:

— Jest coś niezwykłego!

— Przypuść pan, komandorze!—rzekła Marina—że z osobistych powodów postanowiłam...

Oparła się o krzesło, czyniąc ruch, jakby pozbyć się chciała rzeczy godnej pogardy.

— To życie jest tak wstrętne!.. Przypuście więc, że chciałam drzwi otworzyć i wyjść, zabierając z sobą kilku wybranych przyjaciół, na wypadek, gdyby droga była długa. Przypuście, że to wino...

Vezza drgnął i spojrzął na lokaja nieruchomego przy drzwiach.

— Ach, jakiż pan łatwowierny!

Kazała sobie jeszcze nalać wina i poniosła szklankę do ust.

— Coś niezwykłego, to wino jest czyste, jak łąza. To był żart Prozerpiny! Pijcież, panowie!... Róbcie zapas odwagi i dowcipu.

Doktór nie pił, czuł nadchodzącą burzę. Vezza przeciwnie, usłuchał rady Mariny i wychylił kieliszek.

— Brawo! — zawołała, blednąc — szuka pan natchnienia do trudnej odpowiedzi.

— Już pani nie jesteś Prozerpiną, margrabianko, ale sfinksem...

— Sfinksem?... tak!... gotowam zamienić się w kamień, albo coś zimniejszego jeszcze!... Ale przed tem będę mówiła, powiem wszystko! Więć...

Błądła coraz więcej. Drżenie przerwało jej mowę. Obaj skoczyli ku niej. Porwała nóż i wściekle wbiła ostrze w stół.

— Spokoju, spokoju! — rzekł doktor, chwytając lodowatą rękę.

Ale już się opanowała. Wstała, mówiąc:

— Powietrza!

Skoczyła ku balustradzie od strony jeziora, ale już doktor stał przy niej, aby ją przytrzymać.

Odwróciła się, patrząc na Vezzę płonącemi oczyma.

— Czy wierzysz pan, żeby dusza ludzka mogła żyć kilka razy na ziemi?

A gdy ten zdumiony milczał, krzyknęła:

— Odpowiedz pan.

— Ależ nie!... Ależ nie!...

— A więc tak!... Jest to możebnem!...

Nikt się nie ruszył. Ogrodnik, kucharz, Fanny, zawołani przez lokaja, patrzyli na tę scenę. Wiatr ucichł; wody u stóp logii szemrały: „Słuchajcie, słuchajcie!”

I znów głos Mariny zabrzmiał w ciszy:

— Sześćdziesiąt lat temu, ojciec tego umarł-

go—i wskazała palcem na piętro wyższe — zamknął tu swoją pierwszą żonę, jak wściekłego wilka... Konała długo... Ta kobieta wstała z grobu, aby się zemścić nad tym rodem przeklętym, który tu do tej pory rozkazywał!

Oczy jej były zwrócone na prawo, ku otwartym drzwiom.

— Margrabianko — przerwał doktor tonem łagodnej wymówki—poco pani mówi takie rzeczy?

I chwycił jej lewą rękę w stalowe kleszcze.

— Tam są ludzie—krzyknęła Marina—wejście, wejście wszyscy!

Fanny i inni uciekli; potem wrócili na palcach, chowając się.

Silla podszedł do drzwi salonu; nie mógł widzieć Mariny, ale ją słyszał.

Mówiła:

— Chodźcie! Wejście! On nie przychodzi, bo zna tę historię... ale nie całą... końca jej nie zna... Muszę mu koniec opowiedzieć. Wstałam z grobu i to jest uczta mego tryumfu!

Głos jej ochrypl nagle. Przyczepiła się do kolumny, oparła czoło o balustradę, i jęknęła dziko, długo, strasznie.

— Prędko po infirmerkę, tę samą, co w nocy!...—rozkazał doktor.

Potem, zwracając się do Mariny, którą trzymał ciągle za rękę:

— Margrabianko, proszę być dobrą!... Pójdź pani ze mną i nie mów tych rzeczy, które ci szkodzą...

Podniosła głowę, poprawiła wolną ręką uczesanie i patrzyła uparcie we drzwi salonu. Przybiegła ogrodniczka, ale Marina kazała się jej usunąć i powiedziała:

— Otóż to! Chodźmy ztąd!... Chodźmy do salonu...

— Lepiej do pani pokoju—nalegał doktor.

— Nie, nie, do salonu!... Ale puść-że mnie pan!...

Te ostatnie słowa wyrzekła z taką godnością, że doktor usłuchał i tylko szedł za nią. Właściwie chodziło mu o oddalenie jej od balustrady.

Marina szła wolno, trzymając prawą rękę w kieszeni. Vezza i lokaj patrzyli z przerażeniem. Doktor zatrzymał się, dając kilka poleceń infirmerce, i donna Marina sama doszła do drzwi.

Fanny, kucharz i ogrodnik usunęli się, aby ją przepuścić. W salonie okna były zamknięte, a franki zapuszczone.

Silla stał przy drzwiach. Ujrawszy Marinę, zawahał się... Postąpiła dwa kroki, mówiąc:

— A...—szczęśliwej drogi!...

I podniosła prawą rękę. Rozległ się strzał... Silla upadł. Fanny uciekła z krzykiem. podczas gdy doktor rzucił się do Silli, krzyząc: „Trzymajcie ją! Trzymajcie ją!” Vezza, lokaj i ogrodnik wbiegli, nie wiedząc, co się stało... Ogródnik i lokaj wymyślali sobie nawzajem, nie śmiejąc zatrzymać Mariny, która z rewolwerem w ręce przeszła koło nich, minęła logię i wyszła przeciwnymi drzwiami, zamykając je na klucz.

Trwało to niecałe dwie minuty.

Ogródnik i kucharz podbiegli do drzwi i wysadzili je. Korytarz był pusty. Zatrzymali się niepewni, obawiając się wystrzału, może kuli...

— Naprzód, tehrze!...—krzyknął doktor, biegnąc ku nim.

Nasłuchiwał w korytarzu.

Cisza.

— Chodźcież, nędznicy!

I w jednej chwili był w pokoju hrabiego.

Nic. Świece paliły się spokojnie.

Przeszukał sypialnię Mariny i pokój z hebanowem biurkiem.

Puste.

Doktór rwał sobie włosy, wołając:

— Tchórze! tchórze!

— Do biblioteki!—zawołał ogrodnik.

Zbiegli po kilka schodów naraz. Gdy weszli w korytarz, nieludzkie wycie rozdarło powietrze i różnili głos Vezzy, wołający: „Łódka! łódka!” Weszli do logii i zobaczyli Marinę stojącą w czólnie; przejechała pod nimi i wypłynęła na środek jeziora... Rewolwer leżał na ławce przedniej.

— Do łódki!—krzyknął doktor.

A Vezza dodał:

— Przez boczne schodki...

Zeszli bocznymi schodkami. Doktor upadł i stoczył się na dół, ale podniósł się na czas, aby usłyszeć przekleństwo ogrodnika, który się zatrzymał na pierwszych schodach...

— Łódki niema!... Rico popłynął przed obiadem po sprawunki.

— Może wrócił — odparł doktor i drżącą ręką otworzył drzwi przystani.

Pusta! Łańcuchy od łódki i czółna wisały oba w wodzie.

O mało nie upadł z przerażenia... Wiedział, że wszystkie inne łódki były daleko.

— Ogrodniku! — rozkazał — do wsi. Prędko!... Łódkę i dwóch ludzi!

Ogrodnik pobiegł.

— Boże! Boże! Boże! — jęczał nieszczęśliwy doktor, łamiąc sobie ręce.

Tamci krzyczeli z logii:

— Prędko! prędko!

Ogrodnik zawrócił.

— Czy i księdza potrzeba?

Doktor przytknął mu pięść do twarzy.

— Bydłę! Rób, co ci kazałem.

Pobiegł, a doktor poszedł do logii.

Otworzyło się okno na najwyższem piętrze i słaby głos spytał:

— Co to jest? Co się stało?

Była to Giovanna.

Ktoś z dołu odpowiedział:

— Stało się to, że pan Silla zabity!

— O! Matko Najświętsza!

Zdaleka słychać było wołanie ogrodnika i inne głosy. Na piasku rozległy się kroki chłopca jakiegoś... potem inne... potem ciekawi nie wiadomo zkad się wzięli...

Pan umarł, można więc było wejść. Chłopcy pchnęli bramę od podwórza, wśliznęli się do domu, weszli na schody... Wiedzieli, że Silla leży w salonie, chcieli go zobaczyć. Doktor wypędził ich, jak rój natrętnych much.

— Do dyabła!... precz ztąd!...

Chłopaki uciekli.

Powiedział do kogoś, który został w pokoju:

— Nikogo, przed przyjściem sędziego!

I zamknął drzwi na klucz.

Veza i inni otoczyli go, oczekując...

— Pfl!... Zaraz powiedziałem!... Serce bić przestało!...

Okno było otwarte, wszyscy się zbliżyli i czekali. Saetta odpłynęła daleko. Widać było doskonale Marinę i blask wiosła. Veza, który miał krótki wzrok, rzekł:

— Zatrzymała się...

Rzeczywiście, zdawało się, że stoi.

— Nie, nie—odpowiedzieli inni.

Kucharz, stary żołnierz, powiedział cicho:

— Dosięgnąłbym ją z karabinu.

Fanny zaczęła szlochać i znów powróciła.

— Gdzież ona płynie?—spytał doktor.

Nikt nie odpowiedział. Po chwili dopiero odezwał się stary lokaj:

— Jedzie do zatoki Malombra; w tę stronę się kieruje.

— Dlaczego do zatoki Malombra?

— Jest ścieżka, która tam prowadzi przez góry; krócej, niż przez gościniec—wtrącił kucharz.

— A czy z tej strony ścieżką iść nie można?

— Owszem!... owszem!... trzeba tylko zejść do studni „Głębokich Wód!...” To rzecz pięciu minut...

— Już są!...—wołała żona ogrodnika.

Czterowiosłowa łódka szybko postępowała śladami czółna.

Doktór, złożywszy ręce przy ustach, krzyczał...

— Prędko!... prędko!...

— Czy ją dogonią?...—spytał Vezza.

— Nie na jeziorze... czółno dobija, a łódka potrzebuje przynajmniej dziesięciu minut...

Saetta zbliżała się do zatoczki Malombra, a łódka stała niedaleko pałacu; nagle będący w niej ludzie kzucili wiosła i stanawszy na przodzie łódki, zaczęli coś wołać...

— Ach! zobaczyli tę drugą łódkę, tam!... Trzymajcie ją, moje dzieci!...—krzyczał doktor.

Potem zwrócił się do obecnych.

— To sędzia pokoju!... Wołajcie go!... Morderstwo!... zbrodnia!... zabójstwo!... trzymajcie!...

Inna jakaś łódka płynęła rzeczywiście w przeciwną stronę i przeszła bliźutko Saetty, ale mimo rozpaczliwych nawoływań z pałacu i łódki, płynęła dalej spokojnie.

— Nie słyszą... Krzyczcież wszyscy, na miłość Boską!...

Uczynił ostateczny wysiłek.

Vezza, służba, kobiety, krzyczeli nieludzkim głosem:

— Zatrzymajcie czółno!

Łódka posuwała się ciągle naprzód.

Saetta zniknęła z oczu.

VIII.

K o c h a n y.

Czarna postać zjawiała się na progu salonu don Inocenta i powiedziała:

— Nic!

Proboszcz nie poznał go odrazu i podniósł umbrę.

— A... nic?

— Nic?—powtórzył za nim Steinegge.

Obaj podbiegli do nowoprzybyłego.

— Trzej żołnierze przeszukali las — rzekł wójt z całą lombardzką dobroduszością. — Zresztą, gdyby tam była, czterej ludzie z łódki byliby ją znaleźli, bo wylądowali dziesięć minut po niej... Gdzież się schowała, u dyabła?

Napróżno Steinegge dawał mu znaki, aby milczał. Ksiądz musiał go wyprowadzić do ogrodu i powiedzieć słów parę na ucho.

— Ach!...—westchnął.

Nie dojrzał w ciemnym kątku salonu osoby siedzącej nieruchomo. Gdy wszyscy trzej wyszli, wstała i, stanawszy na progu, słuchała.

— Kilku chłopów utrzymuje, że poszła w góry— rzekł wójt. — Ale jakżeż chcecie, żeby taka kobieta szła wązkami ścieżkami?... I żeby iść gdzie?... Jestem pewny, że jest w głębi studni „Głębokich Wód!” Wiecie, ta czarna dziura, w głębi doliny Malombra?

Edyta więcej dosłyszeć nie mogła, bo poszli wgłąb ogrodu. Usiadła przy murku, naprzeciw kuchni...

Tam zebrały się wszystkie kumoszki ze wsi i głośno rozprawiały z Martą.

— Czyż nie rozumiecie, że zawsze była waryatką?—krzyknął jakiś głos ostry.—On był jej kochan-

kiem, bo zeszłego lata „malarz” spotkał ich w nocy... Teraz miał jej dosyć... chciał ją rzucić, no i zastrze-
liła go. O! la, la, przecież codzień się takie rzeczy
czyta w gazetach!

— Zkąd miała rewolwer? — pytała inna ku-
moszka.

— Miała go zawsze... W lipcu mówił ogrodnik,
że strzelała do posagów.

— A doktor myślał, że się sama chciała
zabić!...

— Bo nie znał dobrze tej historii... Czy my-
ślicie, że jest w studni „Głębokich Wód?...” Nie
znaleźli jej... To czarownica... Spotkałam ją kilka
razy w lesie... Szatan!... Wiem, gdzie jest. Otóż
w okolicy bawi banda cyganów, z pewnością się do
nich przyłączyła.

Wszystkie zaczęły mówić jednocześnie, wymie-
niając wprost przeciwne zdania, krzycząc jak roz-
gniewane sroki.

Steiniegge, ksiądz i wójt wracali.

— Otóż—zakończył ten ostatni—może ona była
waryatką, ale i on nie wiele był wart! Przyjmować
schadzki donny Mariny, podczas gdy biedny hrabia
konał! Sędzia pokoju miał słuszość dziś wieczór,
mówiąc, że skończyć tak, czy też inaczej...

Steiniegge spostrzegł Edytę, ale myślał, że do-
brze będzie dla niej, gdy to wszystko usłyszy; ksiądz
robił mu nadzieję, że miłość jej nie była głęboką.
To też dodał:

— I ja się na nim pomyliłem, był mi tak sym-
patyczny... Myślę, że słowa jego więcej były warte
od czynów. Nigdy nikogo nie kochał, ani magrabian-
ki Malombra, ani... Znałem dużo tych literatów
i wszyscy są tacy sami... Miłość jest dla nich
chorobą nerwową, która nigdy nie bywa niebez-
pieczną!

— Ale — rzekł don Inocento — *Para sepulto...*
(przebacz pogrzebionemu).

— Znacie list?—spytał wójt.

— Nie! Jaki list?

— Pan Vezza przeszukał rzeczy pana Silli i znalazł list zaczęty; nie było nazwiska, ale tylko: „kochany wuju”... Potem drugi... coś jakby testament. Zdawał się przeczuwać swój koniec. Cóż o tem myślicie?...

— Może czyniono mu pogróżki śmierci?...

— Ah! to są straszne rzeczy... straszne sprawy.

— Nie sądźmy nikogo—odparł ksiądz.

— Po krótkim milczeniu pożegnał się wójt z nimi. Kiedy ten się już oddalił, Steinegge wziął don Inocenta pod ramię, wzdychając:

— Biedna Edyta! Biedna Edyta!

— Nie bój się pan, Edyta jest odważną, zresztą ma w sobie siłę, która zwycięża wszystko... nawet śmierć!

— Tak!... ale będzie cierpieć!... Czy bardzo się wydaje zmartwioną? Nie kochała go bardzo, prawda?... O! niech mi ksiądz to powtarza, bo to mi sprawia pociechę!

Na szczęście, było ciemno i Steinegge nie mógł czytać na twarzy don Inocenta wszystkich odbijających się na niej myśli.

— Zdaje mi się, że nie!... Mam nadzieję, że nie!... znali się tak krótko... Zapomni o tem, jak o śnie nieprzyjemnym. A czy pan pomyślał o wyjeździe? Przykro mi, ale to konieczne... W Medyolanie nie trzeba o tem mówić nigdy... A teraz cicho!

Podeszli wolno do Edyty i ojciec powiedział z troskliwością:

— Lepiejby było, gdybyś wróciła do domu.

Usłuchała, pocałowała go w milczeniu i weszła do salonu. Usiadła w swoim ciemnym kącie. Steinegge i ksiądz usiedli, patrząc na cień lampy na stole. Rozmowy w kuchni ucichły. Przyjaciółki Marty jedna po drugiej przechodziły pod drzwiami salonu,

jak chińskie cienie, i mówiąc „dobranoc”, znikają. Zdaleka dochodziły głosy świerszczów i rechotanie żab.

— Na którą godzinę zamówiłeś powóz, ojcze?

— Na pół do szóstej, moje dziecko; pociąg wychodzi o pół do dziewiątej.

— Która godzina teraz?

— Dziesiąta.

Nie mówili nic więcej. W kwadrans potem przyszła Marta zobaczyć, czy można dom zamknąć. Spojrzała z wahaniem na księdza i wyszła na palcach, jak gdyby wychodziła z kościoła w chwili uroczystej. Wkrótce potem wróciła spytać, czy rolety mają zostać otwarte.

— Tak, tak!—rzekła Edyta.

— Jest trochę wilgotno—zauważył Steinegge.

— O! nie na tej wysokości—rzekł ksiądz.

Cóż obchodziło Edytę, czy jest wilgotno, czy nie? Tędy widziała kawałek gwiazdzistego nieba!

Stara gospodyni, zniecierpliwiona, kręciła się po kuchni, stukając rondlami, kaszłała, suwała łzesałami... Edyta przerwała milczenie.

— Jesteś zmęczony, ojcze, a jutro trzeba wczesnie wstać.

Steinegge był wzruszony, słysząc jej słodki, spokojny głos.

— Idę spać, bo jutro rano muszę porozmawiać z proboszczem.

Ksiądz zawołał Martę, kazał jej poświecić na górę, a klucz od domu zostawić w salonie na stole.

Edyta nie ruszyła się.

— A ty, nie idziesz?

Powiedziała, że jej się spać nie chce i prosiła, aby ją jeszcze zostawił chwilkę z don Inocentym... na ostatni wieczór.

Wymawiał jej słodko, że go do łóżka wyprawia.

— Bo potrzebujesz tego—odparła, całując go.

Edyta została sama z księdzem. Złożyła ręce, patrząc na niego błagalnie.

— Bóg cię wysłuchał, przyjął twoją ofiarę—powiedział ojciec.

Edyta patrzyła ciągle, nie mogąc przemówić, a w oczach jej świeciły łzy. Don Inocento, współczując tej strasznej boleści, zamilkł. Edyta wyszeptwała:

— Nie módz go bronić!

Po chwili milczenia zaczęła znów.

— Mój ojciec także!... Ah! jak to niesprawiedliwie!...

— Ale nie!... — próbował zacząć don Inocento.

Podniosła rękę, nie odpowiadając... Potem chwyciła za poręcz fotelu, usiłując stłumić łkanie:

— Proszę się przy mnie!—prosiła.

Ksiądz, również silnie wzruszony, siadł przy niej na kanapie.

— Nie mów o tem wszystkiem, moje dziecko... Myśl tylko o dobrej nowinie, której ci twój ojciec udzielił... Reszta jest niemiłym snem... zapomnij o nim.

— Nie—odrzekła namiętnie...—Wczoraj mówiłeś mi, ojcze, że pamięć tę powinnam mieć w sercu!.. A dziś, kiedy wszyscy go oskarżają, spotwarzają, kiedy on bronić się nie może, ja, ja mam go opuścić! Nigdy! nigdy, póki będę żyła, nigdy o nim nie zapomnę, i mam nadzieję, że on o tem będzie tam w górze wiedział... Słuchaj mnie, ojcze...

Ksiądz pochylił się ku niej, bo mówiła ledwo dostłyszalnym głosem:

— Chciałabym, żebyś go był znał lepiej... Uczucia jego były subtelne, jak uczucia kobiety... To było jego nieszczęściem, bo nikt go nie rozumiał! Zamknął się też w sobie, w swoim cierpieniu... A kiedy ostatnia nadzieja uleciała, upadł. Był religijnym, nieraz słyszałam, jak wyrażał zdania pobożne!

On dobrze zrozumiał uczucie, jakie miałam dla ojca, i pochwalał je. Spostrzegłam to po sposobie, w jaki na mnie popatrzył, gdy raz z ojcem wycho-

dziłam z katedry... Codzień nas odwiedzał, a nigdy nie wyrwało mu się ani jedno słowo... Miał dla mnie szacunek bez granic... I tak podczas naszych przechadzek zwierzał mi się ze wszystkiego, nie mówiąc słowa, któreby mnie mogło zmieszać... A teraz muszę słuchać tych strasznych rzeczy, które mówił wójt!...

— Nie... nie zdaje mi się...—wyjąkał ksiądz.

— Słyszałam wszystko... wszystko!... Jestem pewną, że powrócił do pałacu, przywołany przez nią, i Bóg wie z jakimi naleganiami! Za dobrze pamiętam, niestety!... słowa, które powiedziała w grocie. Jestem tego pewną, jak gdybym widziała list, czy telegram... Kto wie, don Inocento, czy to nie moja wina? Kto wie, jakie złe myśli mógł mieć ten człowiek, widząc się odepchniętym przezemnie?... On, który prosił o przyjaźń, poparcie!... Mogłam postąpić inaczej, być szczerą, mówić z nim tak, jak później pisałam... Ale myślałam, że robię dobrze...

Nie mogła dalej mówić.

— Nie, moje dziecko, nie jesteś winną. Jak taką rzecz przewidzieć? Postąpiłaś szlachetnie, nie robiąc mu złudnych nadziei. Sumienie twoje jest czyste, możesz być spokojną.

— I nie być tu jutro?

— Tak będzie lepiej... nie mogłabyś ukryć swej boleści przed ojcem, a on zanadto by cierpiał, widząc cię w takim stanie.

— W takim razie czuwaj, by ktoś doprowadził go do końca... Módl się za niego... Każ się modlić...

Don Inocento obiecał, ale miała jeszcze coś dodać.

— Czy napisali do jego rodziców?

— Nie wiem.

— Nie kochali go także... Chciałabym, żeby przy nim była jaka pamiątka odemnie. Pomóż mi, ojcze, bo nikt o tem wiedzieć nie powinien.

Don Inocento uściskał jej rękę w milczeniu.

— Przyślę coś z Medyolanu.

— Zrobię, jak dla brata.

Lampa gasła; ksiądz wstał.

— Idź odpocząć—rzekł.

Ale Edyta prosiła, aby jej dał przyjść do siebie na wypadek, gdyby ojciec nie spał i zawołał ją.

— Co za spokój!—rzekł, zbliżając się do drzwi.

Spoglądał na niebo, pokrywane się chmurami. Zegar wybił jedenastą.

— Jeszcze godzina—rzekła Edyta—a dzień ten się skończy. Zdaje mi się, że jutro słońce będzie innego koloru i że odtąd pozostanie takim zawsze... Ileż lat jeszcze?...

— Mam nadzieję, że dużo... dużo!...

— Niestety!

Okno Steineggo się otworzyło i zawołał:

— Jakto? jeszcze nie śpicie?

— Nie... Noc taka śliczna! Spać nam się nie chce.

— Ciemno jest od strony gór, co? Jutro rano będziemy mieli deszcz. Słuchajno, Edyto, trzebaby pamiętać o lekcyi u państwa Pedillokipa; wyjechaliśmy, nie uprzedziwszy?

— Tak, ojezulku.

— Dobrze będzie, żebyś poszła do pani M.— jutro przyjmują.

— Chętnie.

— Czy moja papierośnica nie została w salonie?

— Pójdę zobaczyć.

Edyta weszła do salonu, w milczeniu skłoniła się don Inocentemu, wzięła papierośnicę i poszła do ojca.

Ksiądz zamknął okiennice i w zamyśleniu zaczął chodzić po gabinecie.

...W cieniu ponurym pałacu anioł Guerchina modlił się żarliwie za tego człowieka pozbawionego życia przez zdradę. Krótkie było jego życie, pełne

nieszczęść i błędów... Ale odważnie stawiał czoło walkom, często upadając, zawsze podnosząc się znów... Kochał niedościgłe ideały, obojętność ludzka złamała mu serce... Zaznał wszystkich cierpień, niezdolny dokonać dzieł wielkich, niezdolny wzbudzić miłości, niezdolny żyć... A jednak twarz jego była spokojną po śmierci: umiał chcieć pokoju wiecznego. Potrafił też wzbudzić miłość, wedle swych marzeń ziemskich, w sercu czułem, silnem i stałem.

...Fontanny rozmawiały z sobą w cieniu nocy i mówiły, że Marina jest tak daleko, jak Cecylia; hrabia Cezary tak daleko, jak jego przodkowie, i że niewarto się tem zajmować. Wkrótce wyplynał księżyc i oświetlił azalie i draceny, jakby szukając innych oczu, aby je przerazić widziadłami, innych serc, aby je poddać miłości, żeby zastąpić te, które się od nich wyswobodziły na zawsze.

K O N I E C .



1/2

360

75/85

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

174089

Biblioteka WSP Kielce



0121700